

I. MROZOWICKA



ZA GŁOSEM DUMY

ZA GŁOSEM DUMY

WYDANIE ZBIOROWE DZIEŁ DLA MŁODZIEŻY
IRENY MROZOWICKIEJ

TOM PIERWSZY: ZA GŁOSEM DUMY.

IRENA MROZOWICKA

ZA GŁOSEM DUMY

Powieść dla młodzieży



1929
NAKŁAD TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO
„ATENEVM”
LWÓW, UL. ZIMOROWICZA 5.

ALBION
BIBLIOTECZKA
UL. ZIMOROWICZA NR. 5



FUW 0370485

82-93



Opr.

173750

D188/2004

25.00p

I.

Dwaj młodzi chłopcy, w studenckich mundurkach, siedzieli obok otwartego okna, przy stole założonym książkami i zeszytami — na progu pokoju ukazał się wysoki, siwiejący już mężczyzna.

— Co robicie? zapytał głosem brzmiącym stanowczo i niemal trochę ostro, nawykłym widać do wydawania gromkich rozkazów.

— Ja przerabiam chemię — odparł podnosząc głowę starszy z chłopców, smagły brunet o czole szerokim, na które opadały w nieładzie pukle bardzo gęstych i czarnych włosów.

— A ty? zapytał ojciec zwracając się do młodszego z synów, który zerwał się z krzesła i mimowolnym, ale pełnym pospiesznego zmięszania ruchem, zamknął czytana książkę.

— Ja proszę ojca... ja... czytałem trochę „Na skrzydłach ponad Atlantyk“ t. j. przeglądałem tylko ostatnie kartki... bo chciałem się dowiedzieć...

— A lekcję na jutro już umiesz? — przerwał krótko pan Borowski.

— Umiem... to znaczy prawie umiem... mam tylko jeszcze powtórzyć botanikę i wyrobić wypracowanie łacińskie. — Delikatne policzki chłopca rumieniały się coraz to silniej pod ciężarem surowego spojrzenia, które na jego twarzy spoczęło.

— Wiesz dobrze, że nie pozwalam wam ani czytać ani bawić się, dopóki zupełnie lekcji nie przygotujecie — wyrzekł pan Borowski głosem łagodniejszym niż można się było tego spodziewać po chmurnem ściągnięciu jego brwi. — Zresztą co do łacińskiego wypracowania, za chwilę nadejdzie tu pan Sobolski, który obiecał towarzyszyć wam i opiekować się wami w czasie wakacyj, a tymczasem będzie wam obu trzy razy na tydzień udzielał lekcji niemieckiego, łaciny i greki. Mam nadzieję, że z jego pomocą klasyfikacja lepiej wypadnie niż w pierwszym kursie.

Chłopcy milczeli, ale wyraz ich twarzy zdradzał zupełnie różne uczucia. Młodszy, Felo, wydawał się zmięszany, ale zarazem zadowolony z tej niespodzianie ofiarowanej mu pomocy w naukach.

— Dziękuję tatce — szepnął, całując ojca w rękę. — Starszy brat przeciwnie, zasepił się i chmurnemi, czarnemi oczyma spoglądał w ziemię.

— Ja, proszę ojca, mógłbym zdaje mi się, obejść się bez tych korepetycji — zaczął wreszcie z widocznym wysiłkiem, jakby nieśmiałość zamykała mu usta.

— Istotnie mógłbyś się obejść — potwierdził pan Borowski — jesteś starszy i zdolniejszy, więc nauki łatwiej ci idą, to też umyślnie dla ciebie nie brałbym korepetytora, ale ponieważ Felo potrzebuje tej pomocy, nie zaszkodzi i tobie, gdy popracujesz trochę pod kierunkiem człowieka tak wykształconego jak p. Sobolski. Przygotujcie zeszyty i książki, bo on lada chwila nadejść może.

Z temi słowami p. Borowski opuścił pokój synów.

Natychmiast po jego wyjściu Felo zabrał się energicznie do sprzątanía stołu na przyjęcie nauczyciela.

— No, chwała Bogu! teraz już przynajmniej nie dostanę dwójki z tej niezdolnej greki — mówił uradowany. — Choćby człowiek niebardzo sam się męczył, to zawsze z korepetycji coś w głowie zostanie — a i z wypracowaniami lżej będzie.

— Wątpię, żeby „człowiekowi“ nauka szła do głowy bez własnej pracy, choćby nawet z pomocą korepetytora — odrzucił z ironią starszy brat.

— Eh, bo ty zawsze o wszystkim wątpisz i ze wszystkiego jesteś niezadowolony! ciekawym bardzo, co te korepetycje mogą szkodzić tobie, który przecie zawsze oświadczasz, że lubisz się uczyć.

— Lubię się uczyć, ale nie lubię, żeby mnie do nauki napędzano, a korepetytor oczywiście będzie się poczuwał do tego obowiązku. Zresztą nasze wychowanie i tak już drogo kosztuje, więc pocóż ojciec ma sobie robić jeszcze jeden więcej wydatek.

— O, jest się czem trapić! Wystarcza na wszystko, to wystarczy i na te lekcje, a ty się tem wcale gryźć nie potrzebujesz, bo ci przecież ojciec powiedział, że to nie dla ciebie, tylko dla mnie.

— Tak, wiem dobrze, że dla ciebie — powtórzył cicho i powoli czarnoooki chłopak, opierając czoło na dłoni z wyrazem dziwnego smutku i zniechęcenia.

W chwilę potem nadszedł p. Sobolski, młody, o sympatycznej powierzchowności profesor i wy-

mieniwszy parę słów powitania ze swymi nowymi uczniami, natychmiast zabrał się do lekcji.

Gdy mu chłopcy pokazali swoje zeszyty, z pewnem zdziwieniem przeczytał na nich podpisy. Nie jesteście rodzonymi braćmi? — zapytał.

— Owszem, jesteśmy rodzonymi braćmi — odparł Felo — czy pana profesora dziwi, że jesteśmy tacy do siebie niepodobni?

— To swoją drogą, choć dotąd nie zwróciłem na to uwagi — odparł nauczyciel, obejmując spojrzeniem te dwie młode twarze, z których jedna miała rumieniec i figlarny, słodki uśmiech jasnowłosego cherubina, druga wyraz siły męskiej już prawie, połączonej z jakąś hardą i posępną dumą.

— Ale nie o tem myślałem teraz, tylko, zeszyty wasze są podpisane: Szczęśny Borowski, Feliks Borowski — wszakże Feliks a Szczęśny to jedno i to samo imię, a bracia mają zwykle różne imiona.

— To prawda, wszyscy się temu dziwią tak samo jak pan profesor, ale Feliks to nasze rodzinne imię i rodzice bardzo je lubią, więc nas obu tak nazwali, tylko dla odróżnienia, na mojego brata wołają Szczęśny, a na mnie Feliks — opowiadał z zapalem Felo, kontent w duszy, że zamiast tłumaczyć z greckiego, może gawędzić z nauczycielem.

Szczęśny nie odzywał się wcale, jakby nie słyszał nawet, co koło niego mówiono.

Po odbytej lekcji, gdy nauczyciel odszedł, Felo zaczął czyścić mundurek i czapkę, gotując się widocznie do wyjścia. — Dokąd idziesz? zapytał go krótko Szczęśny.

— Idę przebieść się trochę po parku, wszak ojciec pozwolił nam wyjść po skończonych lekcjach, czas taki śliczny. Może i ty pójdziesz ze mną?

— Dziękuję ci, nie wybieram się wcale.

— Ej, Szczęśny, cóż ty znowu taki dziwny jesteś dzisiaj? Na dworze wiosna, słońce, cały świat zdaje się śmiać i śpiewać — a ty siedzisz w ciemnym kącie, z głową opartą na rękę, jakbyś na niej dźwigał sto funtów trosk i kłopotów. No, chodź na spacer, zobaczysz, że ci się zaraz weselej zrobi. Przecież Bogu dzięki, nie masz w tej chwili żadnego zmartwienia — Ot, ja mam na karku dwójkę, którą poprawić muszę a i to... nie tracę fantazji.

— Idźże sobie zatem z twoją dwójką, kiedy ci z nią tak wesoło, a mnie zostaw w spokoju — odburknął Szczęśny tonem tak szorstkim, że wrażliwy Felo zaczerwienił się i omal żył mu w oczach nie stanęły.

Nic już nie mówiac, chciał wyjść z pokoju; gdy był w pobliżu drzwi Szczęśny zawołał nagle:

— Felu!

— Czego sobie życzysz?

— Nic... nic... tylko: baw się dobrze — może tam spotkasz którego z kolegów — ja widzę... nie mogę iść... głowa mnie trochę boli.

Mówił powoli, z nieśmiałością — należał do rzędu tych, którym serdeczne, tkliwe słowa trudno przechodzą przez usta, a jednak ciepły blask, jaki rozjaśnił w tej chwili jego ciemne oczy i przemienił twarz całą, musiał płynąć z bardzo gorącego i umiającego kochać serca. — Felo patrzył na niego

przez chwilę, potem uściśnął mu rękę na pożegnanie i wyszedł, mruczając z cicha: Dziwny, dziwny!

Szczęśny nie ruszył się z miejsca, pozostał z głową opartą na ręku, wpatrzony w delikatne, białe obłoczki, przesuujące się po błękitnem niebie, — a jednak od tych błękitów jakieś ognie niepokoju i gorączki zdawały się napływać mu do żrenic, policzki czerwieniły się i blade naprzemian a serce pod szkolnym mundurkiem kołatało udręczeniem i trwogą. — Nie jesteście rodzonymi braćmi?... czemu to obojętnie przez obcego rzucone pytanie takim ogniem wypala mu się w duszy? czemu budzi w niej, jakby poruszone nią echo, wspomnienie tej rozmowy między rodzicami, którą podsłuchiwał kiedyś niechcący, a odtąd nie może się jej wyzbyć z pamięci. Mówili właśnie o dzieciach, o ich przyszłości i nagle ojciec odezwał się: Gdybyśmy mieli dwóch synów, to co innego — ale z jedynakiem... — Szczęśny więcej nie słyszał, uciekł, zatykając uszy, ale odtąd jest najnieszczęśliwszym chłopcem na świecie. On przecież nie może być obcym wśród tej rodziny, za którą oddałby do ostatniej kropli krwi swoją. — Chociaż Fela wszyscy więcej pieszczą i tkliwiej zdają się kochać, to nie dowodzi jeszcze niczego. Felo miłszy, weselszy, a on mruk taki nieznośny. Niema w tem wszystkim żadnej tajemnicy, żadnej strasznej zagadki, nad której rozwiązywaniem wartoby spędzać takie smutne, bezsenne noce, jakie on od pewnego czasu przepędzać zaczyna... a jednak... Boże, Boże! czemu ojciec powiedział: gdybyśmy mieli dwóch synów?...

Szelest drobnych, lekkich kroków przerwał nagle ciszę i rozmyślania Szczęsnego — do pokoju wbiegła jasno ubrana, złotowłosa dziewczynka, stanęła przed bratem i przechyliwszy główkę na ramię, zaczęła mu się uważnie przyglądać.

— Chcesz czego? zapytał Szczęśny.

— Nie, ja tylko patrzę; patrzę czy jesteś w dobrym humorze — bo jeśli nie, to sobie pójdę.

— A jeśli tak? uśmiechnął się student.

— Jeśli tak, to powiem ci ogromny sekret, o którym jeszcze nikt nie wie i tybys się także nie dowiedział, tylko, że mi do tego sekretu potrzeba koniecznie twojej pomocy.

— No, przynajmniej zaufanie dobrze wytłumaczone — roześmiał się już całkiem wesoło Szczęśny. Powiedzże mi, powiedz, ten sekret, jestem strasznie ciekawy.

Dziewczynka oparła mu obie ręce na ramionach i patrząc prosto w jego oczy, zaczęła mówić z tajemniczą miną: — Czy ty wiesz, co to jest hamak?

— Tak, troszkę się domyślam, odparł Szczęśny.

— Ej, pewnie musisz wiedzieć doskonale — gdzieżby taki duży student, z piątej gimnazjalnej tego nie wiedział... Otóż widzisz, ja bym okropnie chciała mieć hamak tego roku na wakacje, bo Ludka Łosińska ma i powiada, że to jest miłsze od krokieta i od wszystkiego — ona sama sobie zrobiła taki hamak z mocnego sznurka i mnie chce nauczyć, tylko o to chodzi, żebyśmy miały dużo, dużo szpagatu i żeby o tem nikt nie wiedział —

bo jak nie będzie sekretu, to nie będzie przyjemności.

— Ma się rozumieć — sekret to rzecz najważniejsza — niechby w końcu i hamaku nie było, byleby sekret był — żartował Szczęsny. No dobrze, możesz być spokojna, że dostarczę ci tyle szpagatu wiele tylko zażadasz i nikomu o tem nie wspomnę aż do chwili ukazania się hamaku w ogrodzie.

— Zwłaszcza nie mów Felowi, bo by zaraz wszystkim rozpowiedział — on do zabawy dobry, ale gdy idzie o coś poważniejszego, to na niego wcale liczyć nie można. — A gdzie Felo?

— Wyszedł na spacer.

— A ty czemu nie poszedłeś? chciałeś się uczyć?

— Nie, nie uczyłem się... myślałem.

— Powiedz mi o czym? — przytuliła się pieśzczotliwie jak kotka do ramienia brata i ciekawymi, błękitnymi oczyma w twarz mu spojrzała, ale on odsunął ją prawie gwałtownie.

— Nie, nie powiem ci nigdy — nigdy! ani tobie, ani nikomu! zawołał głosem wzburzonem, bo nagle cała gorycz, ukojona chwilowo obecnością siostrzyczki, ożyła w nim znowu.

— Dobrze, to nie mów — odparła Terenia z obrażoną minką i prawie bliska płaczu — tylko się nie gniewaj tak zaraz, bo ja przecież niekoniecznie chcę znać twoje sekreta.

— Nie, nie gniewam się; na ciebie, nie potrafiłbym się nawet gniewać — odparł Szczęsny łagodnie, zwalczony tem spojrzeniem błękitnych oczu, które obejmowało go i jak ciepły promień

słońca rozgrzewało mu serce. To dziecko kochało go, kochało serdecznie, gorąco, jak brata; głos takiego dziecinnego serduszka nie kłamie!

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy Felo zarumieniony i wesół, choć trochę utykający na nogę powrócił ze spaceru.

— Wiesz, spotkałem kilku kolegów i pysznieśmy się bawili, szkoda, że ciebie nie było — zawołał wchodząc — tam za parkiem jest w jednym miejscu rów szeroki więcej niż na metr, otóż próbowaliśmy go przeskakiwać, a Kimecki tak skacze jak zając, ledwie, że ziemi dotyka, a takie przytem robi miny, żeśmy się kładli ze śmiechu.

— A czemuż ty kulejesz?

— Ej to nic, wytknąłem sobie trochę nogę przy skoku — ale do jutra przejdzie — nie bardzo mnie boli.

Pomimo tego zapewnienia, gdy przeszli na kolację do jadalnego pokoju, rodzice zauważyli zaraz, że Felo kuleje i zapytali o przyczynę.

— Czemu zaraz nie zdjąłeś bucika, trzeba było może kompres przyłożyć, żeby ci noga nie spuchła — rzekła wysłuchawszy opowiadania, pani Borowska, gładząc z tkliwością bujne, złote włosy chłopca.

— Ej mamusiu, mnie tam nic nie będzie; co ma wisieć nie utonie — odpowiedział wesoło Felo, tuląc się do matki; następnie zasiadł na swym zwykłym miejscu do kolacji — ale pomimo odbytego spaceru, ulubiona kasza z podśmietaniem mniej jakoś szybko niż zwykle zniknęła dziś z jego talerza.

Terenia szczebiotała wesoło, opowiadając o mającym się odbyć na pensji popisie — Felo droczył się z nią, dowodząc, że takie duże panny potrafią chyba tylko deklamować wierszyki o chorym kotku i skąpym Franusiu — Szczęsny przez cały czas ani ust nie otworzył.

— Czemu tak nic nie mówisz? — zagadnął go ojciec. — Szczęsny milczał: — Jego głowa dziś boli — odpowiedział za niego Felo, patrząc ze współczuciem na brata. — Może cię bardzo boli? zapytał ciszej, pochylając się ku niemu, ale Szczęsny odmruknął szorstko.

— Daj mi spokój — nie lubię, gdy się kto nademną rozpada.

Jednak głucha cisza, jaka zaległa przy stole po tej odpowiedzi, zaboląła go i zaraz pomyślał: Gdyby tak Felo poskarżył się na ból głowy, wszyscy troszczyliby się o niego — o mnie nikt nie dba.

Przez resztę wieczoru był chmurny i zamyślony. Gdy na dobranoc całował ręce rodzicom, matka szepnęła mu:

— Jeśli by cię jeszcze jutro głowa bolała, nie idź rano do szkoły.

— O pójdę — nic mi nie będzie. Mamuńcia wie, jak nie cierpię opuszczać szkoły.

— Wiem, moje dziecko i kocham cię za to.

Szczęsnemu nagle łzy się w oczach skrzyły, porwała go chęć rzucenia się matce na szyję, przytulenia do jej piersi rozpalonego czoła, pod którym się takie dziwne myśli i niepokoje plątały — ale wstrzymało go to coś, nieujęte, niczem niewy-

tłumaczone a nie dające się zwalczyć, które każde słowo, każdy ruch jego krępowało, jak żelazne kajdany, i żywego, tak gorąco czującego chłopca czyniło na pozór zimnym, sztywnym i obojętnym. Przycisnął tylko nieco silniej rękę matki do ust i wyszedł z pokoju tak prędko, jakby uciekał.

Bracia rozebrali się i położyli w milczeniu — z łóżka dopiero Felo odezwał się: Wiesz co, nie wiem co mi się stało, ale mnie noga coraz więcej boli.

— Stało się to, żeś niepotrzebnie skakał — odburknął Szczęsny głosem niezachęcającym do dalszej pogadanki.

Zdmuchnął świecę, ale w chwilę potem, gdy Felo poruszył się na łóżku, zapalka błysnęła i zmieniony już całkiem głos Szczęsnego zapytał: Bardzo cię boli?

— Ot, tak sobie.

— Możebyś kompres przyłożył?

— Ej, gdzie tam teraz szukać zimnej wody, ta w karafce już pewno całkiem ocieplała.

Szczęsny wyskoczył z łóżka i ubrawszy się przez wpół, w jednej chwili, wysunął się na palcach do sąsiedniego pokoju, chcąc przez korytarz dostać się do kuchni. Myślał, że potrafi przemknąć się niepostrzeżenie, aby rodziców nie zaniepokoić, ale usłyszawszy skrzypnięcie drzwiami, pan Borowski wychylił się z sypialni, a na zapytanie ojca trzeba już było prawdę powiedzieć. Szczęsny nigdy, w najlepszym nawet celu skłamać by nie potrafił.

Istotnie rodzice zaniepokoiili się, zwłaszcza, gdy obejrawszy nogę Fela, zobaczyli ją zaczerwie-

nioną i spuchniętą — matka natychmiast dołała do wody kilka kropel arniki i przygotowała dwa kompresy, które na odmianę trzeba było przykładać. Każdy z członków rodziny chciał koniecznie siedzieć przez noc koło Fela i te kompresy mu odmieniać, ale silna wola Szczęsnego odniosła zwycięstwo. Zaczął gorąco perswadować, że on i tak nie zasnąłby wcale, póki by się w pokoju świeciło i nareszcie uzyskał przyzwolenie rodziców. Pozostawszy sam z Felem, wziął się gorliwie do odmieniania kompresów, a czynił to tak zręcznie i delikatnie, że Felo zaczął podziwiać jego uzdolnienie na siostrę miłosierdzia i zaręczał, że mu ta kuracja z każdą chwilą ulgę przynosi.

Rozmawiali przytem o szkołach, kolegach i lekcjach, aż nareszcie Felo znużony przymknął oczy i zasnął tak twardo, że nie czuł nawet, jak mu brat zimny okład na nodze przemieniał.

Gdy się ocknął z tego snu, już wczesny świt letniego poranku zaglądał w okno; Szczęsny nieco przybladły i z głęboko podkrążonemi oczyma siedział wciąż obok łóżka.

— Szczęsny, bój się Boga, toż ty całą noc nie spałeś przezemnie — zawołał, zrywając się Felo.

— A cóż to szkodzi? — nie byłem śpiący wcale; a ty, lepiej się czujesz?

— Jestem zdrow jak ryba, już zupełnie swobodnie mogę poruszać stopą — ale mnie to okropnie gryzie, że ty się tak zmęczyłeś.

— Et, bagatela — teraz się jeszcze przespię — dobranoc.

Wyciągnął rękę do brata i nagle, jakby mu

zupełnie nowa myśl przyszła do głowy, zagadnął lekkim tonem:

— Felo, czy ciebie nigdy nie zastanowiło, dlaczego my się jednakowo nazywamy?

— A bo nas tak ochrzczili — odparł prosto-dusznie Felo — co mnie to ma zastanawiać? widocznie mama i tato muszą najlepiej lubić to imię i dla tego nam obu je dali.

— A jednak to dziwne...

II.

Cicho było w całym domu — Felo poszedł odwiedzić chorego kolegę, ojciec był w kancelarii, mama odprowadziła Terenię na lekcję muzyki... Szczęsny więc sam jeden siedział w swoim pokoju i pracował tak pilnie, że aż pot występował mu na czoło — twarz jego jednak promieniała zadowoleniem, widać robota wiodła mu się dobrze i nie była przykrą ani ciężką. Przed nim, zamiast zwykłego stosu książek, leżała na stole, niby porzucona od niechcenia, wiązanka świeżych maków, a druga, podobna, zdawała się wykwitać z pod ręki chłopca na drewnianej teczce na papiery, której malowaniem był właśnie tak zajęty. — O, jak to dobrze, że wszyscy poszli z domu i Szczęsny może pracować spokojnie i bez świadków — on tak pragnie skończyć dzisiaj, bo przecież pojutrze już imieniny mamy, a nie chciałby za nic pokazać swej teczki nikomu, nawet Felowi, zanim będzie skończoną. Malował ją w największej tajemnicy,

nie zdradził się nawet słówkiem, że przygotowuje jakąś niespodziankę; tem większe będzie zdziwienie wszystkich i radość ukochanej Solenizantki. — Czy też Felo już pomyślał o tem, że zbliża się dzień taki uroczysty dla całej rodziny? — czy przygotowuje jakie wiązanie?... A możeby przypomnieć mu o tem? — jeśli zapomniał przykro mu będzie.

Szczesny zamyślił się — ale nagle energicznie głową potrząsnął i ponura jakaś myśl przyciemniła jego przed chwilą tak jasne wejrzenie. — A co mi tam! niech sobie sam pamięta, jeśli chce! czyż to jest obowiązkiem Szczęsnego pilnować go, żeby nie zapomniał o imieninach Matki? Jeżeli ją kocha tak jak Szczesny, to tak samo jak on powinien pamiętać i myśleć o tem na kilka tygodni naprzód. Szczesny wolałby nie jeść i nie spać, byle przygotować jakąś miłą niespodziankę i Mamę ucieszyć. O, ale Felo jest obojętniejszy, może dla tego właśnie, że sam więcej kochany i pieszczony... To pewno, że żadne z dzieci tak Mamy nie kocha, jak Szczesny; on sam wierzy w to święcie i nieraz zdaje mu się, że oddałby dziesięć lat życia, żeby i Mama w to wierzyła! — Ale mama nic o tem nie wie — czasem zdaje się Szczesnemu, że wszystkie dzieci kocha jednakowo, ale czasem trudno nie zauważyć, że Fela najwięcej zawsze pieści — On przynajmniej zdaje się być przekonany, że jest ulubieńcem obojga rodziców.

Wiązanka maków była już skończona, a udała się Szczesnemu tak dobrze, że aż sam z radością i dumą spoglądał na swoje dzieło. Teraz brakuje już tylko monogramu Matki i malutkiego, nieznacz-

nego podpisu Szczęsnego na rogu teczeki — ale to zrobi już jutro, w czasie gdy Felo będzie miał lekcję muzyki — bo teraz lada chwila wszyscy powrócą z miasta i mogliby go zastać przy tej robocie.

Młody artysta poskładał swoje pędzle i farby i schował wszystko do szafki — teczkę położył na najwyższej półce i w najciemniejszym kącie, tak, żeby ją nie łatwo ciekawe, bystre oczy Fela dosłodzić mogły; jednak, nawet w mrocznym kącie, purpurowe maki odbijały tak słicznie na jasno orzechowem tle teczeki, że aż miło było spojrzeć na nie — o jakże się Mama ucieszy! maki, to jej kwiat ulubiony, a talent Szczęsnego do malarstwa, to jej duma i radość.

Cała rodzina wróciła z miasta; podano podwieczorek, w czasie którego Felo jak zwykle mówił najwięcej, opowiadając o odwiedzinach u chorego kolegi. Był cały przejęty wrażeniem, jakie na nim zrobił ten biedny chłopiec, leżący samotnie w małym, smutnym pokoiku, pozbawiony nawet troskliwej opieki i towarzystwa, bo matkę utracił jeszcze w pierwszym dzieciństwie, a był jedynakiem u ojca, który dnie całe spędzał w biurze.

— Oh mamó! jaki to okropnie smutny los takiego dziecka bez matki — ja, gdybym nie miał mojej Mamuńci, tobym umarł!... zakończył Felo, z żywością sobie właściwą, zarzucając obie ręce na szyję pani Borowskiej i gorąco tuląc się do niej.

Ona jednak dziwnie zbladła i zmieniła się na twarzy na te słowa. — Nie mów tak dziecko dro-

gie — rzekła głosem, w którym zabrzmiała prawie trwoga — niejednego cios znieść musimy w życiu — ale Bóg zsyłając go, daje nam zarazem siły, potrzebne do zniesienia i przyjęcia z poddaniem Jego Najświętszej woli.

Wykrzyknik Fela powlókł mimowolnym smutkiem i powagą twarz całej rodziny — daremnie p. Borowski starał się swobodnym żartem powrócić spłoszoną nagle wesołość, nikt mu nie pomagał i w milczeniu prawie podniesiono się od stołu.

Chłopcy zaraz poszli do swego pokoju powtórzyć lekcje na dzień jutrzejszy. — Szczęsny jednak siedział długą chwilę przy stole, nie otworzywszy nawet książki, aż nagle odezwał się:

— Felu, czy ty pamiętasz, że to pojutrze imieniny Mamy?

Policzki Fela spłonęły szkarłatem. — Ach Boże, zapomniałem! — zawołał chwytając się za głowę — o mój Szczęsny, jakiś ty dobry, jaki złoty, żeś mi przypomniał! że też ty zawsze pamiętasz o wszystkim co potrzeba.

— Zdaje mi się, że o imieninach Mamy łatwo pamiętać — swoim zwyczajem odburknął szorstko Szczęsny.

— No, no, nie gderz już i nie ochładzaj łajaniem mojej gorącej wdzięczności. Zapomniałem wprowadzić na wieki, ale teraz dzięki tobie, mam jeszcze czas wszystko naprawić i przygotować mojej najdroższej Mateczce śliczną niespodziankę.

— Ciekawym bardzo, co przygotujesz tak na prędce?

— Zobaczę, będę dopiero myślał nad tem.

O jakiejś własnoręcznej robocie, n. p. o wyklejeniu takiego pudełka, jakie w przeszłym roku robiłem, nie ma już mowy, ale kupię coś ładnego.

— A pieniądze masz?

— Mam, te za które na wakacje miałem sobie kupić nowy foot-ball — ale, co mi tam foot-ball! bylebym miał wiązanie dla Mateczki. A ty, pewnie już coś przygotowałeś?

— Być może — odparł wymijająco Szczęsny.

— A powiesz mi co?

— Nie, nie powiem — tym razem odpowiedź brzmiała tak stanowczo, że Felo dotknięty trochę, zamilkł i pochylił się nad książką.

Szczęsny również wziął się do nauki, z tem poczuciem zadowolenia w sercu, jakie w nas budzi odniesione nad sobą zwycięstwo. Teraz rad był, że przecież przypomniał Felowi o imieninach Matki; gdyby tego nie uczynił, to przecież nie tylko Felowi, ale i Mamie samej mogłoby być przykro, że jej syn młodszy, taki ukochany, zapomniał o jej solenizacji! — a Szczęsny nie chciał za nic w świecie, żeby jego Mateczka miała choćby najdrobniejszą przykrość, którejby on mógł zapobiedz! — Choćby nawet wobec lekkomyślnej obojętności Fela, tem piękniej wydać się miała jego własna teczka, malowana z takim staraniem i trudem przez kilka tygodni — choćby nawet Matka miała się przez to przekonać o ile ją Szczęsny lepiej kocha... nie chciał takiego tryumfu, okupionego kosztem przykrości ukochanej mamy!

Nazajutrz zaraz po obiedzie Felo poprosił rodziców o pozwolenie pójścia do miasta, a gdy je

uzyskał, zwrócił się do Szczęsnego z pytaniem: Może pójdziesz razem ze mną?

— Nie mam żadnego interesu w mieście — odparł dość oschle Szczęsny, który ułożył sobie, że w czasie nieobecności brata wykończy monogram na teczce.

Ale Felo nie miał ochoty ustąpić.

— Chodź, chodź! nalegał, zniżając tajemniczo głos, choć sami byli w pokoju — wiesz przecie, że idę wybierać wiązanie dla Mamy, doradzisz mi, masz taki dobry gust.

Przez chwilę Szczęsny zawahał się, już chciał wytłumaczyć bratu, co go zatrzymuje w domu, poprosić, aby poczekał na niego z godziną, żeby mogli po wykończeniu teczki pójść razem, ale wrodzona, krępująca wszystkie jego porywy skrytość i duma i tym razem wstrzymały mu szerszą odpowiedź na ustach.

— Nie mam czasu wychodzić, zresztą sam sobie jeszcze lepiej dobierzesz, co ci się będzie podobało — odpowiedział obojętnie i otworzył szufladę z zeszytami, zabierając się niby do pisania.

— Niedobry jesteś — wyrzekł Felo z żalem, biorąc czapeczkę i sam poszedł na miasto.

Upłynęła godzina czasu. Szczęsny wykończył właśnie ostatnie ozdoby przy monogramie, gdy usłyszał kroki Fela w przyległym pokoju. Zerwał się i schował teczkę do szafy pośpiesznie ale ostrożnie, żeby mokrych jeszcze farb nie zamazać.

— A co! znalazłem coś ślicznego! Mamusia pewnie będzie zadowolona, bo maki to jej kwiat ulubiony! zawołał z tryumfem Felo, wchodząc do pokoju ze sporą, ale płaską paczką w rękę.

Szczęsny drgnął i podniósł zdumione spojrzenie: Maki? cóż Felo mógł mówić o makach... to przecież tylko on...

Młodszy brat tymczasem rozwijał starannie przyniesiony z miasta sprawunek i nagle z pod różowej bibułki ukazała się przerażonym oczom Szczęsnego teczka na papiery, oprawna w aksamit jasno-śmietankowego koloru, na którym wykwiatała girlanda prześlicznych, niby wprost na łanie żyta zerwanych maków.

Na ten widok krew uderzyła do głowy Szczęsnemu.

— Umyślnie mi to zrobiłeś! — krzyknął w uniesieniu, gotów prawie rzucić się na Fela i wyrwać mu z rąk tę cudną teczkę, której kupienie było dla niego takim ciosem.

— Umyślnie?... co takiego?... zapytał Felo ze zdumieniem, nie rozumiejąc wcale znaczenia słów brata.

Ale Szczęsny już ochłonął i opamiętał się; wszakże Felo nie wiedział nic o przygotowywanym przez niego podarku, nie jego zatem było winą, że mimowolnie wszedł w drogę bratu, psując swoim zakupnem wrażenie niespodzianki, którą ten tak długo i z takim mozolem przygotowywał.

— Nic... nic... szepnął cicho, siląc się na ton spokojny — chciałem powiedzieć, że... że wybrałeś — taki śliczny podarek, że on zaćmi swoją wspaniałością wszystkie inne wiązania.

— Czyż ja myślałem o zaćmiewaniu kogo? to przecież naturalne, że wybrałem, co mogłem najpiękniejszego. A zresztą, Mamie nie chodzi o wspa-

niałość podarku, tylko o dowód naszej pamięci i przywiązania.

Myśl ta na chwilę pocieszyła Szczęsnego: istotnie, choć teczka Fela była o wiele piękniejszą, jego była malowana własnoręcznie, a to najważniejsze. Zresztą i maki wcale dobrze mu się przecież udały... tak się niemi cieszył nie dalej jak kwadrans temu.

Teraz jednak w żaden sposób nie mógł powrócić do dobrego humoru; Felo siedząc na stole i wymachując nogami, rozpowiadał jakie jeszcze odpowiednie na wiązanie drobiazgi oglądał w sklepie, jak się namyslał, targował, aż zobaczywszy teczkę, odrazu ją pochwycił i zapłacił co żądano, dlatego właśnie, że była malowaną w maki — a Szczęsny tymczasem z oczyma utkwionemi w ziemię rozmyślał nad tem, jak źle zrobił, przygotowując swoją niespodziankę w takiej tajemnicy przed bratem. Gdyby Felo był wiedział, jaką przykrość mu sprawi, kupując tę teczkę, z pewnością byłby wybrał co innego. On przecież miał dobre serce, nigdy nikomu nie robił umyślnie przykrości.

W sąsiednim pokoju dał się słyszeć głos pani Borowskiej. Felo zeskoczył ze stołu i pobiegł do niej, przyskakując lekko drzwi za sobą. — Szczęsny coprędzej przystąpił do szafki, w której ukrył swoją teczkę; pilno mu było zobaczyć ją, pocieszyć się w swem strapieniu widokiem monogramu, którego nie było na kupionej teczce, a który tak pięknie odbijał wyłożonemi linjami od purpurowych kwiatów.

Otworzył drzwi szafki i stanął osłupiały...

Czyż to podobna, aby to była ta sama, przez niego z takim trudem i taką radością malowana teczka? ta, która mu się tak podobała, którą przez długie tygodnie wyobrażał sobie zdobiacą biurko, a nawet cały pokój Matki?... nie, to niemożliwe! chyba ktoś zamienił mu ją nagle, albo jemu samemu coś się w oczach przemieniło. Maki, które przepełniały go taką dumą, teraz wydały mu się jakby niezgrabnie powystrzygane i nalepiane z papieru, bez odpowiedniego cieniowania i miękkości; tło jasno-orzechowe, w porównaniu ze śmietankowem, aksamitnem tłem tamtej teczki, było szorstkie, ordynaryjne... Szczęsny ręce załamał.

W sąsiednim pokoju tymczasem p. Borowska i Felo rozmawiali wesoło. Rozpieszczony chłopak tulił głowę do ramienia Matki, szepcząc z uśmiechem:

— Mamusiu, zobaczysz, zobaczysz jutro, jak ja cię kocham.

— Jutro dopiero? a dziś już nie? roześmiała się wesoło pani Borowska.

— No, bo jutro to taki wielki dzień — jedyny dzień w roku, kiedy my możemy Mamuńci zrobić jakąś przyjemność.

— Mylisz się dziecko drogie, nie jutro tylko, ale codzień możecie mi sprawiać największą radość, gdy się dobrze sprawujecie i pilnie uczycie.

— Tylko że w tem ja Mamuńci sprawiam najmniej radości, nauki tak mi słabo idą, ledwie raz na kwartał mam jakie „celujące“.

— Popracuj trochę nad sobą, a zobaczysz, że będziesz mógł mi sprawiać właśnie najwięcej radości; twoje nauki nie idą słabo dla braku uzdol-

nienia, tylko dlatego, że jesteś tak wiecznie roztrągniony; spróbuj darować mi na wiązanie nieco więcej uwagi i zastanowienia.

— Dobrze Mamuńciu, dobrze, postaram się; będę sobie przez cały rok codziennie wyobrażał, że to są imieniny mojej Mamuńci i że mam jej na wiązanie przynieść dobrą klasę.

Niektóre urywki tej rozmowy dochodziły przez uchylone drzwi do szkolnego pokoju; gdy p. Borowska powiedziała Felowi: popracuj trochę, a będziesz mógł sprawiać mi właśnie najwięcej radości, Szczęsny podniósł głowę i zaczął nadśledzić, ze ściągniętymi chmurnie brwiami i błyskawicą w oczach: Najwięcej! dlaczego najwięcej? czyż on, Szczęsny, nie pracował dostatecznie, ażeby na równi z Felem przynajmniej być chlubą i radością rodziców? czy jego celujące świadectwa za nic się liczyły? O, ale Felo był zawsze pierwszy, zawsze więcej ukochany i jutro pewno jego teczka kupiona na przypomnienie Szczęsnego, bez najmniejszej ofiary własnego trudu, będzie milej przyjęta, niż dar przygotowywany przez Szczęsnego przez tyle tygodni... A więc dobrze! kiedy tak, to niech sobie wiązanie Fela będzie nietylko pierwszym, ale i jedynym; on nie myśli z nim rywalizować, nie myśli ofiarowywać rzeczy podobnej, tylko o wiele brzydszej — lepiej nie dać nic wcale.

Pochwycił mokry jeszcze pędzel, leżący na pudełku z farbami i jednym pociągnięciem zniweczył swoją pracę — maki i niedoschnięty monogram zamieniły się w jedną szarą plamę. Dokończony tego, zamknął szafkę na klucz i spokojny

niby, tylko trochę bledszy, przystąpił do stołu i machinalnie rozłożył przed sobą pierwszą lepszą książkę. — Bardzo dobrze zrobiłem, bardzo dobrze — powtarzał sobie w duchu, wodząc bezmyślnymi oczyma po kartach atlasu: przynajmniej teraz nie potrzebuję się już wahać i namyślać, a to by śmiesznie było, gdybym wobec teczki Fela z moją wystąpił.

— Bardzo dobrze! — a jednak na karcie Europy znalazła się nagle łza, która nie wiedzieć kiedy spłynęła po policzku tego dużego i tak niby na wszystko obojętnego chłopca. Szczęsny pospiesznie wytarł ją rękawem i przysłonił oczy ręką; byłby zginął ze wstydu, gdyby ktoś mógł podpatrzeć, że on płacze.

Nigdy jeszcze imieniny Matki nie upłynęły Szczęsnemu tak smutno jak w tym roku. Rano, gdy cała rodzina pospieszyła z życzeniami, do których każdy dołączył jakiś podarek, on byłby się chciał pod ziemię schować i daremnie próbował przytłumić głos szepczący mu w duszy, że przecież lepiej było dać teczkę taką, jaką była, trochę mniej elegancką od kupionej przez Fela, ale za to zrobioną własnym trudem. Uczuł to najlepiej, gdy przystępując do Mamy z próżnymi rękami, wyczytał mimowolne zdziwienie i jakby zapytanie w jej oczach. Mamie z pewnością nie chodziło o wspamiętnienie podarek, ale zastanowiło ją, dlaczego Szczęsny tak zawsze uważny i pamiętny, tym razem uwolnił się od przyjętego przez całą rodzinę zwyczaju. Wszyscy z pewnością pomyśleli to samo, choć nikt

nie zrobił tej uwagi Szczęsnemu — ale on sam wymawiał sobie to w duszy bezustannie i przez cały dzień było mu tak ciężko i smutno!

III.

Zbliżał się koniec roku szkolnego, a z nim wakacje — chłopcy uczyli się ze zdwojoną pilnością, aby uzyskać dobre stopnie, a roboty było nie mało; piąta gimnazjalna, to nie żarty! jest nad czem popracować!

Na wakacje wszyscy mieli jechać do wuja, mieszkającego poza Warszawą, którego dzieci nie znały jeszcze, gdyż w latach powojennych odbudowa gospodarstwa zatrzymywała go zdala od rodziny — ale niemniej cieszyły się niezmiernie na pobyt w jego domu i wszystkie przyjemności, które im wujaszek listownie obiecywał. Chłopcy mieli dostać na całe sześć tygodni do swego rozporządzenia parę kucyków i wózek, a co ich więcej jeszcze cieszyło, strzelbę, z którą na przemiany mieli chodzić w towarzystwie wuja na polowanie. Terenię czekały króliki, gołębie, sarenka chowana w domu i jedząca z ręki jak piesek, słowem tyśiące rozkoszy! Wszystkie wolne chwile zajęte też były teraz układaniem planów na te wakacje, a w młodziutkich serduszkach budziło się już przywiązanie i wdzięczność dla nieznanego wujaszka, który im tyle radości gotował.

Pewnego dnia, około godziny piątej po południu, dzwonek u drzwi wchodowych, szarpnięty widocznie niecierpliwą ręką zadzwieczał głośno, a w chwilę potem, chłopcy siedzący jak zwykle w szkolnym pokoju, usłyszeli w salonie wesół, męski głos:

— Dawajcie ich tu! niechże ich zobaczę i uściśkam — mam nadzieję, że się te zuchy nie przestraszą opalonego i zarośniętego wujaszka, który wprawdzie w tej chwili przypomina nieco niedźwiedzia z puszczy Białowieskiej, ale tu, na miejskim bruku prędko się przekształci w cywilizowanego gentlemana.

Równocześnie Terenia zarumieniona i ucieszona wpadła do pokoju braci, wołając:

— Chodźcie chłopcy, chodźcie prędko! wujaszek Staś przyjechał.

Felo jednym skokiem był już w salonie, Szczęsny zawsze mniej śmiały i skory do zawierania nowych znajomości, podążał powoli za nim, obciążając na sobie mundurek dla dodania sobie otuchy.

Ale z wujem Stasiem trudno było nie zaprzyjaźnić się i nie spoufalić bardzo prędko — jego szare, śmiejące oczy tak jakoś pocziwie patrzyły na wszystkich, w obejściu tyle było serdecznej prostoty, że odrazu kilku słowami i uściskiem powitania zdobył sobie serca siostrzeńców.

— Będziemy okropnie hulać na wakacjach — opowiadał z zapałem dwudziestoletniego chłopca — Mój Marcin już tam ujeżdża parę kasztanków, jak cacka! trochę się jeszcze rwa, bo młode, dopiero

pierwszy rok chodzą w zaprzęgu, ale damy im radę! przecieżeśmy i my także młodzi!

Chłopcom aż się oczy zaświeciły na myśl o dawaniu rady rwącym się kasztankom.

— A jakie tam będą świadectwa? zagadnął nagle wujcio.

— No, mam nadzieję że niegorsze — odparł wesoło p. Borowski — ze złemi przecie wstyd by było dla lwowskiego mundurka pokazać się Królewiakom.

— Ja już proszę wuja poprawilem sobie łacinę — wyrwał się ze zwykłą szczerością Felo, i nagle zaczerwienił się, bo spostrzegł, że może nie było koniecznem przyznawać się wujowi zaraz w pierwszej godzinie znajomości, że było tam coś w szkole do poprawienia.

Wuj roześmiał się dobrodusznie i uderzył go po ramieniu:

— Poprawiłeś? no, to jesteś zuch? a cóż Szczęsny? czy także poprawił?

— O Szczęsny... on ma zawsze celujące!

— Bagatela! to trzeba być dla niego z uszanowaniem.

Pani Borowska z dumą i miłością pogładziła ciemne włosy Szczęsnego: — Bogu dzięki, nie brak mu zdolności ni chęci do pracy — rzekła. — Ale możebyś ty co zjadł? — dodała, zwracając się do brata.

— Pytanie! ma się rozumieć, żebym zjadł; przecież przyjechałem do was wprost z kolei i od Lublina nic w ustach nie miałem — ale, za pozwoleniem! tobie nie dam odejść! zawołał, przy-

trzymując p. Borowską — niech Terenia pokaże, co umie — ja jej przecież chcę powierzyć klucze od spiżarni, a przynajmniej od szafki z konfiturami, na mojem kawalerskiem gospodarstwie, więc dziś będzie pierwsza próba, jak sobie da radę.

Terenia zarumieniona, dumna z włożonego na nią zadania, a zarazem niepewna, czy się z niego wywiązać potrafi, wybiegła do jadalnego pokoju. Felo, nie mogący nigdy długo usiedzieć na miejscu, podążył za nią.

— A ty, Szczęsny, nie pójdziesz gospodarować razem z rodzeństwem? zagadnął wuj — Możebyście we troje, wspólnemi siłami, wykombinowali jakiś posiłek dla głodnego podróżnego.

Szczęsny zaczerwienił się i wyszedł spieszenie bez słowa odpowiedzi. Odezwanie wujaszka dotknęło go; wydawało mu się, że była w niem dość wyraźna i źle pokryta dobrodusznym uśmiechem chęć pozbycia się go z salonu. Dlaczego jednak on miał być zawadą przy rodzinnej pogadance? nie był już przecie dzieckiem, przy którym trzeba uważać, o czem się mówi, i rodzice nieraz o najważniejszych interesach rozmawiali zupełnie szczerze i swobodnie zarówno przy nim jak przy młodszem rodzeństwie.

Po wyjściu Szczęsnego w salonie zawiązała się jakaś bardzo ożywiona, choć przyciszonym głosem prowadzona pogadanka. Wuj Staś widocznie wypytywał się o coś, państwo Borowscy opowiadali, tłumaczyli, przyczem naprzemianny uśmiech i rzewny wyraz smutku pojawiał się na ich twarzy.

— Ależ to niepodobna, aby się to wiecznie dało ukryć! wykrzyknął nagle nieco głośniejszym głosem wuj Staś.

— Czemuby nie? — przy Bożej pomocy a naszych usilnych staraniach, tajemnica może się utrzymać — odrzucił p. Borowski, a żona jego dodała:

— Litwa tak daleko, a ta jej część właśnie taka dziś odcięta od nas — tak niewielu ludzi stamtąd przybywa tutaj — zresztą przysięgliśmy sobie, że uczynimy wszystko co będzie w naszej mocy, aby on nigdy nie dowiedział się prawdy. Teraz czuje się szczęśliwym, a staranie o szczęście jej dziecka, to przecież jedyna już rzecz, jaką dla niej uczynić możemy.

W jadalnym pokoju tymczasem Felo wyskakiwał naokoło stołu i nawspół z krzątającą się przy podwieczorku Terenią prześcigali się w zachwytach nad nowo poznany wujaszkiem.

— Ja go już kocham całym sercem! zaręczał Felo; jeszcze nigdy nie spotkałem takiego miłego i dobrego człowieka — gdy spędzimy z nim całe wakacje, to nawet nie wiem jak potem potrafiemy się z nim rozłączyć, znowu może na lata całe.

— Ja mu na pamiątkę zostawię swój hamak — oświadczyła wspaniałomyślnie Terenia, która naturalnie nie wytrwała długo w zamiarze robienia swego hamaku w tajemnicy.

— A ty, Szczęsny czemu nic nie mówisz, czy wujaszek nie zdobył sobie szturmem twojego serca?

— Kocham go jako brata mojej matki — odparł Szczęsny, któremu głos przy ostatnich słowach

trochę zadrżał — ale na obudzenie się osobistego przywiązania nie było jeszcze czasu.

— Co tam czas! mnie wcale czasu nie potrzeba na to, żeby takiego dobrego wuja pokochać — a ty się tak drożysz z przypuszczeniem go do swej łaski, jakbyś myślał, że to on sam winien dobijać się o twoje względy.

— Bądź spokojny, nie wymagam tego wcale i jestem pewny, że to nigdy nie nastąpi. Nikt się przecie nigdy nie dobija o moje względy, ani o moje serce — dodał ciszej, ze smutkiem i goryczą.

Zaproszeni przez Terenię wujaszek i rodzice przeszli do jadalnego pokoju; kawa, przyrządzona starannie przez młodszą gosposię, smakowała wszystkim, tem bardziej, że pijąc ją gawędzono wesoło, układano plany na wakacje i na ten tydzień, który wuj Staś zamierzał spędzić we Lwowie.

— Musicie robić mi honory i oprowadzić mnie po całym mieście od rogatki do rogatki — mówił do chłopców — ja się wam za to w Warszawie odwiedzczę.

— Jakto, to będziemy w Warszawie? zawołali młodzi chórem.

— A cóżecie myśleli? że pozwolę wam ominąć Warszawę? Ho, ho! nic z tego — czy kto chce, czy nie chce, musi tam ze mną spędzić kilka dni, albo teraz albo w powrotnej drodze — o przyzwolenie się nikogo pytać nie będę.

— Ależ my chcemy! ogromnie chcemy! tak chcemy, że dziś spać nie będziemy mogli z radości ci! wołali na wyścigi Terenia z Felem — a i Szczę-

snemu oczy zajaśniały, choć nie umiał tak głośno jak oni objawić swojej radości.

Wuj Staś patrzył z upodobaniem na śmiejące twarze obojga młodszych siostrzeńców i nagle zwracając się do p. Borowskiej rzekł półgłosem: — Jak jednak ci dwoje podobni do siebie...

Pani Borowska zmieszała się i spojrzała z niepokojem po twarzach dzieci, jakby w obawie, czy które nie dosłyszało tych słów — ale brat dał jej ręką znak uspokajający: — Oni teraz całą duszą już w Warszawie — rzekł — nie tak łatwo będzie ich stamtąd ściągnąć znowu do Lwowa.

Nazajutrz rano spotkała Szczęsnego w szkole nieprzyjemność; zbierając książki po skończonych już lekcjach trącił przypadkiem kałamarz swego sąsiada i wylał mu atrament na książki i zeszyty. Przedewszystkiem padł ofiarą tom „Pana Tadeusza“, który nie wiedzieć po co został przyniesiony do szkoły, gdyż w dniu tym nie było nawet wcale godziny języka polskiego. Okładka przemokła do szczeru i wszystkie kartki zamieniły się w mozaikę czarnych plam. Wprawdzie było to tanie popularne wydanie, więc szkodę było łatwo wynagrodzić, ale na nieszczęście sąsiad Szczęsnego nie lubił go oddawna — przed paru miesiącami było już między nimi ostre zajście, w którym koledzy wszyscy stanęli po stronie Szczęsnego, co tembardziej rozjątrzyło niedobrego chłopca — czekał też tylko sposobności, aby dokuczyć ulubieńcowi całej klasy i zaraz wybuchnął gradem szorstkich wymówek.

— Przecież nie zrobiłem tego umyślnie —

tłumaczył się Szczęsny, zmieszany i także już zniecierpliwiony. — A zresztą ta książka kosztuje kilkadziesiąt groszy, więc niema o co robić historii — za godzinę będziesz ją miał w domu, nowiuteńką.

— Zapewne — dla takiego wielkiego pana jak ty, nie ma to żadnego znaczenia, — wybuchnął szyderczo kolega — co do mnie jednak, chociaż mój ojciec jest dyrektorem banku, a nie jakimś tam inżynierem, nie udaję magnata i umiem szanować grosz mój i cudzy.

Szczęsny pobladł z gniewu na taką zaczepkę, dotykającą stanowiska jego ojca — w pierwszej chwili chciał się rzucić na napastnika, ale pohamował się; piąta gimnazjalna! — byłoby pięknie, gdyby głupią awanturą przed samą klasyfikacją popsuł sobie stopień z obyczajów — przecie dotąd nie miał nigdy innego jak wzorowy.

Zacisnął usta i nie mówiąc już ani słowa, ściągnął książki rzemykiem i pospieszenie wysunął się z klasy; paru kolegów podążyło za nim, chcąc mu okazać, że i w tem zajściu stają po jego stronie — ale Szczęsny szedł umyślnie tak prędko, aby mu nadążyć nie mogli, nie chciał w tej chwili rozmawiać nawet z najżyczliwszymi; oburzenie i gniew, którym nie dał żadnego ujścia, dławili go, w głowie snuły mu się niewyraźne plany jakiejś zemsty szlachetnej a jednak dotkliwej, która upokorzyłaby przeciwnika.

Nagle oczy błysnęły mu... tak, to byłby sposób najlepszy, jedyny... zemsta wspaniała — oby tylko dała się wykonać i to jak najprędzej, bo Szczęsny, który dzisiaj usunął się z drogi napastnikowi, jak

gdyby nie miał śmiałości stawić mu czoła, chciał już jutro zasiąść obok niego na szkolnej ławce jako tryumfator. Niestety, do wykonania tego planu potrzeba dużo pieniędzy, a pensja Szczęsnego już prawie całkiem wyczerpana — do pierwszego trzeba jeszcze czekać cztery długie dni.

Na placu katedralnym przystanął chwilę, jakby niepewny, w którą stronę się zwrócić — oczy jego patrzyły chciwie na księgarską wystawę, która z poza dużych kryształowych szyb wabiła zdaleka wzrok barwnymi okładkami gustownie poukładanych książek — po chwili namysłu przyspieszył kroku i z miną bardzo poważną i zdecydowaną przestąpił próg księgarni.

Księgarz, który znał go jeszcze od czasów, kiedy go matka przyprowadzała tutaj po pierwsze czytanki i obrazkowe wydania bajeczek, powitał go uprzejmie i zapytał, czego mu potrzeba.

— Wiele kosztuje ilustrowane wydanie „Pana Tadeusza”? czy mógłbym je zobaczyć? zapytał Szczęśny.

— Dwadzieścia pięć zł. — odparł księgarz i równocześnie zdjął z półki żądane dzieło w pięknej wyłacanej oprawie.

Szczęśny pochwycił je skwapliwie i zaczął gorączkowo przerzucać — ach gdyby, gdyby się to dało zrobić! ale zaraz, w tej chwili! czekać przecie z taką rzeczą niepodobna — teraz, albo wcale nie! A cóż to zresztą wielkiego? właściciel księgarni zna go tak dawno, niepodobna aby mu odmówił kredytu na tych parę dni.

Jednak ciężko było wystąpić z taką propo-

zycją — kilka razy otwierał usta, nim nareszcie wyrzekł przyciszonym głosem:

— Czy pan mógłby mi dać to dzieło na kredyt? Zapłaciłbym panu na pierwszego, gdy wezmę pensję od ojca. W tym miesiącu wydałem już wszystko, a książkę tę tak bardzo pragnąłbym mieć dzisiaj.

— Księgarz spojrzał nieco zdziwiony — pod ciężarem tego spojrzenia szkarłatny rumieniec wypłynął na czoło Szczęsnego — przez chwilę pożałował swojego kroku — wreszcie usłyszał uprzejmą odpowiedź:

— Z zasady nie daję nigdy studentom książek na kredyt, a zwłaszcza tak drogich, bo powoduje to nieraz dla obu stron rozmaite nieprzyjemności — ale pan jest przecie moim bardzo dawnym znajomym, którego miło mi zadowolnić — więc proszę, niechże panu ta książka służy, a zapłaci mi pan, gdy będzie mógł — może w dwóch ratach, a może mniejszemi kwotami przez przeciąg paru miesięcy; to nie stanowi różnicy.

Zawinął książkę w biały papier, przewiązał sznurkiem i podał ją Szczęsnemu, który ledwie dosłyszalnym głosem wypowiedział: Bardzo panu dziękuję — wysunął się z księgarni, unosząc swoją zdobycz. Dziwnie sprzeczne uczucia miotają nim w tej chwili: dumny był i uszczęśliwionym ze swego pomysłu „szlachetnej zemsty“ i z tego, że się on tak jakoś łatwo, bez żadnych przeszkód dał wprowadzić w wykonanie — ale z drugiej strony ogarniał go jakiś lęk i prawie poczucie wstydu na myśl, że książka, którą silnie przyciskał

do piersi, była wzięta na kredyt! Dotąd nigdy w życiu nie wziął jeszcze w sklepie najmniejszej drobnostki bez zapłacenia jej od razu gotówką. Ojciec wyznaczył im obu po 15 zł. miesięcznie na zeszyty, ołówki i inne drobne wydatki — ale wymagał, aby ściśle stosowali się zawsze do stanu swojej kasy i nie robili wydatków ponad możność.

Szczęsnemu nigdy też nie brakło pieniędzy i w czasie, gdy Felo nieraz wypraszał u rodziców, aby mu część pensji wypłacili naprzód, w ciągu miesiąca, starszy brat starał się do ostatniego dnia mieć jeszcze jakiś grosz w zapasie. Dlatego to w pierwszej chwili wydało mu się rzeczą bardzo łatwą na ten jeden jedyny raz wstąpić w ślady Fela i poprosić ojca na pierwszego, aby mu od razu wypłacił i sierpniową pensję. — Ale przebyta w księgarni próba przekonała Szczęsnego, że takie sprawy daleko łatwiej i przyjemniej dają się załatwiać w wyobraźni niż w rzeczywistości — wszakże i wzięcie książki w księgarni na kredyt nie było znowu taką wielką rzeczą, a jednak samo wspomnienie zdziwionego spojrzenia, jakim w pierwszej chwili przyjęto jego propozycję, oblewało mu czoło rumieńcem wstydu.

Na rogu Marjackiego placu stało kilku posługaczy, Szczęsny zbliżył się do jednego z nich i wzięwszy od niego kartkę z numerem, polecił mu natychmiast zanieść książkę podług podanego adresu owego kolegi.

— A pieniądze za kurs, czy mi tam na miejscu zapłacą?

— Nie, nie — zaprzeczył Szczęsny żywo — ja tu od razu zapłacę.

W pularesie miał tylko ostatniego już złotego: wsunął go bez namysłu w rękę posługacza i oddalił się spiesźnie.

Pilno mu już było w tej chwili powrócić do domu, bał się, aby tam nie zauważono jego przedłużonej nieobecności, gdyż nie czuł jakoś wcale ochoty, tłumaczyć się przed kimkolwiek, gdzie chodził po szkole. — Dziś jestem jeszcze zanadto całą tą sprawą zirytowany, jutro opowiem wszystko ojcu — mówił sobie w duchu.

Gdy wszedł, służąca niosła już wazę na stół — nie zwrócono jednak uwagi na jego spóźnienie, bo Felo i Terenia przyjęli go od razu wykrzykami radości:

— Zgadnij, zgadnij, gdzie pójdziemy dziś wieczór? — pytali na wyścigi.

— Czy ja wiem? — odparł Szczęsny i jakoś mimowoli spojrzał w stronę wujcia Stasia, który też odpowiedział mu przyjaznym uśmiechem.

— Ja także nie wiem gdzie — ale chyba że nie do kozy, bośmy nic nie zbroili — rzekł wesoło, zabierając się z widocznym apetytem do talerza wybornej rakowej zupy.

Szczęsny także ujął za łyżkę, ale jadł powoli i jakby machinalnie, z oczyma utkwionemi w stojącą przed nim karafkę — zapomniał się też dopytywać, gdzie mają wszyscy iść wieczorem — ale Terenia i Felo nie czekając jego pytań, oświadczyli mu z tryumfem, że wujcio wziął łóżę do teatru, na gościnny występ Mieczysława Frenkla, znakomitego artysty przybyłego z Warszawy.

— Chociaż zobaczycie go i tam zapewne —

ale ponieważ mówiliście mi, że teraz przy końcu roku nie macie już prawie nic do nauki — więc nie zawadzi, gdy i dziś pójdziemy się z nim poznać w Grubych Rybach Bałuckiego.

— O tak wujaszeczku, nie zawadzi wcale! — upewniał z zapalem Felo. — Teraz przy końcu roku nic nam już nowego nie zadają a pytają tylko takich tam... hebesów — którzy mają jeszcze dwójki do poprawienia.

I Felo zrobił wielce pogardliwą minę, jak gdyby on nigdy nie należał do takich tam... mających dwójki do poprawienia. — Co prawda, nie dalej jak miesiąc temu był właśnie w tem samem położeniu — ale teraz zapomniał już o tem całkowicie.

Szczesny nie mówił nic — myślami był w domu kolegi, z którym pokłócił się rano — próbował sobie wyobrazić, jakie wrażenie sprawiła tam przyniesiona przez posługacza książka. Czy Henryk uczuł się bardzo upokorzonym takim wspaniałomyślnem wynagrodzeniem drobnej, przypadkowo wyrządzonej mu szkody, czy może tak był chciwy i pozbawiony ambicji, że z radością objął w posiadanie piękną książkę?

Po południu chłopcy poszli do swego pokoju powtórzyć trochę lekcje, choć istotnie nie wiele już teraz mieli do roboty. Jednak p. Sobolski przychodził codziennie na godzinę, w czasie której czytywał z chłopcami utwory celniejszych poetów francuskich i niemieckich i próbował przyzwyczajać swoich uczeni do samodzielnego mówienia w obcych językach.

Felo mniej zdolny, a zwłaszcza mniej pracowity od Szczesnego, w tym jednym względzie prześcigał go — mówił wprawdzie z błędami, ale dużo i prędko; zawsze miał do udzielenia p. Sobolskiemu, mnóstwo wiadomości, gdy przeciwnie Szczesny ledwie jak najzwieźlej odpowiadał na zadawane mu wprost pytania. Zazyłość jego z nauczycielem nie postąpiła ani na krok od dnia pierwszej lekcji; cierń, którego p. Sobolski dotknął przypadkiem pytaniem: Nie jesteście rodzonymi braćmi? — tkwił ciągle jeszcze w duszy chłopca i lada słowo, lada uważniejsze, dłuższe spojrzenie, bolało go i raniło. Zdawało mu się, że p. Sobolski śledzi wciąż za rozwiązaniem tej zagadki, która jego samego tak strasznie dręczyła i chwilami czuł do niego gorzką niechęć za mimowolne zwrócenie uwagi na ślad tej okrutnej tajemnicy. Nie chcąc się jednak zdradzić z temi uczuciami zamykał się na czas lekcji w pancerz takiego chłodu i pozornej obojętności, że można to było wziąć prawie za lekceważenie nauczyciela — nic dziwnego też, że p. Sobolski więcej lgnął do młodszego, wesołego i uprzejmego ucznia, a Szczesnym zajmował się w czasie lekcji tylko z poczucia obowiązku.

Dumny chłopiec odczuwał wzajem tę różnicę ale zamiast ją uważać za słuszny wynik swojej własnej niechęci i sztywnego obejścia, rozgoryczał się coraz bardziej, mówiąc sobie:

— Nikt nie polubi mnie nigdy tak jak Fela — nie mam szczęścia do ludzi; daremniebym się ubiegał o zdobycie czyjegoś serca.

Zaraz po lekcji i podwieczorku cała rodzina

wyszła na spacer, aby przed teatrem pokazać jeszcze wujowi Wysoki Zamek.

Wuj Staś tak się zachwycił prześlicznymi widokami na spacerze, tak chciał obejść cały Zamek, dokoła i wszystko zobaczyć, że spóźniono się trochę i kurtyna już była podniesiona, gdy nasze towarzystwo weszło do łoży.

Na życzenie Wuja, pani Borowska i wszystkie dzieci zasiadły na przedzie, a panowie zajęli tylne krzesła, aby móż swobodniej w czasie entre — aktów wychodzić z łoży dla wypalenia papierosa. Szczęsny zasiadłszy na swem miejscu objął spojrzeniem ściśle widzami wypełniony amfiteatr i nagle poczerwieniał i szybko odwrócił głowę ku scenie, bo oczy jego spotkały się z oczyma siedzącego w przeciwległej łoży Henryka. — Wprawdzie przez cały dzień układał sobie, jak się nazajutrz odbędzie ich spotkanie w klasie i cieszył się na tę chwilę tryumfu, kiedy Henryk będzie zmuszony podziękować mu za przyslaną książkę — ale zobaczywszy go tu tak niespodzianie, zmięszał się, jak gdyby sam był winowajcą i zawstydzonym.

Co bardziej jeszcze przyczyniało się do pobudzenia w nim tych uczuć, to widok siedzących z obu stron łoży rodziców Henryka. — Nie znał ich dobrze, ale pamiętał, że raz, przed dwoma jeszcze laty, był przypadkowo w ich domu dla załatwienia jakiejś szkolnej sprawy i wtedy ci poważni państwo przyjęli go bardzo mile, zatrzymywali na podwieczorek i prosili, aby częściej odwiedzał ich syna, z którym stosunek jego był wtedy obojętny, ale jeszcze nie nieżyczliwy.

Otóż w tej chwili ogarnęło Szczęsnego niewyraźne, ale przykre poczucie, że dzisiejszym swoim postępkami źle im się odwdzieczył za okazaną wtedy uprzejmość. — Henryk, jak Henryk, ale rodzice jego z pewnością nie będą radzi takiemu obrotowi tej sprawy — może nawet syn w obawie, aby się na niego nie gniewali za niedorzeczne wywołanie sprzeczki, schował książkę w sekrecie, nie przyznawszy się im do niczego.

Szczęsnemu wydawało się, że w takim razie on byłby niejako współwinnym tej tajemnicy — bo, gdyby był wprost odkupił i odesłał Henrykowi takie same tanie wydanie „Pana Tadeusza,” jakie mu przypadkiem zniszczył, nie naraziłby go na pokusę tajenia czegoś przed rodzicami.

Cały teatr tymczasem aż wrzał od śmiechu, który wywoływała wyborna sztuka w połączeniu ze świetną grą artystów — Felo i Terenia ledwie się mogli powstrzymać od ciągłych oklasków; Szczęsny patrzył na scenę, ale myśli jego tak były zajęte czem innem, tak mu się nieustannie zdawało, że rodzice Henryka patrzą na niego, to że on sam go lornetuje, szepcząc coś do matki, że nie rozumiał prawie treści sztuki — i tak cała przyjemność tej bytności w teatrze była dla niego zepsuta. — Ach jakąż miał ochotę poprosić Wuja, aby usiadł na jego miejscu, a jemu pozwolił stanąć w głębi łoży! zdawało mu się, że gdyby tylko usunął się z przed oczu Henryka, przestałby myśleć o całej tej nie milej sprawie, a zająłby się widowiskiem — ale nie śmiał wypowiedzieć swej prośby. Kilkakrotnie już otwierał usta — nadaremnie — ogar-

niała go nieuzasadniona obawa, że skoro tylko wypowie swoją prośbę, wszyscy domyślą się, dlaczego nie chce siedzieć na przedzie łoża, naprzeciw Henryka. Oh, a w tej chwili sam był czegoś taki niespokojny i prawie zawstydzony, że za nic nie byłby chciał komukolwiek powiedzieć co zaszło. Jakże dalekie były te uczucia od radosnego tryumfu, który miało mu przynieść spełnienie „szlachetnej zemsty“.

Wuj Staś zauważył widocznie jego brak humoru i zamyślenie, bo wychodząc z teatru, zapytał:

— Nie zajmowała cię ta sztuka? nie lubisz może komedji?

— O, i owszem, lubię bardzo — zaprzeczył gorąco Szczęsny.

— A czemu przez cały czas byłeś taki poważny i nie odzywałeś się prawie?

— Ja... nie wiem... ja tak zawsze...

Wuj położył mu rękę na ramieniu i wysunął się z nim naprzód, tak aby ich, idący w drugiej parze Felo i Terenia, słyszeć nie mogli, a wtedy patrząc mu prosto w oczy przy blasku wielkiej elektrycznej latarni, oświetlającej bramy teatru, rzekł głosem stanowczym:

— Wiesz co, chłopcze: nie podobasz mi się! Szczęsny drgnął.

— No, no, czekaj — nie chmurz się tak zaraz — mówił Wuj przytrzymując rękę studenta, która cofnęła się prawie mimowoli — „nie podobasz mi się“ to nie znaczy, żebym nie miał do ciebie bardzo gorącej i serdecznej sympatji, żebym nie wierzył w szlachetność i siłę twego charakte-

ru — to znaczy tylko, że czasem nie rozumiem cię całkiem dobrze, zastanawiasz mnie a nawet zasmucasz...

Szczęsny spojrzał zdziwiony na tego wuja, znającego go dopiero od tak niewielu dni, zawsze prawie uśmiechniętego wesoło rozgadanego, którego byłby raczej posadził o zbyt powierzchowne sądzenie wszystkiego i wszystkich wokoło, aniżeli o chęć badania i rozumienia cudzych serc. Wuj mówił dalej:

— Tak — zasmucasz mię, bo nie umiem się powstrzymać od głębokiego uczucia smutku, gdy patrzę na jakiś skarb marnujący się bezpożytecznie, na walkę, której nie czeka zwycięstwo, na ból i trud szamocący się w ciemności z urojonemi widmami, które jeden promień słońca mógłby zwyciężyć i rozprószyć odrazu. Otóż zdaje mi się — że ty właśnie marnujesz skarb młodości i szczęścia, którego ci Bóg używać pozwolił — że nie mając rzeczywistych strapień, tworzysz sobie jakieś widma smutku i zamykasz swoją duszę przed promieniem miłości i pogody, któryby ją przeniknąć powinien.

— Odpowiedz mi, czy się mylę?

— Nie wiem, wuju — niech mię wuj nie pyta — szepnął Szczęsny wzruszonym głosem.

— Posiadasz wszystko, czego chłopcu w twoim wieku potrzeba, aby być szczęśliwym i wesołym, a jednak nieraz wyglądasz tak, jakby ci duszę przytłaczał wielki ciężar — powiedz mi, jak przyjacielowi, jak starszemu bratu: co ci dolega?

Słowa wuja Stasia były tak pocziwe, głos taki ciepły, biorący za serce, że Szczęsny poczuł

nagle gorące pragnienie wypowiedzenia przed nim swoich trosk, przyjęcia tej pomocnej dłoni, która wyciągała się ku niemu z braterską prawdziwie życzliwością. Może dla dwóch, straszna tajemnica jego życia nie byłaby tak ciężką do dźwignięcia. Przez chwile słowa drżały mu już na ustach, ale nim opanował pierwsze, głos mu tamujące wzruszenie, już zwykła nieśmiałość i duma niedozwalająca mu nigdy sięgać po czyjeś współczucie, wzięły znowu górę nad serdecznym porywem.

— Nic mi nie jest, wuju, nic — rzekł prawie stanowczo.

— No dobrze, już dobrze, wierzę ci mój chłopcze, tem bardziej, że znając warunki wśród których żyjesz z trudnością ledwie przypuściłem, żebyś mógł mieć jakieś urojone czy rzeczywiste, ale ciężkie i długotrwałe zmartwienie. — To jedno tylko zapamiętaj: gdybyś kiedykolwiek miał jakiś kłopot lub trudność i potrzebował bardzo ci sprzyjającego serca — wal prosto do mnie! — nie spotkasz się z wujaszkiem gotowym cię ostro sądzić lub prawić ci morały, lecz z przyjacielem, który ci najchętniej pospieszy z pomocą.

— Dziękuję wujowi! — szepnął Szczęsny gorąco, ściskając z uniesieniem rękę dobrego, kochanego wuja. Choć nie zdobył się na szczerą spowiedź, w której podzieliłby swoje najskrytsze troski i obawy z tym nowym przyjacielem, ofiarującym mu swoją pomoc w taki prosty a serdeczny sposób, jednak słowa wuja Stasia zrobiły mu dużo dobrego; uczuł się pokrzepiony na duchu, uszczęśliwiony i dumny zarazem z przyjaznego sojuszu, zawartego z tym

„wujciem Stasiem“, którego wszyscy naokoło otaczali miłością i uwielbieniem. Szczęsny dotąd drożył się jeszcze z całkowitem oddaniem mu swego serca, bo mu się wciąż zdawało, że wuj z daleko gorętszą sympatją spogląda na swych młodszych siostrzeńców — teraz za to, wymawiał sobie ostro swoją podejrzliwość i postanawiał wszelkimi siłami okazywać wujowi wdzięczność i przywiązanie.

Zasypiając dnia tego, uśmiechał się radośnie do swoich myśli: Mam przyjaciela! mam przyjaciela! powtarzał sobie wciąż szeptem, pojąc się dźwiękiem tych słów.

IV.

— Pst! pst, Borowski, nie idź tak prędko, bo nie mogę cię dopędzić — wołał nazajutrz jeden z kolegów Szczęsnego, doganiając go przed bramą gimnazjum. Przecie jeszcze wcześniej — trzy kwadranse na ósmą.

Szczęsny zwolnił kroku, choć nie miał w tej chwili wielkiej ochoty do pogadanki: był niespokojny i podrażniony myślą o bliskim spotkaniu z Henrykiem i byłby rad, aby to spotkanie już jaknajprędzej się odbyło.

— Cóż, jużście się pogodzili z Milińskim? pytał tymczasem kolega.

— Nie widziałem się z nim wcale od wczoraj — odparł krótko Szczęsny.

— A książkę odkupiłeś mu?

— Odkupiłem.

Nie zważając na oziębły ton tych odpowiedzi, rozmowny Kazik rozprawiał dalej:

— To także sknera, z tego Henryka! rozindy czył się o taką marną książczykę, jakby mu kto pól majątku wydierał.

Słowa te, jakkolwiek natchnione życzliwością dla Szczęsnego, nie były mu przyjemne; drażniło go rozpamiętywanie wczorajszej niemiłej sceny.

— Chodźmy, już czas — rzekł i zwrócił się ku bramie gimnazjum. Przed drzwiami piątej klasy zatrzymał się chwilę, serce mu biło tak, że prawie uchem słyszał jego uderzenia, wreszcie ujął za klamkę i wszedł... Henryka jeszcze nie było.

Minuty upływały powoli, klasa napełniała się coraz głośniejszym gwarem przybywających uczniów, wszedł profesor i dzwonek rozbrzmiał po korytarzach, dając znak rozpoczęcia godziny. Henryk nie pokazał się wcale.

Lekcje nie poszły w tym dniu Szczęsnemu tak dobrze jak zazwyczaj — myśli jego mimowoli zajęte były pytaniem: czemu nie przyszedł? Może czuje się tak upokorzony, że nie śmie Szczęsnemu popatrzeć w oczy — a może tam w domu u nich zrobiła się z tego jaka awantura? W każdym razie Szczęsny przekonał się, że poczucie zadowolonej zemsty nie jest znowu tak słodkie, choćby nawet zemsta była „szlachetną”. A i co do tego zaczęły go ogarniać coraz większe wątpliwości. Czy rzeczywiście była szlachetną chęć upokorzenia kolegi wspaniałym podarkiem, rzuconym mu w zamian za szorstkie i obrażające odezwanie? — przytem

nie wchodząc już w delikatniejsze skrupuły, czy wprost dozwolonem i niekarygodnem było załatwienie tej sprawy w tajemnicy przed rodzicami, z pomocą kredytu zaciągniętego u obcego człowieka?

Im dłużej Szczęsny rozpamiętywał to wszystko, tem mniej czuł w sobie odwagi do zrobienia tego, co było na tę chwilę koniecznym już obowiązkiem, a przytem jedynym sposobem zakończenia tych wszystkich trudności — t. j. do opowiedzenia całej sprawy ojcu. Z godziny na godzinę spowiedź taka wydawała mu się trudniejszą — ze strachem przypominał sobie, że gdy nadejdzie chwila odbioru miesięcznej pensji, nie będzie mógł już ani na minutę odwlec swego wyznania, bo wszakże musi poprosić ojca, aby mu wypłacił z góry zaliczkę na następny miesiąc, musi wytłumaczyć, na co potrzebuje od razu tyle pieniędzy.

A gdyby tak... gdyby tak udać się z tym kłopotem do wuja Stasia? on taki dobry, tak się ofiarowywał Szczęsnemu z pomocą, z pewnością nie odepchnął by go i nie zdradził przed nikim — tym sposobem ojciec mógłby się wcale nie dowiedzieć o całej sprawie.

Ale nie — myśl taka tylko na chwilę przemknęła przez głowę Szczęsnemu — jego wrodzona szlachetność nie mogła się zgodzić na takie wyjście z trudności, w które się samochcąc wplątał. Najpierw, choć ciężko było stanąć przed ojcem, żeby odważnie opowiedzieć mu prawdę, jednak trudniej jeszcze było uczciwemu chłopcu powziąć postanowienie zatajenia wprost przed rodzicami

całej sprawy — osłonięcia się za pomocą fałszu i skrytości od zasłużonej nagany a może kary.

Przytem Szczęsnego wstyd i niesmak ogarniał na myśl, żeby pierwsze sięgnięcie o pomoc do przyjacielskiej ręki wuja Stasia, miało być zarazem sięgnięciem do jego kieszeni — nie! nie! za nic! choć wuj Staś był człowiekiem bardzo zamożnym i zdawał się wcale nie cenić pieniędzy, wydawał je owszem bardzo hojnie przy lada okazji, jednak Szczęśny wolał już znieść wszystkie skutki swego nieopatrznego kroku, niż udawać się do tego nowego przyjaciela z prośbą o pożyczkę. Słowa wypowiedziane przez wuja w powrocie z teatru dzwoniły mu jeszcze wciąż ciepłym, serdecznym echem — była też to na obecną chwilę jedyna jego pociecha, której sam sobie psuć nie chciał. Wuj widocznie także pamiętał o świeżo zawartym sojuszu przyjaciźni, bo od czasu do czasu przysyłał Szczęsnemu porozumiewawczy, serdeczny uśmiech. Zresztą dzień cały upłynął zwykłym trybem — deszcz, który niespodziewanie zastąpił wczorajszą, cudną pogodę, popsuł projektu spaceru; gawędzono jednak nie mniej wesoło w domu; wuj Staś niewyczerpany był w opowiadaniach o kłopotach swego kawalerskiego gospodarstwa — zaręczał, że jeśli Terenia nie zechce mu przyjść z pomocą w czasie wakacji i pogospodarować w spiżarni, to najmniej połowa towarzystwa wymrze z głodu — ale dzieci uśmiewały się z tych strachów i nadzieja spędzenia wakacji w domu tego wesołego wujaszka coraz to się im wydawała ponętniejszą. Szczęśny brał również żywy udział w rozmowie, ale w głębi jego

duży budziło się wciąż niepokojące pytanie: Cemu Henryk nie był w szkole?

Nazajutrz jeden z kolegów przyniósł do klasy wiadomość, że Henryk wyszedłszy zgrzany z teatru, wypił w teatralnym bufecie szklankę wody z lodem, a wracając potem chłodną nocą do domu, zaziębił się i dostał zapalenia płuc. Wiadomość ta dotknęła Szczęsnego tak, jak gdyby Henryk był jego najlepszym przyjacielem — w pierwszej chwili chciał natychmiast biec do niego, załagodzić całe zajście, przeprosić go — ale zawrócił się z przed bramy, nie z braku dobrych chęci lecz przez zwykłą nieśmiałość.

Dnie upływały jeden po drugim, zbliżał się koniec roku szkolnego, 2-go lipca miano rozdawać świadectwa. Szczęśny był o swoje stopnie spokojnym, bo w ciągu całego roku miał w katalogu same dobre i bardzo dobre. — Felo także z pomocą p. Sobolewskiego, poprawił sobie łacinę i niemieckie. — Terenia przyniosła z egzaminu książkę ze złożonym napisem: nagroda — zanosilo się zatem na jaknajweselsze wakacje. Wuj Staś zdecydował się pozostać we Lwowie aż do chwili, gdy cała rodzina będzie mogła z nim razem wyruszyć w drogę — a raczej postanowiono podzielić się na dwie partje i pani Borowska miała z bratem i dwójkiem młodszych dzieci wyjechać o dzień wcześniej i zatrzymać się po drodze w Krakowie u swej dawnej przyjaciółki. — Szczęśny zaś i p. Borowski, który czekał jeszcze na powrót z urlopu swego biurowego zastępcy, we dwadzieścia cztery godziny dopiero mieli dogonić ich na dworcu krakowskim.

Z początku wahano się którego z chłopców zostawić z ojcem, a którego wziąć do Krakowa — ale w końcu wybór padł na Fela, ku wielkiej naturalnie jego radości. Szczęsny, gdy się dowiedział o powziętem postanowieniu, nie rzekł ani słowa — trudno było nawet z wyrazu jego twarzy osądzić, czy mu bardzo żal tej wspólnej podróży i nadziei poznania Krakowa, która go ominęła na korzyść młodszego brata.

V.

W dniu pierwszego lipca, gdy chłopcy wrócili ze szkoły, p. Borowski wszedł do ich pokoju ze słowami:

— No, chłopcy, dziś pierwszego, macie jak zwykle wziąć swoją pensję, ale mnie się zdaje, że rozsądniej zrobicie, jeśli tym razem pozostawicie pieniądze u mnie. W tej chwili nie brak wam niczego, natomiast w ciągu wakacji, zwłaszcza gdy wuj, jak obiecuje, zawiezie was do Warszawy, będziecie radzi mieć w zapasie jakiś własny grosz na drobne wydatki podróży, a może i na jakie sprawunki w warszawskich sklepach. — No, więc cóż, czy zgoda?

— Zgoda, proszę ojca, odparł Felo, tylko ja prosiłbym w każdym razie choć o jakąś zaliczkę, bo chcę sobie kupić notes podróżny, grzebyk, lustro, rzemyk do ściągnięcia płaszcza, no i w ogóle takie drobiazgi, bez których podróżować trudno...

— No, no, dobrze — roześmiał się ojciec — widzę, że chcesz wyglądać na wielkiego podróżnika i eleganta, bierz że sobie swoją zaliczkę, a zapisz, co wydajesz — A ty Szczęsny, czy także bez podróżnego lusterka i grzebyka nie potrafisz wsiąść do wagonu?

— Ja.. ja... Szczęsny odwrócił nieco głowę i zamiast spojrzeć w oczy ojcu, zdawał się liczyć wzrokiem kwadraty posadzki — ja proszę o całą pensję i jeżeli ojciec łaskaw, to jeszcze o 10 zł. zaliczki na sierpień, bo... mam konieczny wydatek.

Rumieniec, który przy tych słowach okrył czoło chłopca, nie podobał się p. Borowskiemu.

— Cóż to za wydatek taki konieczny? wiesz, że nie lubię, gdy naprzód wybieracie swoją pensję — rzekł z dość widocznym niezadowoleniem.

Niemila cisza zapanowała na chwilę w pokoju: No, mów przecie, na co ci potrzeba pieniędzy? nalegał ojciec.

— Muszę zapłacić dług w księgarni... t. j. oddać za książkę, którą wziąłem na kredyt — szepnął Szczęsny.

— Na kredyt? jaką książkę brałeś? kiedy? czyż nie wiesz, że branie czegokolwiek na kredyt jest wam najsurowiej wzbronione! i cóż to za książka mogła kosztować 25 zł.?

Głos p. Borowskiego, zawsze stanowczy i donośny, zdradzał w tej chwili bardzo już bliski wybuch gniewu; brwi ściągnęły mu się i na czoło wybiegła pręga, znamionująca zwykle u niego silne podrażnienie. Synowie bali się go w takich chwilach jak ognia, bo o ile matka była uosobieniem

dobroci i łagodności, o tyle z ojcem nie łatwa była sprawa, gdy się rozgniewał. Felo też przestraszony usunął się w kąt pokoju; Szczęsny, choć czuł trwogę w sercu, podniósł jednak śmiało głowę, nadrabiając miną — nie należał do tych, którzy łatwo okazują obawę lub skruchę, choćby nawet najgłębiej byli nią przejęci. Jednak głos rwał mu się trochę, gdy w możliwie najkrótszych słowach opowiadał ojcu całe zajście z Henrykiem. Pan Borowski słuchał ze zmarszczonemi brwiami, nie przerywając aż do końca opowiadania.

— W całym tem zajściu, od początku do końca, postąpiłeś sobie głupio i lekkomyślnie — rzekł wreszcie surowym głosem, gdy Szczęsny umilkł, ocierając pot, który mu wystąpił na czoło. — Przedewszystkiem jako smarkacz nie masz prawa robić nadzwyczajnych wydatków, obdarowywać kolegów, przeprowadzać z niemi jakichś zatargów w tajemnicy przed rodzicami — następnie niech ci się nie zdaje, że jest wielkiem bohaterstwem olśniewać wspaniałomyślnością, którą opłacać myślisz cudzemi pieniędzmi...

— Przecież pieniądze te są moje — oburzył się Szczęsny.

— Nie są twoje, dopóki ci ich nie dałem — fuknął ostro p. Borowski — twojem jest tylko to, co już masz w kieszeni i pamiętaj sobie na całe życie, że jeśli będziesz wydatki swoje obliczał nie do tego, co masz, ale do tego, co mieć możesz, to nigdy nie będziesz wolnym od przykrości, trosk i wstydu. Myślałem, że jesteś już dość dojrzałym, abys mógł sam rozporządzać swoimi drobnymi

funduszami — ale widocznie omyliłem się — od dziś zamykam ci pensję; gdy będziesz czego potrzebował, możesz prosić mnie lub matkę o kupienie ci tego, ale gotówki nie dostaniesz do rąk ani grosza, skoro cię to zachęca do robienia długów.

— W księgarni muszę zapłacić, dałem słowo! — odparł żywo Szczęsny.

— W księgarni ja za ciebie zapłacę — zapowiadam jednak, że to po raz pierwszy i ostatni. — Tobie w całej tej sprawie nie pozostaje już nic do zrobienia, jak tylko pogodzić się z Henrykiem, któremu za jego niedelikatną zaczepkę odpłaciłeś w sposób o wiele więcej jeszcze przykry i dokuczliwy.

Pan Borowski wyszedł. — Szczęsny, błady jak ściana, z chmurnie zaciśniętymi ustami, przystąpił do okna i wlepił swoje ponure, czarne oczy, w jaskrawie oświecony słońcem mur przeciwległej kamienicy.

— Szczęsny — odezwał się nagle za nim nieśmiały głos Fela.

— Czego chcesz? — odrzucił szorstkim tonem starszy brat.

— Nic, tylko... chciałem ci powiedzieć, żebyś się nie martwił. — Tatko się pogniewa i przebaczy, tyle razy już i mnie zapowiadał, że jeśli nie potrafię sam rządzić rozsądnie swoją pensją, to mi ją odbierze — a przecież jakoś potem darowuje i wszystko zostaje po dawnemu.

— Tak, tobie darowuje — prawie mimowoli szepnął Szczęsny.

— Zresztą, żebyś w każdym razie nie był bez pieniędzy, to ja ci co pierwszego odstąpię połowę

swojej pensji i tak mi wystarczy, zobaczysz! dla mnie nawet lepiej, żebym się nauczył trochę oszczędzać.

— Dziękuję ci Felu — rzekł Szczęsny zupełnie już ujęty i wzruszony dobrocią brata — nie wziąłbym za nic ani grosza z twoich pieniędzy, ale całym sercem ci dziękuję.

Uściskali się i Felo pobiegł do dalszych pokoi szukać wuja Stacha, zupełnie już rozweselony i pełen dobrej otuchy, że się to wszystko jakoś ułoży, — Szczęsny pozostał w swoim pokoju, porzeczony trochę okazaną mu serdecznością brata, ale zawsze z wielkim jeszcze ciężarem na piersi. Słowo „długi“, rzucone mu przez ojca z takim gniewem, dzwoniło mu wciąż w uszach i oblewało czoło rumieńcem wstydu. Prawda, to był dług, pierwszy dług w życiu — zaciągnięty lekkomyślnie dla dogodzenia fałszywej ambicji — a przecież Szczęsnemu wydawało się, że wolałby żyć suchym chlebem i chodzić z podartymi łokciami, niż zaspokajać swoje potrzeby cudzemi, pożyczonemi pieniędzmi. To tylko gniew i duma uniosły go do tego stopnia, że nie pomyślał nawet, co robi.

Wezwanie na obiad wyrwało go z zadumy — byłby nie wiem, co dał za to, gdyby był mógł dzisiaj pozostać w swoim pokoju, nie spotykać się u stołu z rodziną, a przede wszystkim z ojcem i z wujem Stasiem, który zapewne dowiedział się już o całej sprawie i kto wie, czy w duszy nie potępiał go równie surowo. Ponieważ jednak wiadomem było, że ojciec bardzo nie lubił, gdy które z dzieci, z jakiegobądź powodu nie zjawiało się

przy stole, więc i Szczęsny, choć ociągając się i namyślając, musiał wreszcie pójść.

Z zachowania wuja Stasia nie mógł wcale poznać, czy doszło już do niego jakie echo o przykrem zajściu — w każdym razie wuj był dla niego zarówno, a raczej może więcej jeszcze serdeczny niż zwykle; próbował kilkakrotnie wciągnąć go w rozmowę, a po obiedzie, gdy kładąc mu rękę na ramieniu, zagadnął go niby obojętnie: No i cóż, młody przyjacielu, pójdziemy dziś razem na spacer? W słowie „przyjacielu“ była taka jakaś nuta poważnej i głębokiej życzliwości, że Szczęsnemu aż serce zadrgało.

Po obiedzie panowie zapalili papierosy, pani Borowska i Terenia zasiadły z robótkami koło okna, Felo zaś, który był za żywy, aby choć chwilkę umieć posiedzieć, nic nie robiąc, wziął się z zapalem do odczytywania wczorajszej gazety i od czasu do czasu dzielił się z towarzystwem wiadomościami, które wszystkim były już znane. Z kolei doszedł do ogłoszeń, zamieszczonych na ostatniej stronicy. — „Masło potaniało!“ — wykrzyknął głosem tryumfującym, dumny ze zrobionego odkrycia. — „Zaraz do sprzedania z powodu wyjazdu, fortepian nowiuteńki, za bardzo przystępną cenę“ — szkoda, że mamusia już w zimie kupiła pianino, bo ten fortepian byłby może lepszy. — „Student, z ukończoną piątą lub szóstą klasą gimn. — dobrze polecony — znajdzie umieszczenie na czas wakacji w wiejskim dworze jako korepetytor ucznia szkoły powszechnej. Wynagrodzenie 50 zł. miesięcznie“ — ot to, chciałoby się komu męczyć jeszcze przez

wakacje za głupich 50 zł! Każdy student kontent, jak się szkoła skończy, że może odpocząć

— Mylisz się mój drogi — wtrącił wuj — niejeden ubogi chłopiec za największe szczęście uważa sobie, taką sposobność spędzenia lata na wsi, w większych niż może je mieć w domu wygodach i jeszcze zarobienia za to trochę grosza na pierwsze powakacyjne potrzeby.

— Ale kiedy proszę wuj, wakacje przecie są na to, żeby każdy sobie odpoczął i zabawił się.

— Zapewne, ale ludzie ubodzy nie mogą myśleć o zabawie, wpierw muszą się starać o zaspokojenie najkonieczniejszych potrzeb i dzieci ich są szczęśliwe, gdy mogą rodzicom przyjść z pomocą. Przytem nie taka to znowu wielka ofiara, pouczyć parę godzin dziennie młodszego chłopca, a za to mieć wiejską swobodę, przechadzki, dostatek nabiału, owoców — używać wszystkich przyjemności, znanych tylko z opisu mieszkańcom ciasnych suterren lub poddaszy, którzy przez całe lato łykają kurz miejski, a owoce widują tylko na straganach przekupek.

— No tak, dla takich biednych, to zapewne, że dobrze — przyznał Felo.

— Nawet nie tylko dla tak bardzo biednych... Ja sam byłem synem niezamożnych rodziców, ale prawdziwej biedy nigdy nie zaznałem, a przecież kilka razy umieszczałem się na wakacje jako korepetytor dwóch, a raz nawet trzech chłopczyków.

— Jakto, to wujaszek nie był zawsze bogaty? — zapytała ze zdziwieniem Terenia.

— Bynajmniej, kochanie; w czasie gdy ja

i wasza mamusia byliśmy dziećmi, rodzice nasi mieli tylko bardzo malutki folwarczek, to też zaręczam wam, że nie opływaliśmy wcale w dostatki i nie na żarty zabieraliśmy się do pracy w życiu. Ja na ubranie, książki i t. p. zarabiałem zawsze korepetycjami, mamusia uczyła się w Warszawie pasiecznictwa, bo ponieważ w okolicy naszej było mnóstwo lip, co ułatwiało hodowanie pszczół, chciała podniesieniem tej gałęzi gospodarstwa przyjść z pomocą rodzicom. Tymczasem nim się te plany ziściły, odziedziczyliśmy po stryju tę wieś, w której ja obecnie gospodaruję. — Wprawdzie była ona wtedy bardzo obdłużona i źle zagospodarowana, ale z pomocą Bożą jakoś się i temu dało radę. Dziś wiem, że moim Dębianom nie grozi już przejście w cudze ręce za łada pierwszym, gospodarskiem niepowodzeniem, z którego możliwością każdy rolnik liczyć się musi. Nie bójcie się też moje dzieci, jechać do mnie — nie zgłodzę was i nie zanudzę, owszem, będę się starał, aby wam te wakacje spędzone w domu wujaszka miłe pozostały wspomnienia.

— O wujaszku! my się niczego nie obawiamy — jesteśmy pewni, że nam będzie jak w raj, choćby nawet wujcio wcale nam nie dogadzał, byle tylko sam był ciągle z nami — bo my wujcia bardzo, bardzo kochamy! — zawołali prawie razem Felo i Terenia, garnąc się pieszczotliwie do wuja.

Szczęśny nie powiedział nic, ale w czasie, gdy tamci dwoje, omal nie usadowili się wujowi na kolanach w dowód wielkiego kochania, on wy-

mienił z nim tylko krótki, a silny uścisk ręki, który przejął go jednak radością i dumą.

Zadzwoniono, i po chwili weszła służąca z oznajmieniem, że posłaniec przyniósł jakąś paczkę, coś niby dużą książkę i prosi o potwierdzenie odbioru.

P. Borowski wyszedł do przedpokoju zobaczyć co to takiego; Szczęsny pochylił głowę nad dziennikiem opuszczonym przez Fela i zaczerwienił się tak, że omal mu krew nie wytrysnęła z policzków. Reszta towarzystwa rozmawiała dalej wesoło.

— A wujciowi przykro, gdy sobie przypomni te czasy, gdy był jeszcze biedny? pytała ciekawie Terenia.

— Broń Boże, moje dziecko — niedostatek nie jest wcale nieszczęściem, i mnie było też wtedy, mimo wielu braków bardzo wesoło na świecie. Gdy się ma rodzinę pocziwą, z łaski Boga zdrową i kochającą się wzajemnie, przytem możność kształcenia się i nadzieję zdobycia kiedyś własną pracą dla tej rodziny lepszej przyszłości, czy to konieczne potrzeba do szczęścia kawy na śniadanie i eleganckiego mundurka? Aby nie chłodno i nie głodno, to już dosyć. A żebyście wiedzieli, jaki to miły jest ten grosz własną pracą zdobyty! jakie wygodne i śliczne wydają się grube, niezgrabne buty, kupione za całomiesięczny dochód z korepetycji. Kto tego nie doznał, niechaj żałuje.

— Ej wujaszku, ja się już bez tego obejść, wolę żeby mi Ojciec i Mamuńcia wszystko kupili,

ładne i w dobrym gatunku — roześmiał się Felo i ucałował rękę Matki.

— Szczęsny! — zawołał w tej chwili p. Borowski, uchylając drzwi od swego gabinetu.

Chłopiec zerwał się z miejsca i cały w ogniach podążył na wezwanie.

P. Borowski stał w pośrodku pokoju, trzymając w rękę książkę, nie inną, tylko właśnie owe ilustrowane wydanie „Pana Tadeusza“ które było już powodem tylu przykrości Szczęsnego.

— Rodzice Henryka odsyłają ci książkę, a raczej odsyłają ją mnie, z listem opisującym całe zajście.

— Henryk pierwszego dnia po otrzymaniu twej przesyłki nie przyznał się do niczego, potem zaś zachorował ciężko i dziś dopiero cała sprawa wyszła na jaw. Widzę, że państwu Milińskim twoje niedorzeczne postąpienie było bardzo niemiłym, wprawdzie nie uniewinniają i swego syna, ale za pewne — w czem im zresztą przyznaję zupełną słuszość — większą winę widzą po twojej stronie. To też, gdy tylko Henryk będzie o tyle zdrowszym, żeby się mógł z tobą zobaczyć, pójdziesz pogodzić się z nim i przeprosić jego rodziców za swój niemądry a obrażający wybryk.

P. Borowski przemawiał tonem stanowczym, Szczęsny nie śmiał ani ust otworzyć, choć na myśl, aby on był obowiązany pierwszy podawać rękę do zgody niemiłemu koledze i przepraszać jeszcze jego rodziców, wszystko się w nim buntowało.

Tymczasem Ojciec mówił dalej, wskazując „Pana Tadeusza“: Książkę tę weź i zatrzymaj teraz

u siebie — może kiedyś, jeśli zawrzecie zupełną zgodę, Henryk przyjmie ją od ciebie jako koleżeń-
ski, ze szczerego serca ofiarowany podarek — jeśli
nie, będzie ci ona przez całe życie przypominać,
że zaspokojenie własnej dumy kosztem cudzej przy-
krości, lub wyłamaniem się z pod obowiązkowego
posłuszeństwa przełożonej nad nami władzy —
przynosi nam zawsze wstyd tylko i upokorzenie.
Duma człowieka powinna polegać wyłącznie na jak
najdoskonalszem spełnianiu jego obowiązków. —
Nie ten, kto drugich upokarza, ale ten, kto im czyni
dobrze, ma prawo być z siebie zadowolonym.

Szczęśny stał milczący i nieruchomy; gdy
Ojciec wyciągnął ku niemu rękę z książką, wziął
ją bez słowa i wyszedł powoli. Książka ciążyła mu
jak z ołowiu — nie wiedział sam, gdzie ją umie-
ścić — gdyby był mógł, ukryłby ją pod ziemię.

Nie wrócił już do bawialnego pokoju, skąd
dochodziło go echo wesołej rozmowy i wybuchy
śmiechu młodszego rodzeństwa — po co miał iść
pomiędzy nich? czy tam kto dbał o niego, czy za-
troszczył się jego smutkiem? Zamknął na zasuwkę
drzwi swego pokoju i usiadłszy pod oknem, po-
grążył się w czarnych myślach. Wszystkie gorzkie
zwątpienia i obawy podniosły się znowu rojem
w jego duszy.

Bolem głowy wymówił się od wzięcia udziału
w podwieczorku i wspólnym spacerze — dopiero
gdy cała rodzina zebrała się na wieczorną herbatę,
przemógł się i podążył do rozmawiającego wesoło
towarzystwa. Gdy przechodzili wszyscy razem
przez mroczny już przedpokój do jadalni, wuj

Stach zbliżył się do niego i wstrzymał go lekko
za rękę, tak, aby we dwóch pozostali w tyle.

— Szczęśny — szepnął zcicha — może tobie
przykro, że nie jedziesz razem z nami do Krako-
wa? powiedz szczerze, a będę się starał przemienić
jakoś plan podróży.

— Wszystko mi jedno — odpowiedział Szcze-
śny prawie oburkliwie, pomimo, że uczuł nagle
chęć rzucenia się wujowi na szyję i wypłakania
na jego piersi. Ale wuj nie dał się zbyć tak łatwo
i ściskając jeszcze silniej jego rękę, rzekł z wy-
mówką: Mnie, tak odpowiadasz? mnie, twemu
przyjacielowi?

— Oh, wuju, naprawdę, że mnie o nic nie
chodzi, ani o Kraków, ani o nic — ale dziękuję,
całem sercem dziękuję, że się wuj o mnie zatro-
szczył — mówił Szczęśny urwanym szeptem, obej-
mując w mroku spojrzeniem gorącej wdzięczności
i przywiązania pocziwą twarz wuja Stacha.

VI.

Nazajutrz był dzień rozdania świadectw. Felo
powracając ze szkoły, biegł prawie przez ulicę,
u drzwi mieszkania przycisnął drzwonek tak, że
go o mało nie wgniół i wpadł w podskokach do
salonu, podnosząc wysoko w górę swoje świade-
ctwo: — Dwa bardzo dobre, pięć dobrych, jedno
tylko dostateczne! jeszcze jak żyję nie miałem ta-
kiego doskonałego świadectwa! niechże mię ma-
muńcia uściska za to! — wołał uradowany i rzucił

się na szyję pani Borowskiej, zajętej właśnie robieniem papierosów dla ojca i wuja.

Szczesny, nic nie mówiąc, podał także swoje świadectwo; wuj Stanisław przechylając się ponad ramię pani Borowskiej, rzucił na nie okiem i rozpromienił się.

— Winszuję ci, mój chłopcze — rzekł serdecznie wyciągając rękę do Szczęsnego.

Istotnie było czego winszować, bo znajdowały się tam same tylko najlepsze stopnie wypisane jeden pod drugim, jakby na wzór, jakim powinno być świadectwo dobrego ucznia.

Pani Borowska tuląc Szczęsnego do piersi szepnęła: „Dziękuję ci, moje dziecko, że nam taką radość sprawiłeś, ojciec będzie z ciebie zadowolony! — i ty sam Szczesny rozwesel się, zapomnijmy już o wszystkim co zaszło, niech te wakacje przyniosą wam chwile prawdziwej swobody i radości, na jakie zasłużyliście waszą pracą.

Szczesny nie mówiąc nic, okrywał tylko pocałunkami ręce matki. Felo pobiegł do kuchni, aby się przed kucharką swoim świadectwem pochlubić.

Dzień ten upłynął prawdziwie wesoło w domu państwa Borowskich; zaczęło się już pakowanie i przygotowywanie do wyjazdu, pani Borowska z pomocą służących, a nawet i wuja Stasia, składała do pak i kufrów dywany, portjery, futra, aby je na czas lata przed molami zabezpieczyć, Felo i Terenia usiłowali niby także być użytecznymi, ale zbytek dobrego humoru sprawiał, że więcej dokazywali i śmieli się niż pomagali; Szczesny doznał uczucia, jakby mu się nagle z piersi usunął

duży kamień, gdy zobaczył, jak twarz Ojca rozjaśniła się po przeczytaniu jego świadectwa i usłyszał łagodne słowa: — Tem świadectwem możesz się ty sam i my za ciebie pochlubić — daj Boże, żebyś nigdy w życiu nie miał innego!

Nazajutrz w południe p. Borowska z bratem i dwojgiem młodszych dzieci wyjeżdżała już do Krakowa; Szczesny z Ojcem odprowadzali ich na kolej. Szczesnemu dopiero w ostatniej chwili prawdziwie żal się zrobiło, że nie miał odbyć wspólnie tej pierwszej, najmilszej połowy całej podróży: dotąd dręczyło go tyle ważniejszych kłopotów, że nie myślał prawie o tem. Wiedział zresztą, że nie mogli jechać wszyscy razem, gdyż u owej maminej przyjaciółki mieszkanie było ciasne, niemożliwem więc było najeżdzać ją w tyle osób — ale w każdym razie szkoda, że to właśnie na niego wypadło pozostać w domu. Gdy fiakry już zajechały, (p. Borowska nie zносиła jazdy autem), Felo posprzeczał się z Terenią o to, które z nich siądzie razem z Matką, w tyle powozu, a które na przednim siedzeniu. Terenia broniła swoich praw na mocy tego, że panienkom zawsze należy się pierwszeństwo, Felo zaś dowodził, że on w czasie podróży będzie odgrywał rolę opiekuna, że będzie w swej torebce miał bilety jazdy i kwit na rzeczy, więc powinien zajmować lepsze miejsce, a nie, jak jakieś tam dziecko, siedzieć na przodzie. Przy tych słowach chciał wcale energicznie usunąć siostrzyczkę, ale surowe spojrzenie p. Borowskiego przywołało go do porządku. Szczesny wskoczył na kozioł fiakra, którym jechali Ojciec i wuj; chciał być

tym sposobem bliżej swego „przyjaciela“, z którym żał mu było rozstawać się, choćby tylko na dwa dni.

Obawiając się spóźnienia, jechali całym pędem w stronę dworca — wkoło nich turkotały wozy, gwizdały auta i dzwoniły tramwaje, tak, że Szczęsny nie mogąc z powodu hałasu brać udziału w rozmowie Ojca z wujem, pograżył się w rozmyślaniach. Jego, w tym jednodniowym pobycie we Lwowie, czekała jeszcze ciężka i trudna chwila: jutro właśnie miał pójść do Henryka, załagodzić zaszłe między nimi nieporozumienie — dotąd odkładał ten niemiły obowiązek z dnia na dzień, oglądając się niby na stan zdrowia Henryka, który zaczął dopiero podnosić się z łóżka, ale w tym ostatnim dniu przed wyjazdem musiał już zdobyć się na te odwiedziny. Ojciec nigdy nie zgodziłby się na to, aby jego nakaz pozostał niespełniony.

W chwili gdy Szczęsny rozmyślał nad tą przykrą koniecznością, parę słów wyrzeczonych głośniejsz przez wuja Stasia zwróciło jego uwagę na rozmowę obu panów.

— Czy sądzicie jednak, że mu nie będzie tem przykrzej dowiedzieć się o tem kiedyś? teraz oswoiłby się łatwo z tą myślą, a gdy dorośnie, już sama zmiana położenia...

— Jak możesz nawet przypuszczać zmianę położenia — przerwał żywo p. Borowski — żadno z moich dzieci nie dostanie ani grosza więcej od niego! Podzielimy ich równo majątkiem, tak jak dzielimy równo sercem — choć wierzę mi, że to drugie bywa czasem trudniejsze.

— Niktby się tego nie domyślił, patrząc na was — uśmiechnął się wuj.

— Tak, staramy się, aby nie odczuł nigdy tej różnicy, która koniec końcem w głębi serca istnieć musi; pieścimy go o tyle, o ile tylko da się to pogodzić z rozwijaniem i kształceniem jego charakteru, który choć w gruncie szlachetny, przecież budzi we mnie nieraz poważne obawy.

— Istotnie, zdaje mi się, że psujecie go trochę za nadto; tego rodzaju usposobienia potrzebują może nieco silniejszej ręki, bo inaczej rozwija się w nich przesadne przekonanie o własnej doskonałości.

— Staramy się o ile możności przekształcić tę zarozumiałość w szlachetną ambicję; zresztą musieliśmy się najpierw postarać o zdobycie jego serca; dziś zdaje się przynajmniej, że kocha nas prawdziwie...

— Bezwątpienia — choć uczuciom jego brak może jeszcze głębszego podkładu — ale na swój sposób z pewnością kocha was szczerze — nie mogłoby być inaczej. Dobry zresztą chłopiec i pewnie pod waszym wpływem wyrośnie na prawdziwie zanego człowieka.

Szczęsny, pochwyciwszy przypadkiem pierwsze słowa tej rozmowy pobrał nagle i zacisnął kurczowo palce w około poręczy kozła, na której był wsparty, — zresztą nie zwrócił nawet głowy, nie zdradził najmniejszym ruchem, że słyszy prowadzoną półgłosem rozmowę i że każde jej słowo uderza go jak obuchem.

Zapomniał, że nie godzi się podsłuchiwać — natężył gorączkowo słuch, choć już nie tylko tur-

kot dorożek ale bicie własnego serca ogłuszało go poprostu.

— Boże, Boże! a więc tak jest naprawdę?! to już nie żadne złudne obawy, wysnute po części z własnej wyobraźni, ale niezachwiana, rozpaczliwa pewność odsłania się przed nim w jasnym, pogodnym świetle tego dnia — on przecie nie ma gorączki i słyszy dobrze, najwyraźniej, co mówią do siebie wuj i Ojciec... Ojciec?!... ach tak... Ojciec Fela i Tereni...

— Czy jeszcze czas na pospieszny do Krakowa? zapytał p. Borowski wysiadając żywo, gdy fiakier zatrzymał się przed dworcem.

— Już po pierwszym dzwonku, proszę pana, ale może jeszcze zdążymy — odparł posługacz kolejowy.

Pan Borowski pobiegł coprędzej do kasy kupować bilety, wuj Staś zajął się nadawaniem kuferków, p. Borowska, Felo i Terenia opatrywali i liczyli ręczne pakunki, pilnując, aby nic w powozie nie zostało. Szczęsny stanął na uboczu, patrząc na to wszystko takim dziwnym, szklistym wzrokiem, jakby myśli jego były o sto mil od tego gwarne dworca. W tej chwili matka skinęła na niego.

— Szczęsny — szepnęła łagodnie — zapewne dziś lub jutro wybierzesz się do Henryka... moje dziecko drogie, nie bierz-że sobie tego tak do serca, jakby potrzeba wyciągnięcia pojednawczej dłoni do kolegi była hańbą albo nieszczęściem! Między młodymi nieraz bywa, że się poróżnią i ktoś przecie musi zrobić pierwszy krok do zgody, a wierzaj

mi, że ten, kto się na tę odwagę zdobywa, nie powinien czuć się upokorzonym i zawstydzonym — przeciwnie! No, uściskaj mnie i bądź dobrej myśli! — zobaczymy się za dwa dni: pamiętaj, żebym cię zobaczyła tak wesołym, jak powinienes być, mając takie dobre świadectwo w kieszeni!

— O mateczko!... szepnął Szczęsny, a w głosie jego zadrgało jakby łkanie; przytulił rękę matki do ust i nagle na ciemnej, podróżnej rękawicze błysnęła łza.

— Do wagonu, do wagonu, bo się spóźnimy, wszystko już gotowe! — zawołał w tej chwili wpadając na peron wuj Stanisław, zdyszany i zaczerwieniony z pośpiechu. Wszyscy rzucili się do pociągu — w ostatniej chwili zniknął gdzieś posługacz trzymający ręczne pakunki, trzeba było szukać go po całym peronie, a tu konduktor stojąc już przy wagonie nawoływał do pośpiechu.

Nareszcie pakunki i podróżni znaleźli się razem, w jakimś, dość już zapelnionym przedziale drugiej klasy — p. Borowski i Szczęsny, zamienwszy z odjeżdżającymi błyskawiczne pożegnanie, wyskoczyli z wagonu na peron, konduktor zatrzasnął drzwiczki i równocześnie dał się słyszeć przeciągły gwizd lokomotywy.

Szczęsny stał z oczyma utkwionemi w okna wagonu, zdawało mu się, że matka lub któreś z rodzeństwa wyjrzy jeszcze do niego, ale nie oczekiwał się nikogo i dopiero, gdy pociąg ruszył i wyjechał już prawie po za dworzec, wydało mu się, że widzi w jednym z okien wuja Stasia, robiącego pożegnalne znaki chustką. Na ten widok, za-

miast odpowiedzieć podobnym znakiem, odwrócił głowę i dziwny wyraz goryczy przesunął mu się po twarzy i utkwiał na długo w ciemnych, posępnych oczach.

— Jedziemy tramwajem, Szczęsny — odezwał się p. Borowski; ja zaraz na Zygmuntońskiej wysiadę i zajdę jeszcze na godzinę do biura. Obiad zjemy dziś aż o czwartej, więc jeżeli głodnym się czujesz, wstąp kupić sobie na śniadanie jakiej wędliny albo owoców.

— Dziękuję Ojcu, nie jestem wcale głodny — odparł czerwieniąc się Szczęsny i cofnął żywo rękę przed srebrną dwuzłotówką, którą mu ojciec podawał.

Pan Borowski zachmurzył się nieco i nie odezwał już do syna ani słowem przez całą drogę.

Na rogu ulicy Zygmuntońskiej wysiedli; ojciec poszedł w stronę biura, Szczęsny zaś, przecinając na wskos ogród Jezuicki, podążył ku domowi. Szedł pośpiesznie, z głową spuszczoną i oczyma utkwionymi w ziemię tak, że nie spostrzegł nawet paru spotkanych kolegów.

Mieszkanie, w którym służący nie zdołali jeszcze uporządkować nieładu, jaki zwykle pociąga za sobą pośpieszne wybieranie się w dalszą drogę, wydało mu się dziwnie pustem i ponurem; kroki jego rozlegały się echem po obszernych pokojach; w saloniku, na stole, leżała papierośnica, zapomniana przez wuja Stanisława i ćwiartka papieru, zapełniona wizerunkami jakichś fantastycznych postaci, których rysowaniem Felo zabawiał się wczorajszego wieczoru. Nad każdym pociągiem

widniał napis: do Krakowa! z nieskończonym szeregiem wykrzykników, mających zapewne wyrażać radość Fela z powodu wyjazdu. Szczęsnemu serce się ścisnęło — przypomniał sobie jak wczoraj wieczór on sam był jeszcze wesół, rozradowany nadzieją wakacji — jak kochał wuja Stasia.. w ciągu jednego dnia, a raczej tylko jednej godziny, wszystko zmieniło się... zmieniło naturalnie dla niego samego tylko! — tamci, weseli, szczęśliwi, pojechali razem, nie rzuciwszy mu nawet pożegnającego spojrzenia. Nikt z pewnością nie pożałował, że on nie jedzie razem, bo nikt nie kochał go... nikt, nikt!... Ani Felo ani Terenia, ani wuj Staś, który obiecywał mu być przyjacielem, ani...

Szczęsny zawahał się — nawet w myśli nie mógł wypowiedzieć tych strasznych słów: że go mateczka nie kocha! — Kocha go, ona jedna kocha go choć trochę, bo inaczej Szczęsny nie wytrzymałby z pewnością — umarłby! Ale i ona może więcej ma litośnego współczucia dla biednego, przygarniętego w dom sieroty, niż gorącego, serdecznego przywiązania, jakie ma dla własnych dzieci. Z Terenią nigdy Szczęsny nie porównywał się; Terenia dziewczynka, najmłodsza, nic dziwnego, że ją wszyscy najbardziej pieczą, ale i Fela przecież Matka dłużej zawsze tuli w objęciu i do Fela uśmiecha się częściej niż do niego, któryby przecież na jedno jej skinienie gotów w ogień skoczyć! Szczęsny nie dziwi się w tej chwili tej różnicy; po raz pierwszy w życiu mówi sobie prawie głośno: to naturalne! tak być musi, — on ma większe prawo do ich miłości — a jednak

serce buntuje się w nim strasznie przeciw temu, co sam rozsądek stara się uznać za słuszne i sprawiedliwe! Biedne serce, ono tak na gwałt dopomina się tej miłości rodzicielskiej, do której nie ma właściwego prawa, ale którą radeby choćby życiem okupić...

Pochylił głowę na rękach i łkanie głośnie, tak długo wstrzymywane, rozdzierające bolem pierś tego chłopczyny, pół dziecka jeszcze, pół już młodzieńca, rozległo się w cichym i pustym saloniku.

Kwadrans trwał ten płacz spazmatyczny; nareszcie Szczęsny podniósł głowę i oczy pełne iskier i łez jeszcze nieobeschniętych — na twarzy miał wyryty wyraz silnego postanowienia: Tak! to jedyna droga, jaka przed nim stoi otworem, jedyny sposób załagodzenia, jakkolwiek tej goryczy, tego straszego żalu, który go ogarnął i powłókł chmurą całą, rozwijającą się przed nim przyszłość. Kiedy jest sam na świecie, bez jednego serca, któreby go tak kochało i rozumiało, jak on tego pragnie, więc niechajże będzie sam odtąd i w życiu — niech sobie daje radę tak, jak powinien chłopiec ubogi, niekochany, sierota!... Co mu po wszystkich dostatkach, którymi otoczony był dotąd — to wszystko tylko darowane, z łaski, a on łaski nie potrzebuje od nikogo, nawet od tych, których najbardziej kocha — o! przedewszystkiem od tych właśnie! I nie potrzebuje tych wakacji u wuja Stasia, co się mianował jego przyjacielem, a poza oczy mówił o nim takie rzeczy i takim tonem! Nie potrzebuje nic, od nikogo — kiedyś, gdy wyrośnie na rozumnego i zacnego człowieka, powróci tu dopiero

i wtedy wszyscy przekonają się, że on przecież zasługiwał na tę miłość, której tak pragnął! że, choć odtąd o własnych siłach będzie szedł przez życie, więcej chłuby potrafi przynieść rodzicom niż Felo, nad którego wychowaniem czuwać będą tak troskliwie, opłacając mu nauczycieli, dostarczając wszelkich środków kształcenia — podczas gdy Szczęsny każdą książkę, każdy kawałek chleba i dach nad głową będzie musiał zdobywać własną pracą.

Drżąc ze wzruszenia z gorączkowymi rumieńcami na policzkach, pobiegł do szkolnego pokoju i wydobył ukrytą na samym dnie szufladki małą, czarną notatkę. Na jej pierwszej kartce, zapisany był niebieskim ołówkiem jakiś adres. Szczęsny odczytał go, spojrzął na zegarek i chwyciwszy czapkę, wybiegł copędzej.

Ach, żeby tylko nie było za późno! Tyle dni, tyle czasu zmarnowanego.

VII.

W jednym z pierwszorzędných miejskich hoteli, w ładnym pokoju z balkonem, siedział nad gazetą i fajką niemłody pan, o twarzy pięknej, bardzo łagodnej i ruchach powolnych, pełnych ociężałości, której przyczyną była zapewne nadmierna tusza. Siedział, niby czytając, a więcej jeszcze drzemiąc, gdy wtem nieśmiałe pukanie do drzwi wyrwało go ze słodkiego spoczynku.

— Kto tam? proszę wejść, bardzo proszę — odezwał się uprzejmie, poprawiając machinalnym ruchem krawatę, która w czasie drzemki przesunęła mu się była pod lewe ucho.

Do pokoju wsunął się wysmukły studencik i skłoniwszy się nieśmiało, ale ruchem, znamionującym dobre wychowanie, zapytał nieco przyciszonym głosem: Czy zastałem pana hrabiego Złotockiego?

— A no, toćże mnie widzisz przed sobą kawalerze, rozśmiał się żartobliwie gospodarz pokoju — a czemże ci mogę służyć?

— Przeczytałem w „Słowie“, że pan hrabia poszukuje na wakacje korepetytora do swego synka...

— Do mego wisusa? hm... poszukuję i nie poszukuję, bo się tu już tylu amatorów na to miejsce zgłosiło, że mógłbym cały powiat w korepetytorów zaopatrzyć — no, ale co prawda umowy jeszcze nie zrobiłem z żadnym — dodał pośpieszenie, ujęty może wyrazem niepokoju, jaki ostatnie jego słowa wywołały na twarz studenta. — No, a kawaler skończył już przynajmniej piątą klasę?

— Skończyłem; oto moje świadectwo.

Pan Złotocki założył okulary i z wielką uwagą zaczął przyglądać się świadectwu.

— Pi, pi! bardzo pięknie, powiem nawet wspańiale, same celujące — rzekł po chwili z uznaniem, oddając cenny papier Szczęsnemu — no, próbowałeś już kiedy bakalarzować?

— Jeszcze nie — szepnął chłopiec czerwie-

niąc się — ale mam nadzieję, że potrafiłbym. Gdy się ma dobre chęci, to nie jest znowu tak trudno.

— Ha, jak komu, to już zależy od talentu — ja bo widzisz nie potrafiłbym nikogo nauczyć nawet abecadła — ale zresztą, co do lekcji, może by to jakoś poszło, bo mój Wisus nadzwyczaj zdolny chłopiec. Wicus mu na imię, ale nazywam go Wisus, bo trochę tak... figle mu w głowie — no, nie dziwnego, czas mu jeszcze na rozum. — A ty, jak się nazywasz? nie przeczytałem na świadectwie.

— Szczęsny Borowski.

— Borowski? może syn Kazimierza?

— Zygmunta — odparł cicho Szczęsny, a purpurowy rumieniec jak luna oblał mu twarz przy tej indagacji.

Pan Złotocki przypatrywał mu się z uśmiechem dobrotliwym, ale trochę zakłopotanym, jakby pragnął jeszcze o coś zapytać i powstrzymywał się przez zbytek delikatności.

— Hm... mój Szczęsny... sam nie wiem, co ci w tej chwili powiedzieć... podobasz mi się; wcale, wcale dobrze z oczu ci patrzy — ale widzisz, mówiłem już także z dwoma innymi, więc musiałbym się namyśleć... zdecydować.

— Może mam się później zgłosić po odpowiedź — szepnął Szczęsny.

— A tak, tak, zapewne, to będzie najlepiej — zgłoś się jutro przed południem; ale na wszelki wypadek przygotuj się trochę do drogi, bo gdyby nasza umowa przyszła do skutku, to musiałbyś jechać jutro ze mną razem, pośpiesznym, o godzinie drugiej minut czterdzieści — a ja nie lubię się

spieszyć na kolej; zawsze półtora godziny przed odejściem pociągu wyjeżdżam z hotelu.

— Będę gotów, o której pan hrabia każe.

Złotocki uśmiechnął się i żartobliwie poklepał chłopca po zarumienionym policzku.

— „Hrabiego“ sobie schowaj, kochanku dla drugich. Wiem, że jestem hrabią, ale nie lubię, gdy mi to wypominają. No, przyjdźże jutro o jedenastej, to się może porozumiemy.

Szczesny skłonił się i pośpiesznie wyszedł z pokoju; jak strzała przemknął się przez korytarze; zdawało mu się, że służący patrzą za nim, że z każdych drzwi gotów wyjść ktoś znajomy i zapytać go, co tu robi sam jeden? kogo szuka w tym hotelu? Na ulicy dopiero odetchnął swobodniej; serce miał przejęte niepokojem, ale zarazem pewnem uczuciem dumy i zadowolenia.

Ten pierwszy, samodziśny krok na drodze nowego życia nie poszedł mu źle; czuł instynktownie, że się podobał Złotockiemu, a jakie dobre wrażenie zrobiło świadectwo! Ach, żebyż prędzej dojechać jutra! żeby go nie ubiegli tamci dwaj, co może więcej umieli obiecywać, lepiej potrafili zachwalić swoją gorliwość i umiejętność. — Ale nie. — Szczesny miał jakieś przeczucie, że to miejsce nie komu innemu, tylko jemu się dostanie — on tak strasznie tego pragnął!

Przed rozgorączkowaną wyobraźnią młodego chłopca przesuwwały się kolejno obrazy tego nowego, pełnego pracy i przygód życia, które miał teraz rozpocząć. Miejsce korepetytora na wakacjach było pierwszym krokiem na tej drodze; co dalej

ze sobą robi, nie wiedział jeszcze, ale był pewny, że da sobie radę. Tylu kolegów jego utrzymywało się już prawie samodzielnie z lekcji, a żaden przecie nie miał większych od niego zdolności ani ochoty do nauki. Wprawdzie Szczesny przypomniał sobie, że, jak mu to ci koledzy opowiadali, warunki ich życia były bardzo ciężkie: ciasny kąk w izdebce stróża, na obiad nieraz tylko postna kasha albo kartofle, i mundurek wytarty na wszystkich szwach — ale to nic! te przeciwności, to właśnie owa próba charakteru, z której chłopiec postanawiał wyjść zwycięsko. — Za to nie będzie nic nikomu zawdzięczał — będzie kochał — o zawsze równie gorąco! swoich..., przybranych rodziców — ale tem śmielej będzie im to okazywał wtedy, gdy nic od nich potrzebować nie będzie.

Pan Złotocki udał się nazajutrz o wczesnej godzinie do dyrektora gimnazjum, którego Szczesny był uczniem. Pragnął zasięgnąć bliższych informacji o chłopcu i ucieszył się szczerze, gdy posłyszawszy nazwisko Szczesnego Borowskiego, dyrektor uśmiechnął się z zadowoleniem:

— A panie! to jeden z najporządniejszych uczniów — prowadzi się i uczy wzorowo — jest może nieco za poważny na swój wiek, no, ale jeżeli ma być rodzajem opiekuna dla młodszego chłopczyka, to tem lepiej.

— Niezawodnie; mój Wisus potrzebuje starszego, rozsądnego towarzysza; chciałem nawet wziąć mu na korepetytora jakiegoś akademika, ale się wyprosił — bo to panie dziecko, to woli mieć do czynienia z młodszym — w wolnych godzinach będą razem jeździć konno, grać w krokieta.

— Co do nauk Borowski ma zupełnie dostateczne kwalifikacje — mówił dyrektor. Zastanawia mnie tylko, dlaczego on poszukuje miejsca korepetytora; sądziłem zawsze, że to ludzie zamożni — ojciec jest inżynierem i ma wyższe stanowisko w banku naftowym. Być może jednak, że te niewyraźne stosunki powojenne nadszarpnęły ich nieco.

— Oj bywa tak, panie Dyrektorze — westchnął Złotocki — skoro jednak to dziecko z dobrego domu, które pragnie przyjść z pomocą rodzicom, tem bardziej będę się starał, aby mu u mnie dobrze było.

— Czy pan dobrodziej porozumiewał się może w tej kwestji z jego ojcem?

— Prawdę powiedziawszy nie zrobiłem tego dotąd — choć możeby należało. Ostatecznie — jeszczebym zdążył zająć do nich do domu, ale po tem wszystkiem co od pana dyrektora usłyszałem, wydaje mi się to zbyt cennem. P. Borowskiego znam z młodych lat, bywaliśmy razem w jednym kole towarzyskiem — skoro, jak p. dyrektor przypuszcza, są obecnie w przykrem położeniu, moja wizyta, umawianie się o belferkę dla syna, mogłoby mu być niemiłe. Układ z chłopcem wystarcza mi; niepodobna przecież, żeby się starał o korepetycję bez zezwolenia rodziców, zwłaszcza, jeśli znany jest panu dyrektorowi z tak dobrej strony...

— Z jak najlepszej — potwierdził dyrektor i obaj panowie pożegnali się uprzejmie.

VIII.

Tegoż samego dnia o godzinie drugiej minut czterdzieści, w pociągu pospiesznym, odchodzącym ku rosyjskiej granicy, zajął osobny przedział pierwszej klasy, poważny, wspaniale wyglądający pan w towarzystwie młodego wysmukłego studencika.

— No, chwała Bogu, żeśmy się nie spóźnili — westchnął z widoczną ulgą, sadowiac się wygodnie na miękkich poouszkach. — Ja bo widzisz mój kochany, póki pociąg z miejsca nie ruszy, zawsze bywam w obawie, czy mi co nie przeszkodzi wyjechać — a to by była dla mnie ogromna przykrość; tam w domu czekają, Wisus mało ze skóry nie wyskoczy, bo mu obiecałem przywieść, oprócz korepetytora, kaszkieci i rajtpajcz do konnej jazdy.

— Synek pana dobrodzieja musi lubić konie — wtrącił Szczęsny tonem silącym się na uprzejmość, mimo że go to zestawienie korepetytora z rajtpajczem nieco dotknęło.

— Ho, ho! czego on nie lubi! chyba jednych książek — no, ale to trudno, dziecko jeszcze i żywe jak iskra; z czasem nabierze rozumu. A ty umiesz jeździć konno?

— Umiem trochę; jeździłem czasem na wakacjach u krewnych; ale wielkiej wprawy nie mam.

— U mnie się wprawisz; dam ci na początek spokojnego konia, będziesz mógł codziennie jeździć na spacer. No a teraz, jeśli chcesz, przeczytaj sobie ranne gazety, a ja zdrzemnę się trochę; na takie gorąco to najlepszy sposób spędzenia czasu w wagonie.

Pan Złotocki ułożył się wygodnie do drzemki, a Szczęsny utkwiał oczy w podaną mu gazetę i zdawał się z wielkiem zajęciem czytać jakąś korespondencję z Londynu. Nie czytał jednak; serce tłukło mu się tak silnie w piersi, że mimo stuku wagonów słyszał prawie uchem jego uderzenia. Każdy obrót kół oddalał go od rodzinnego domu, w którego ścianach przeżył tyle chwil swobodnych i szczęśliwych, nim odkrycie strasznej tajemnicy zatruło mu każdą pieszczotę matki, każdą uroczystość rodzinną, a nawet każdy posiłek przy wspólnym stole. — Kwadrans na czwartą — w tej chwili pewnie ojciec powraca z biura do domu; za pół godziny, za godzinę najdalej, zaniepokojony jego przedłużającą się nieobecnością, zacznie rozpytywać się służących, chodzić po pokojach i wtedy znajdzie list, położony na biurku. List krótki, ale w którym Szczęsny starał się zamknąć wszystkie uczucia, które rozrywały mu piersi w chwili wyjścia z domu na zawsze.

— „Ojcze, Matko! — pisał — darujcie mi, bo nie mogłem inaczej postąpić! muszę zacząć pracować na siebie, iść przez życie o własnych siłach, inaczej nie wiem, co by się ze mną stało! Przyjąłem na wakacje miejsce korepetytora u hr. Złotockiego z Łubienki — a co dalej zrobię, nie wiem jeszcze, ale uwiadomię was o każdym moim kroku i przysięgam, że postępowaniem mojem zawsze tylko pociechę i chlubę przynosić wam będę. Darujcie mi więc to jedno wielkie zmartwienie, jakie Wam sprawiam, ópuszczając dom pokryjomu. Ja nie jestem niewdzięczny, kocham Was z całej du-

szy — ale inaczej postąpić nie mogę. Przebaczenie mi i kochajcie choć trochę, Waszego Szczęsnego“.

Co ojciec powie, gdy ten list przeczyta? czy przebaczy? czy domyśli się, jakie uczucia i skrupuły pchnęły w szeroki świat, na twardą drogę pracy i walki o kawałek chleba tego, co mógł mieć w jego domu opiekę i wygody i miłość nawet, tylko nie taką, jakiej pragnął? Mateczka z pewnością płakać będzie, gdy się dowie o wszystkim... na tę myśl i Szczęsnemu łzy napływają do oczu, ale powstrzymuje je gwałtownie i spogląda z obawą w stronę p. Złotockiego, czy nie został podpatrzony. Obcy nie lubią smutnych twarzy, zresztą Szczęsny wolałby zginąć, niż spotkać się ze spojrzeniem obojętnej litości. Będzie zatem wesół zawsze i taki gorliwy w spełnianiu przyjętych obowiązków, żeby broń Boże nie ściągnąć nigdy na siebie najmniejszego niezadowolenia. Jakie to szczęście, że ten pierwszy, nieznajomy chlebowodawca, przyjmujący go w swój dom, dobrocią i uprzejmością swoją pozyskał sobie odrazu serce i zaufanie nieśmiałego i drażliwego chłopca. Wszak mógłby być szorstki, odpychający, a i tak jeszcze trzebaby przyjmując u niego miejsce. Chcąc mieć kawałek chleba nie można przebierać podług swego upodobania. Szczęsny czuje to doskonale i przysięga sobie, że przyjmie zawsze każdą uczciwą pracę, byle nie przechodziła sił jego i uzdolnienia.

— A to co, Tarnopol?! zawołał nagle, zrywając się p. Złotocki, gdy pociąg zatrzymał się przed dużą, gwarną stacją — a no, kawalerze, napijmy się kawy; wprowadzie w Łubience dostali-

byśmy lepszej, ale w podróży trzeba brać, co Bóg da: byle z głodu nie zamarzeć.

I p. Złotocki, śmiejąc się wesoło, kiwnął na kelnera roznoszącego kawę na peronie.

Łubienka, był to ładny majątek, położony w malowniczej podolskiej okolicy między Tarnopolem a Zbarażem. Dwór otoczony był dużym ogrodem, przez którego ciemnozielone świerki i dęby przebłykiwało stalowe oko stawu. W ogrodzie była huśtawka, tenis, kroket, słowem wszelkie przybory do najrozmaitszych gier i zabaw na świeżym powietrzu.

Na stację kolei wyjechał po p. Złotockiego elegancki, żółty kocz, zaprzężony w parę pięknych kasztanów, które do słońca wydawały się prawie złote. Służący w nowiuteńkiej granatowej liberji, zajął się odebraniem rzeczy i w momencie wszystko było załatwione. P. Złotocki z pewną trudnością wgramolił się do powozu, wskazał Szczęsnemu miejsce obok siebie i rączy konie, jak wiatr, pomknęły szerokim gościńcem, prowadzącym ku Łubience.

Szczesny z upodobaniem przyglądał się pięknym i urozmaiconym widokom, które przesuwaly się im przed oczami. Szybka jazda, wygodnym i eleganckim powozikiem, sprawiała prawdziwą przyjemność chłopcu, nieoswojonemu jeszcze ze wsią; przychodziło mu na myśl, że w takich warunkach wcale miło będzie spędzić wakacje, i parę godzin pracy z małym uczniem sownie będą wy-

nagrodzone codzienną konną jazdą, kąpielami w stawie i innymi przyjemnościami, które obiecywał mu p. Złotocki. Jednak im bliżej dojeżdżali do domu, tem większa ogarniała go nieśmiałość i obawa, jak będzie przyjętym przez całą tę rodzinę, nie znającą go wcale, nie wiedzącą o nim nic, która sądzić go będzie tylko z jego sposobu bycia — a czy Szczęsny potrafi zachować się tak, aby sobie zjednać życzliwość wszystkich? Dotąd jeszcze nigdy, względem nikogo nie był na zależnem stanowisku — obcował z wszystkimi jak z równymi sobie — a tu taka swoboda obejścia gotowa może być mu za złe wzięta? Ach, gdybyż jeszcze z parę mil było do tej Łubienki! Z panem Złotockim oswoił się już i sam na sam z nim było mu zupełnie dobrze i miło.

W tej chwili powóz, wprost z szerokiego gościńca, skręcił w cienistą lipową aleję i w parę minut zatoczył się przed ganek dużego murowanego dworu, zasługującego prawie na miano pałacu. Kilka psów wypadło z zarośli z głośnym szczekaniem, które się zamieniło w objawy radości, gdy poznały siedzącego w powozie pana.

Na ganku zjawiała się wysoka, ciemno ubrana pani, a obok niej chłopak lat dziesięciu może, brudny, nieuczesany, w ubraniu mocno zakurczonym i z jedną kieszenią naddartą — z drugiej wysuwały się kawałki sznurka, jakieś pręty, papiery i tym podobne rupiecie, obficie ją wypełniające.

— Tato, tato! a co mi tato przywiózł? — zawołał chłopiec, nim jeszcze wysiedli z powozu.

Szczesny zdumiał się — nie spodziewał się

żeby syn hrabiego Złotockiego mógł tak wyglądać — z powierzchowności był to prawdziwy „wisus“, w całym znaczeniu tego słowa.

— Przywiozłem ci coś i kogoś — odparł, wysiadając ojciec.

— To niech tatko prędko daje te „coś“, bo ja „kogoś“ wcale nie ciekawy, to nie jest żaden prezent — odparł Wicus, tonem, objawiającym niezbyt wiele uprzejmości.

Pan Złotocki tymczasem witał się z żoną, która zaczęła mu zaraz przyciszonym głosem opowiadać po francusku jakąś bardzo żywo ją poruszającą historję, przyczem kilka razy załamała ręce, ruchem graniczącym bardzo blisko z rozpaczą.

P. Złotocki słuchał z uśmiechem wpół pobłażliwym, wpół obojętnym. — Ale moja Natalciu, czego się tak emocjonujesz lada drobnostką — zaczął ją wkońcu uspokajać — to rzecz zwykła, że sobie malec trochę poswawoli — teraz, gdy będzie miał obok siebie starszego i rozsądniejszego towarzysza, zagustuje może w spokojniejszych zabawach.

Przy tych słowach zwrócił się do Szczęsnego, który stał zmieszany na uboczu, nie wiedząc sam, co z sobą zrobić — i rzekł, przedstawiając go żonie:

— Oto jest właśnie Szczęsny Borowski, który podjął się w czasie wakacji dawać lekcje Wicusowi.

Szczęsny przystąpił bliżej, chcąc panią domu pocałować w rękę na powitanie, ale ona skinęła mu obojętnie głową, a zwracając się do męża rzekła z kwaskowatym uśmiechem: Taki młody!

— Nic nie szkodzi, będą się lepiej bawić razem, a dyrektor gimnazjum zachwalił mi go jako nadzwyczaj porządnego ucznia. — Ale, gdzież Wisus, chciałbym, żeby się zaraz poznali i zaprzyjaźnili.

„Wisus“, nie tracąc czasu, zabrał się był goriwie do przetrząsania podróżnych pakunków ojca, zapewne w celu wydobycia obiecanego mu podarunku; bardzo też powoli i niechętnie pospieszył na wezwanie p. Złotockiego.

— Podajże rękę Szczęsnemu — namawiał go ojciec — widzisz, on tu umyślnie przyjechał, ażeby się z tobą uczyć i bawić w czasie wakacji. Oprowadź go po całym domu i ogrodzie, bo to twój gość.

— Jaki mi tam gość, korepetytor! — mruknął pogardliwie Wicus. — Jak chce, to niech idzie ze mną, ale ja go nigdzie oprowadzać nie myślę.

— Oj, wisusie! wisusie! rozśmiał się p. Złotocki, głaszcząc jedynaka po głowie — teraz to się bardzo stawiasz, a pamiętasz, jak mnie prosiłeś, żebym ci przywiozł towarzysza do zabawy.

— Prosiłem, ale mi się ten nie podoba — odburknął Wicus i nie czekając dłużej, obrócił się na pięcie i pomknął gdzieś w stronę gospodarskich budynków.

— Mój drogi Szczęsny, pójdz za nim — rzekł p. Złotocki — sami we dwóch najlepiej się ze sobą zapoznacie i przełamięcie pierwsze lody. Nie zrażaj się też, proszę cię, tem, że Wisus w pierwszej chwili nie okaże się może bardzo uprzejmym. To już taka natura, że nie umie nic robić dla formy

na rozkaz, ale za to, gdy się raz przywiąże, zobaczysz, jakie to złote serce!

Szczęśny pomyślał, że przy owem złotem sercu nie zawadziłoby także trochę grzeczności, na którą można się przecież zdobyć, nie czując żadnego przywiązania — nie rzekł jednak nic i w milczeniu zwrócił się w stronę, w którą pobiegł Wicus. Niegrzeczne zachowanie się małego ucznia, jak również obojętna mina z jaką przyjęła go pani domu, przed wrażliwym umysłem chłopca przesłoniły odrazu, niby ciemną chmurą wszystkie dobre nadzieje obudzone życzliwą uprzejmością p. Złotockiego; zrobiło mu się tak zimno, tak pusto w tem obcym otoczeniu, że nagle straszna tęsknota za domem, ścisnęła mu serce. Jakżeby pragnął w tej chwili skryć się w jakim cichym, własnym kącie, gdzieby go nie śledziły żadne obojętne spojrzenia — ale nie mógł tego uczynić — kąta własnego nie miał już teraz na świecie, natomiast posłano go aby szedł za Wicusiem, którego podjął się pilnować i uczyć — obowiązek rzecz pierwsza.

— A hu! wykrzyknął nagle Wicus, wypadając z za krzaków i uderzając głową w plecy Szczęsnego, niby rozhukany koziołek — a kto ci pozwolił przychodzić tutaj? to mój dziedziniec! nikomu się tu włóczyć nie wolno.

— Ja się też nie włóczę, tylko przyszedłem zobaczyć, co ty robisz — odparł Szczęśny, siłąc się na przybranie tonu łagodnej powagi, zamiast się ofuknąć na niegrzeczne malca, do czego miał wielką ochotę.

— Oho! a cóż ciebie to obchodzi, co ja robię?

— Obchodzi mię, bo twój ojciec życzy sobie, żebym ci dotrzymywał towarzystwa — przytem muszę zwrócić twoją uwagę, że nie wypada, abyś mi mówił po imieniu. Jesteś znacznie młodszy ode mnie i masz być moim uczniem, więc możesz mi mówić „pan“, tak jak każdemu nauczycielowi.

Szczęśny wygłosił te słowa tonem stanowczym i prawie uroczystym — zdawało mu się, że dobrze robi, zabezpieczając odrazu swoją powagę wobec swawolnego ucznia — ale Wicus wybuchnął na to takim śmiechem, że go chyba aż na drugim dziedzińcu słychać było.

— Ot, to mi dopiero pan! powtarzał wśród śmiechu — myślisz, że ja nie wiem, że ty jesteś zwykły piątoklasista? przecie widziałem twoją czapkę, a chciałbyś udawać profesora albo akademika.

Szczęśny zaczerwienił się wyżej uszu, zarówno z gniewu, jak ze wstydu, zrozumiał bowiem, że może istotnie żądanie, aby o kilka lat tylko młodszy od niego chłopiec mówił mu „pan“ było nieco przesadzone i śmieszne.

— A więc mów mi jak chcesz, a raczej jak twój ojciec każe — rzekł prędko — mnie to wszystko jedno — chciałem tylko ze względu na ciebie samego, żebyś się uczył grzecznie zachowywać.

— Niech cię o to głowa nie boli — odrzucił Wicus — ty mnie masz uczyć niemieckiego a nie grzeczności! ja jestem hrabia, więc wiem lepiej niż ty sam, jak się trzeba zachowywać.

Jak widzimy, niezbyt rozkoszną miała być dla Szczęsnego ta pierwsza próba samoistnej pracy

na chleb; biedny chłopiec nie wiedział już, jakim tonem odzywać się i co mówić; nie chciał zaraz w pierwszym dniu przychodzić do awantury ze swoim uczniem, a jednak uszczypliwy i lekceważący ton niegrzecznego malca dotykał go do żywego. Z radością też zobaczył na ścieżce ogrodu p. Złotockiego, idącego ku nim krokiem o tyle spieszonym, o ile na to pozwalała jego tusza.

— Chłopcy, zwracajcie ku stajniom — wołał z daleka wesołym głosem — chcę wam dziś jeszcze pokazać wózeczek, którym jutro pojedziecie na spacer. Kazałem go właśnie odlakierować i okuć na nowo, żeby wam mógł służyć przez całe wakacje. Możecie sobie rano jeździć konno a popołudniu wózkami.

— Dobrze, ale ja będę zawsze powoził, a on niech siedzi z tyłu, bo ja nie lubię jeździć, gdy kto inny powozi — oświadczył Wicusz.

— Mnie to nie stanowi żadnej różnicy; owszem wolę nawet nie powozić sam — odparł zgodnie Szczęsny, kontent, że rozmowa przeniosła się na temat mniej drażliwy.

Poszli razem z p. Złotockim ku gospodarskim zabudowaniom; obejrzeli mały wózeczek i parę kucyków, które do niego zaprzęgano; potem p. Złotocki kazał wyprowadzić na dziedziniec niewielkiego, ale wcale ładnego siwka i powiedział Szczęsnemu, że to jest przeznaczony dla niego wierzchowiec.

— Oh, takie stare konisko! skrzywił się pogardliwie Wicusz — jabym się wstydził jeździć na takim — on nie umie chodzić inaczej jak stępa!

— W tej chwili nie mam w stajni innego konia pod wierzch — Szczęsny więc tymczasem poprzestanie na takim, a może pod koniec wakacji będę mógł wybrać mu innego ze stada.

Szczęsny zrozumiał doskonale, że p. Złotocki mówił tak umyślnie, aby go uchronić od żartów i drwin Wicusia, a w gruncie dlatego tylko wybrał mu tak spokojnego konia bo obawiał się, aby z ostrzejszego nie spadł, nie umiając dobrze jeździć — jakże wdzięcznym mu był za tę dobroć i delikatność, okazywaną na każdym kroku. Gdybyż wszyscy w tym domu byli do niego podobni.

Służący przyszedł zaprosić ich na kolację; w jadalnym pokoju siedziały już przy stole, oprócz pani domu, dwie jeszcze starsze panie. Szczęsny dowiedział się później, że była to ciotka pani Złotockiej i jej dama do towarzystwa. Na razie jednak nikt nie przedstawił go im i one też nie zwróciły nawet uwagi na jego ukłon, czem zmieszany i onieśmielony usiadł obok Wicusia, na miejscu wskazanem mu przez p. Złotockiego.

Kolacja była wykwintna, podawana na bardzo eleganckiej zastawie przez starszego lokaja i ubranego w paskowaną liberję chłopaka, którzy cicho jak cienie krzątali się ustawicznie w około stołu. Szczęsnemu jednak apetyt jakoś nie służył; zdawało mu się, że wszyscy patrzą wciąż na niego jak je, co nabiera z półmiska — i on, który w domu odznaczał się zawsze starannem i zupełnie już poprawnem ułożeniem, tu przez onieśmielenie składał tylko nóż i widelec z ręki do ręki, ani wiedząc, jak się zabrać do jedzenia raków, które wła-

śnie podano. W dodatku mały sąsiad jego nieustannie trącał go nogą po pod stół, prawdopodobnie dla zwrócenia jego uwagi na dziwnie skomplikowaną fryzurę damy do towarzystwa i wspólnego uweselenia się jej kosztem. Raz potrącenie to było tak silne, że Szczęsnemu, niosącemu do ust kieliszek z winem, ręka zadrżała i rubinowa struga poląła się po śnieżnym obrusie. W tej samej chwili p. Złotocka zwróciła właśnie głowę w jego stronę; lokaj stojący w pobliżu poskoczył i zakrył zręcznie czerwoną płamę świeżą serwetą; zresztą oprócz Wicusia, który zachichotał głośno, nikt nie zwrócił najmniejszej uwagi na zaszły wypadek, ale Szczęsnemu zepsuło to ostatecznie humor i apetyt. Zawstydzony i zły zarówno na Wicusia jak i na siebie, nie był już w stanie przełknąć ani jednego kęsa — odetchnął lżej dopiero, gdy p. Złotocka podniosła się od stołu, dając tem znak że wieczerza skończona.

Po kolacji nowy kłopot: w domu zwykle całował matkę w rękę po każdym posiłku; gdy był gdzieś zaproszony do znajomych dziękował tak samo zawsze pani domu, tu jednak wszyscy podnieśli się widocznie, ani myśląc kłaniać się i dziękować sobie wzajemnie — on zatem nie wiedział, co mu zrobić wypadało — nie wiedział także, czy miał iść po kolacji z towarzystwem starszych do salonu, czy też podążyć za Wicusem, który oświadczywszy głośno, że mu się chce spać, zaczął mówić rodzicom dobranoc, wieszając się im przytem na szyi tak, że można to było uważać raczej za gimnastyczne ćwiczenia niż za synowskie uściski.

P. Złotocki, odgadując zapewne wahanie Szczęsnego, rzekł:

— Musisz być zmęczony po podróży; może wolisz pójść zaraz do swego pokoju, rozpakować się i wypocząć. — Zwracając się zaś do usługującego chłopaka, dodał:

— Idź, pokaż p. Borowskiemu, gdzie jego pokój i przekonaj się, czy tam wszystko dobrze przygotowane.

Powiedziawszy dobranoc państwu Złotockim, Szczęsny poszedł za służącym, który zaprowadził go na pierwsze piętro do miłego pokoiku z białymi firankami i balkonem; zaświecił mu lampę i zapytał, czy „p. nauczyciel nie każe sobie pomódz w rozpakowaniu rzeczy?“ i „czy będzie pijał śniadanie u siebie, czy też w jadalnym pokoju?“

Szczęsny zadowolony, że służba przynajmniej traktuje go z uszanowaniem odpowiedniem do poważnego stanowiska, jakie tu miał zająć, podziękował za pomoc, powiedział, że na śniadanie zejdzie zawsze na dół i odprawił chłopaka, bo pilno mu było użyć nareszcie choć paru chwil samotności.

Wyszedł na balkon i oparty o żelazną balustradę zaczął się wsluchiwać w łagodne szepty i szmery letniej nocy. Wiatr potrząsał zlekka gałęzmi lipy, wznoszącej się tak blisko balkonu, że ją prawie ręką dosięgnąć można było, od strony stawu dolatywało niekiedy głucho nawoływanie błotnego ptaka, zresztą cisza panowała zupełna — a ten spokój i mrok dziwną tęsknotą i smutkiem napełniał duszę młodego chłopca, wyrwanego na-

gle z hałasu i turkotu miejskiego w to milczenie i pustkę obcego domu. — Co oni też tam robią o tej porze? czy poszli wszyscy razem do teatru, czy też siedzą w saloniku u p. Górczewskiej, goszczącej ich w Krakowie i słuchają wesołych opowiadań wujcia Stasia. — Ach ten wuj Staś! to jego słowa były ostatnią kroplą goryczy, która przeważała szalę życia Szczęsnego; gdyby nie ten chłód i surowość, z jaką odezwał się o nim ten jego niby przyjaciel, który wkradł się w jego serce na to, aby je zranić i podeptać, kto wie, może Szczęsny nie byłby się zdobył na krok tak stanowczy i może w tej chwili, zamiast siedzieć sam jeden na tym balkonie, jechałby z Ojcem nocnym pociągiem do Krakowa, na spotkanie wszystkich swoich kochanych.

Jednak nie żałował, że się tak stało — ostatnie miesiące tyle przyniosły mu cierpienia, że zapragnął już koniecznie jakiejś zmiany, czuł się młody i odważny, porywała go myśl, żeby pracą własną zdobyć sobie niezależne stanowisko i kiedyś dopiero, po latach, zgłosić się po daninę miłości i uznania tych, którym żadnych materialnych dobrodziejstw zawdzięczać nie chciał.

Ale chcąc dojść do tego celu, trzeba było przede wszystkim nie rozrzewniać się wspomnieniami i tęsknotą, tylko żwawo i wesoło zabierać się do pełnienia podjętych obowiązków. Pod wpływem tej myśli Szczęsny rozpakował swój skromny, studencki kuferek, rozłożył w szafie rzeczy i kilka książek, które wziął był ze sobą i pomodliwszy się krótko ale gorąco, uspokojony jakoś i pełen dobrej otuchy zasnął.

Nazajutrz rano spał jeszcze, gdy postyszał silne stukanie do drzwi i głos Wicusia wołający: Wstawaj śpiochu! jeszcze się nie wyspałeś, a to przecież już dziewiąta i w całym domu wszyscy już dawno powstawali!

Przerażony, zerwał się odrazu na równe nogi i zaczął copędzej się ubierać. Spieszył się tak, że aż mu się ręce trzęsły, bo nieprzyjemnie mu było, że tak zasnął zaraz pierwszego dnia. — Gdy ubrany już zupełnie i gotów do wyjścia wkładał do kieszeni swój zegarek, zobaczył ze zdziwieniem, że wskazówki jego oznaczały dopiero godzinę siódmą — cóż się to stało? wszakże wczoraj nakręcił go jak najstaranniej, a zegarek ten nigdy nie miał zwyczaju zatrzymywać się lub spóźniać.

Gdy otworzył drzwi i wyszedł na schody, tajemnica została zaraz wyjaśnioną. Z bocznego korytarza wypadł Wicuś, śmiejąc się głośno i wołając: A co, dobrze cię przestraszyłem? A widzisz! byłbyś sobie jeszcze chrapał w najlepsze, a tymczasem wstałeś i musisz iść ze mną do ogrodu.

— Bardzo rad jestem z tego — odparł wesoło Szczęsny, który uznał, że najlepiej wziąć ten figiel z dobrej strony — rzeczywiście byłbym gotów spać jeszcze dłużej a rano taki cudny, że go szkoda tracić.

— No, to pij prędko śniadanie, a zaraz będziemy zaprzęgać kucyki i pojedziemy w pole.

Weszli razem do jadalnej sali, w której stół nakryty był już i zastawiony rozmaitymi przybarami do śniadania. Szczęsny miał znakomity młodzieńczy apetyt, to też wszystkie te wiejskie przy-

smaki wydały mu się bardzo pońętne — ale niestety, nie wiele mógł z nich skorzystać, bo Wicus, będący już po śniadaniu, stał nad nim i nieustannie nagał go do pośpiechu: — No, jedźże prędzej! coś ty tak dużo nabierasz? będziesz jadł dwie godziny. Czy ty nigdy jeszcze szynki nie widziałeś, że ładujesz taką porcję?

Na tę ostatnią uwagę, Szczęsny zaczerwieniony, położył odrazu nóż i widelec i rzekł głosem spokojnym, choć miał ochotę wyrzucić za drzwi niegrzecznego malca: — Już skończyłem, możemy iść, gdzie chcesz.

Wicus spostrzegł naturalnie, że jego niedelikatne uwagi nie dały gościowi skończyć śniadania, ale bynajmniej tem nie stropiony, rzekł: — Chwała Bogu, że się wreszcie najadłeś! teraz chodźmy do stajni. — I nałożywszy kapelusz na głowę jeszcze w pokoju, wyszedł, wyprzedzając Szczęsnego.

Na dziedzińcu folwarcznym zaczął nawoływać wszystkich furmanów i parobków stajennych; wydawał rozkazy, łąkał, że nie dość pospiesznie zapręgają, że kuce źle wyczyszczone i t. p. Nareszcie usadowił się na koźle małego wózeczka — a wskazując Szczęsnemu batem miejsce na tylnem siedzeniu, rzekł: No, włącz już raz, bo kuce zaczynają się kręcić — one nie lubią marudzenia.

— Czy żaden z furmanów nie jedzie z nami? — zapytał Szczęsny, wsiadając.

— Boisz się jechać ze mną samym? to dopiero tchórz! bądź spokojny, nie wywrócę cię — mógłbym powozić nawet czwórką, a nie dopiero parą takich komarów, jak te kuce.

— Nie boję się wcale! odrzucił Szczęsny, nie mogąc już pohamować swego podrażnienia — ale jeśli będziesz taki niegrzeczny, to wysiadę i wcale z tobą nie pojadę.

— Akurat! a ciekawym za co tatko ci płaci? masz mi dotrzymywać towarzystwa i jechać tam, gdzie ja chcę — a zresztą chcesz wysiadać, to spróbuj!

Przy tych słowach zaśmiał się szydlerczo i z całej siły zaciął batem konie, które odrazu klusem porwały się z miejsca, pociągając za sobą ledziutki wózek. Szczęsny był tak dotknięty i oburzony ostatnią odpowiedzią Wicusia, że w pierwszej chwili nie mógł nawet słowa przemówić; miał niezwalzoną ochotę wyskoczyć z pędzącego wózka, choćby nawet narażając się na potłuczenie, ale impertynencki śmiech Wicusia przykuwał go do miejsca. — „A za cóż ciebie mój tatko płaci?“... prawda — wszakże musiał dopełniać podjętych obowiązków, skoro pobierał za to płacę; był przykuty do boku nieznosnego chłopca tymi kilkudziesięciu zł. miesięcznej pensji i nie mógł dla dogodzenia własnemu uniesieniu porzucić go, pozostawić bez opieki.

Żwawe kucyki mknęły jak wiatr, kierowane wprawna na podziw ręką Wicusia — minęli już wieś, kościółek i skręcili na miękką, zieloną łąkę, po której wózek toczył się lekko, jak po aksamitnym kobiercu. Szczęsny nie mówił nic, ale z brwi jego ściągniętych i ust, które kilkakrotnie poruszały się i zamykały, nie wypowiedziawszy słowa, znać było, że stacza z sobą ciężką walkę i z trudem zdobywa się na postanowienie opanowania swej drażliwości i przełamania gniewu.

— Czyje to bydło tam się pasie pod lasem?
— rzekł wreszcie, wysiłkiem woli zmuszając się do tego obojętnego pytania.

— Nasze, naturalnie, — odparł Wicus, ze swobodą zdradzającą, że nie czuł się zupełnie ani winnym, ani też obrażonym na Szczęsnego. Rzeczywiście nie wziął był wcale na serjo zaszłej między nimi sprzeczki — wielka rzecz, że się trochę niegrzecznie odezwał; przecież nie miał obowiązku prawić ciągle samych komplementów.

— Pojedziemy tam pod las — ciągnął dalej — to zobaczysz, jak zaraz bydło zacznie gonić za nami; my mu często wywozimy sól, więc jak tylko zobaczy wózek i kucyki, zaraz biegnie.

Łąkę przerzynał rów płytki, ale dość szeroki; Wicus spostrzegł go, powstrzymał w porę rozbiegane konie i powolutku, ostrożnie przejechał na drugą stronę.

— Ty już dobrze powozisz — rzekł z uznaniem Szczęsny, chcąc jeszcze lepiej utwierdzić zawartą zgodę.

— Spodziewam się! — odrzucił Wicus bardzo rad z pochwałą — jeżeli chcesz, to i ciebie nauczę; to wcale nie jest trudno, zwłaszcza parą koni.

Rozmowa raz zaczęta, toczyła się już dalej w tonie dość przyjaznym i ożywionym; Szczęsnego cieszył cudowny ranek, wonie lasu, przez który jechali, a może i odniesione nad sobą zwycięstwo, dodawało wewnętrznego zadowolenia. Wicus znowu popisывał się, jak mógł swoją umiejętnością powożenia, rad, że może zaimponować starszemu towarzyszowi. Spacer trwał ze dwie godziny; gdy

zajechali przed ganek, ujrzeli oboje państwa Złotockich, pijących kawę na oplecionej dzikim winogradem werandzie.

— Dajcie co jeść Szczęsnemu, bo ja mu nie pozwoliłem skończyć śniadania — zawołał Wicus, rzucając lejce stajennemu chłopakowi, który nadbiegł posłyszawszy turkot.

— Ale nie, ja nie jestem głodny, tłumaczył się Szczęsny, onieśmielony znowu i zmieszany chłodnem spojrzeniem pani Złotockiej, która z poza lornetki przypatrywała mu się badawczo, jakby dopiero pierwszy raz go ujrzała.

— Nieprawda! musisz być głodny, boś nic nie jadł — zaprzeczył niezbyt grzecznie, choć w dobrej intencji Wicus. — Niech Michał zaraz przyniesie nam tutaj herbaty i szynki.

Zachęcony uprzejmym ruchem p. Złotockiego, Szczęsny zajął miejsce przy stoliku i gdy zaraz potem lokaj postawił przed nim śniadanie, młodzieńczy apetyt jego nie oparł się tej pokusie, zwłaszcza, że obok siedzący Wicus dawał mu doskonały przykład, zmiatając co było pod ręką. Opowiadał przytem o odbytym spacerze, o tem, że będzie uczył Szczęsnego powozić kucami, a wieczorem pójdą się kąpać w stawie i t. p.

Pan Złotocki uściśnął cichaczem rękę Szczęsnego i gdy Wicus odbiegł na chwilę od śniadania, aby przepędzić gromadę indyków, usiłującą przedostać się przez furtkę folwarcznego dziedzińca, szepnął mu:

— Dziękuję ci, mój chłopcze, że postawiłeś odrazu swój stosunek z Wiciem na takiej dobrej,

przyjaznej stopie. To lepsze, niż te ciągłe na niego skargi i narzekania, jakimi zrażał go twój poprzędnik. Wierzaj mi, Wicek to złote serce, tylko głowa trochę rozhukana — ale twój przykład będzie dla niego bardzo zbawienny, a ja ci serdecznie dziękuję, że zbliżasz się do niego z taką życzliwością i wyrozumiałością.

Szczesny był tak uszczęśliwiony tą pochwałą, że przyrzekł sobie w duszy być stale cierpliwym i pobłażliwym na wszelkie wybryki Wicusia przez wdzięczność dla jego ojca.

— A o której godzinie mamy odbywać lekcję? — zapytał, wstając od śniadania.

— No!... zdaje mi się, że najlepiej zrana... — odparł p. Złotocki tonem dość wahającym.

— Gdzież zrana! zrana najlepszy czas do biegania! ja zrana nie będę się uczył, bo po śniadaniu nie mogę pisać! — zaprotestował gwałtownie Wicus.

— Istotnie, mogłaby go głowa boleć, gdyby zaraz po śniadaniu siadł do lekcji — poparła go pani Złotocka, a zwracając się po raz pierwszy wprost do Szczesnego dodała: Proszę pana bardzo, uważać przedewszystkiem na zdrowie Wicusia! on jest bardzo wątpliwy.

— Zresztą najlepiej ułóżcie się sami, kiedy wam dogodnie będzie robić lekcję — zakończył p. Złotocki. — Przecież to wakacje; dopiero co pożegnaliśmy ostatniego pedagoga, więc chociaż nasz Wicus musi trochę pracować nad rachunkami i niemieckiem — bo nie tego mu te przedmioty idą — ale znowu nie ma potrzeby zaprzętać tem całego

dnia: czasu macie dość do wieczora, więc upatrzcie sobie codziennie jakąś godzinę.

Stanęło na tem — choć Szczesny był niezbyt z takiego układu uradowany; przewidywał bowiem, że nie mało będzie miał trudności, nim mu się uda upatrzeć ową godzinę i zaciągnąć Wicusia do lekcji.

Obawy jego sprawdziły się w zupełności — jeżeli niezbyt łatwo było obcować z Wiciem przy zabawie, to już nauka z nim mogła być uważana za najcięższą karę dla nauczyciela. Minuty nie mógł utrzymać oczu i uwagi przy książce, kręcił się, ziewał, przeciągał, zarzucał Szczesnego pytaniami, nie będącymi w najmniejszym związku z lekcją — a i to nawet czynił tylko, gdy był w dobrym humorze, bo będąc w złym, wprost zacinął usta i całą godzinę milczał uparcie, lub największymi niegrzecznościami odpowiadał na każdą uwagę młodego korepetytora. Można sobie wyobrazić, że w takich warunkach Szczesnemu sama myśl o czekającej go lekcji psuła humor przez cały dzień; chodziło mu nietylko o własną przykrość, ale przedewszystkiem o to, że mimo najlepszych chęci nie mógł uczynić zadość podjętym zobowiązaniom, bo Wicus nie robił naturalnie najmniejszych postępów i odbywane z nim lekcje prawie za nic mogły się liczyć. Szczesny przedłużał je, o ile się dało, umyślnie zapominał niby to nakręcić swój zegarek, aby nie było sposobności skontrolowania godziny, ale na tem tyle tylko zyskał, że Wicus widocznie poskarżył się matce, że go zanadto męczy, bo kiedyś przy obiedzie pani

Złotocka odezwała się do męża: — „Czy uważasz, jaki Wicusz teraz mizerny? obawiam się, że nauka w takie gorąco źle oddziaływa na jego zdrowie; prosz pana Borowskiego, aby lekcje odbywał o ile możliwości krótko! takie długie ślęczenie nad książką niekoniecznie jest pożyteczne.“ „Pan Borowski“, który usłyszał doskonale te słowa, wymówione niby trochę przyciszonym głosem o nim, a nie wprost do niego, zaczerwienił się, jakby go złapano na gorącym uczynku jakiegoś rzeczywistego przestępstwa — a Wicusz, obdarzony również wybor- nym słuchem, z tryumfem pokazał mu język poza serwetą.

Działo się to w upalny dzień, którego skwar rzeczywiście znużeniem i bladością powlókł wszystkie twarze. Pomimo tego, „mizerny“ Wicusz, natychmiast po obiedzie pogonił na folwarczny dziedziniec, będący ulubionym miejscem jego zabaw i Szczęsny był zmuszony podążyć za nim, jakkolwiek nie miał do tego najmniejszej ochoty. Mimo- chodem okazane mu niezadowolenie p. Złotockiej dotknęło go głęboko i jeszcze cięższem mu uczyniło pełnienie obowiązków, które i tak już nie lekkie mu się wydawały. Całodzienne chodzenie krok w krok za niesfornym malcem, upominanie go i pilnowanie, aby zachował jakąkolwiek miarę w swoich swawolach, wreszcie znoszenie od niego wszelkiego rodzaju niegrzeczności, przyjmowanie ze spokojną łagodnością zaczepek, które nieraz zasługiwałyby na ostre skarcenie, nie mało wysiłków woli kosztowało Szczęsnego, nieobdarzonego z natury wielkim zasobem cierpliwości i wyrozumienia

na cudze wady. Ciężko i smutno wlokły mu się wakacje, w tej nieustannej walce z własnem usposobieniem, któremu jednak dotąd ani razu nie dał wybuchnąć, bo pragnął, potrzebował koniecznie wytrwać na przyjętem stanowisku. Coby się z nim stało, gdyby poróżniwszy się całkiem z Wicusiem, którego prośbom rodzice ulegali tak łatwo, był zmuszony stąd wyjechać? Gdzieby się podział na resztę wakacji i skąd wzięłby nawet fundusze potrzebne na pojechanie gdziekolwiek? — Byłby wolał zginąć niż napisać do rodziców, aby przysłali mu pieniędzy i przyjęli go napowrót do domu po bankructwie dumnych projektów z jakimi zdecydował się ich opuścić. Nie! teraz powracać nic nie osiągnąwszy, było zupełnem niepodobieństwem — a chcąc pozostać tu, musiał znosić wszystko w milczeniu i tylko czasami przypominał sobie, jak to w domu, najniewinniejszy nieraz żart rodzeństwa, najsluszniesze upomnienie ojca, wytrącało go z moralnej równowagi i przejmowało uczuciem goryczy i żalu. Tu, chcąc się bawić w podobne drażliwości, byłby musiał chyba przez dzień cały dąsać się prawie na wszystkich. Pan Złotocki jeden tylko nie dotknął go nigdy najmniejszym słówkiem, ani nawet chmurniejszem spojrzeniem — ale jego żona za to, mroziła go nieustannie chłodem i obojętnością, którą, chłopiec przyzwyczajony przez matkę do ciepła i słodyczy w kobiecem obejściu, brał za osobiste jakieś prześladowanie. — Wicusz nie omi- nął żadnej sposobności dokuczenia mu mniej lub więcej dowcipnym figlem — służba nawet, po pierwszym dniu usłużności, zmiarkowawszy, że ma

do czynienia z ubogim studentem, pozostającym na zależnem stanowisku i z którego panicz nic sobie nie robi, również nie tała mu swego lekceważenia.

Wszystkie te, mniejsze i większe przykrości, tem bardziej dręczyły Szczęsnego, że w głębi duszy nosił się z troską prawdziwą, która w dzień i w nocy nie opuszczała go ani na chwilę. Troską tą był zupełny brak wiadomości od swoich. — Zaraz na trzeci dzień po przybyciu do Łubienki napisał był do matki długi list, w którym nie rozwodził się wprawdzie nad tem, co go skłoniło tak nagle do opuszczenia rodzicielskiego domu, nadmieniał tylko, że nie mógł postąpić inaczej, ale za to opisywał obszernie swoją podróż, cały tryb życia, oraz rodzinę państwa Złotockich, starając się przedstawić wszystko w jak najlepszym świetle, aby nie martwić Mamy przykrościami, które go tu spotykały; obiecywał często przysyłać wiadomości o sobie, a przede wszystkim przyrzekał postępowaniem swoim zawsze tylko chlubę przynosić tym, którzy go dotąd chowali i kształcili. Wyprawiwszy list taki czuł się zadowolonym i uspokojonym nieco w swej tęsknocie; zdawało mu się, że tą, do której pisał, nadając jej zawsze jeszcze miąno „Najdroższej Mateczki“, choć nie był w stanie wypowiedzieć do dna swojej duszy, pomiędzy linjami wyczyta przecież sama słowo tej okrutnej tajemnicy, która wygnała go w świat, pomiędzy obcych ludzi; że zrozumie ból jego i słuszną drażliwość uczuć i że prędko, prędko pospieszy do niego ze słowami ukojenia! — W jakimś zakątku myśli tała się nawet nadzieja, że swoim energicznym

postępkiem, obrotnością, z jaką odrazu wyszukał sobie odpowiednie zajęcie i umieszczenie, zyska uznanie ojca, obudzi podziw Fela i Tereni, którzy przecież nigdy nie zdobyliby się na coś podobnego, a może i szacunek wuja Stasia, objawiającego zawsze takie uznanie dla ludzi pracujących i energicznych. Z upragnieniem też i najgorętszą niecierpliwością wyczekiwał odpowiedzi na ten list i ile razy oddawano p. Złotockiemu torbę pocztową pochłaniał ją głodnymi oczyma — niestety, czekał nadaremnie: poczta rano i wieczór przynosiła wszystkim w domu najrozmaitsze przesyłki, a dla niego nigdy nic nie było.

— Zapomnieli o mnie zupełnie! nikt o mnie nie myśli, bo nikt mnie nigdy nie kochał i nie kocha — powtarzał sobie z coraz wzrastającą goryczą i podrażniona jego wyobraźnia siła się na stwarzanie obrazów, które go właśnie najbardziej boleć mogły, na wymyślanie najrozmaitszych rozrywek, zabaw, któremi wuj Staś rozweselał pewnie swoich gości, aby nawet chwilki czasu nie nieli na tęsknotę za nieobecnym. — O tak — ten wuj Staś, który udawał jego przyjaciela, może i do matki także wybrał się z radami, aby chłopca o tak trudnym, niesfornym charakterze nie psuła nadto, aby poskramiała go surowością, bo zbytnia miłość i pieszczoty mogą go tylko naprowadzić na złą drogę. Do tego fałszywego przyjaciela wszystko podobne — dał już przecie dowód, jakim jest.

I w rozgoryczeniu swoim Szczęsny po sto razy na dzień powtarzał sobie słowa wuja Stasia, mimowolnie przemieniając je, nadając im coraz to

ostrzejsze, mniej przychylne znaczenie, aż w końcu gotów był prawie przysiąc, że wuj nazwał go złym, nic nie wartym chłopcem, że radził ojcu postępować z nim jak najsurowiej i wróżył, że z niego nigdy nic dobrego nie będzie.

W owo skwarne popołudnie, kiedy Wicus, uskarżający się na utratę zdrowia z powodu zbytku pracy umysłowej, pobiegł na dziedziniec i oddał się całą duszą rozpędzaniu kur i kaczek, które gospodyni usiłowała zwołać do jedzenia, Szczęsny podążył za nim i patrząc obojętnie na gonitwy malca, pograżył się w swoich smutnych myślach. Nagle usłyszał po za sobą głos służącego Michała: Dwa listy są dla pana z poczty — zaniósłem je do sypialnego pokoju.

— Dwa listy? ach, czemuż mi Michał tu nie przyniósł! wykrzyknął Szczęsny, czerwieniąc się cały na tę wiadomość.

— Leżą na stole, pod książką — odparł obojętnie lokaj, nie domysłając się niby wyrażone oględnie prośby i poszedł do kredensu na zwykłą poobiednią drzemkę.

— Wicusiu — rzekł Szczęsny, tonem o ile możności najbardziej przekonywującym — wróćmy teraz do pokoju, słońce tak piecze.

— To zdrowo na oczy — odparł, śmiejąc się dowcipnie Wicus i puścił się w pogoń za kawką, która uparcie usiłowała powrócić do jedzenia, pomimo że ją nieustannie odpędzał.

— Przytem tutaj przeszkadzasz gospodyni w karmieniu drobiu... i... jabym tak chciał wrócić

do domu, mam tam listy, których jestem taki ciekawy...

Ostatnie słowa domówił cicho i nieśmiało, przeczuwał bowiem, że Wicus nie bardzo je weźmie do serca — rzeczywiście odpowiedział na nie wybuchem wesołego śmiechu.

— Jest czego być ciekawym, co tam sobie ktoś nabazgrał! jeżeli się boisz, że ci te wielkie nowiny z koperty uciekną, gdy list chwilę poczeka, to idź sobie sam do pokoju — czy ja cię trzymam?

— Matka twoja nie lubi, żebym cię zostawiał samego na folwarcznym dziedzińcu.

— Więc stój i nie nudź mię, kiedyś taki troskliwy opiekun; ani mi się śni wracać do domu.

W tej chwili obaj chłopcy ujrzeni nagle p. Złotockiego, który już od paru minut, niewidziany przez nich stał poza furtką, przysłuchując się ich rozmowie.

— To bardzo brzydko, że Wicus jest taki niegrzeczny i niedelikatny — rzekł głosem surowszym niż zwykle, zwracając się do syna. — Przecież powinienś zrozumieć, że Szczęsnemu pilno jest dowiedzieć się, co mu piszą z domu — czemuż więc nie zrobisz tego, o co cię prosi?

— E, o! będzie jeszcze miał dosyć czasu — odparł niegrzecznie Wicus.

— Istotnie będzie go miał, bo na całe popołudnie uwalniam go od obowiązku czuwania nad tobą. Możesz, Szczęsny, iść do swego pokoju. Wicus pozostanie pod moją opieką — skoro nie umie być delikatnym i uprzejmym, niechże się obchodzi bez twego towarzystwa.

— Nie będę za nim płakał — mruknął Wicusz zmieszany trochę niezwykłym tonem ojca, ale zawsze jeszcze nadrabiający miną.

— Nie będziesz płakał, ale nie będziesz także upędział tu za kaczkami — dodał surowiej jeszcze p. Złotocki, zniecierpliwiony hardem zachowaniem się Wicusia. — Pójdiesz do mojego pokoju i będziesz tam pisał zadanie. Mogę wybaczyć wiele swawoli, ale nie wybaczę nigdy braku serca i delikatności.

Na te słowa Wicusz uderzył w głośny krzyk. Szczęsny oddalił się zmieszany i zmartwiony całą tą sceną, której stał się mimowolnym powodem, a wiedział jak nieprzyjemną musiała ona być p. Złotockiemu, lubiącemu nadewszystko spokój i wesołe twarze wokoło siebie. Cóż miał jednak zrobić? nie w jego mocy było zapobiedz temu, co zaszło; — pocieszał się tylko myślą, że może Wicusz, upomniany tak przez ojca, zreflektuje się i będzie od-tąd choć trochę grzeczniejszy. Korzystając z upoważnienia p. Złotockiego pośpieszył do swego pokoju odczytać listy — na schody wbiegał już prawie pędem, zapomniawszy o całym zajściu z Wicusiem, zajęty tylko myślami, co też w tych listach wyczyta.

Na pierwszej kopercie poznał pismo ojca, roz-tworzył ją z bijącym sercem i przez łzy, które mu wzrok zasłaniały, odczytał następujące słowa:

„Samowolnym i dziwnym postępkim swoim zraniłeś nam serce do żywego, dając nim dowód, że odrzucasz jako ciężar zupełnie niepotrzebny posłuszeństwo i miłość, jakie dziecko jest winne Ro-

dzicom. Nie wiemy i nie możemy z Matką zrozumieć, co uczyniło ci tak niemożliwym pobyt w rodzicielskim domu, ale w każdym razie, jeżeli już twój dumny i nieokiełznany charakter tak koniecznie zapragnął spróbować swobody i niezależności, mogłeś okazać nam przynajmniej tyle zaufania i należnego szacunku, aby zasięgnąć zdania naszego co do swoich zamiarów i uwiadomić nas o postanowieniu — nie zaś wykraść się pokryjomu, narażając mnie na daremne poszukiwania i straszliwy niepokój. Młodszemu rodzeństwu Twemu nie powiedziałem, że zrobiłeś krok tak ważny, bez mojej wiedzy i zezwolenia, nie życzę sobie bowiem, aby Twój zły przykład mógł na nich ujemnie wpływać — to też Felo i Terenia przekonani, że zostałeś przezemnie wyłączony ze wspólnych wakacji w domu wuja „za karę“, za krnąbrne zachowanie, żałują Cię serdecznie i chcą pisywać do Ciebie, aby Cię rozweselać. Pozwalam na to, żebyś nie był zupełnie pozbawiony wiadomości o rodzinie, choć dałeś nam świeżo dowód, że mniej dbasz o tę rodzinę, niż o zadowolenie swojej fałszywej ambicji. Co do Matki i do mnie, nie spodziewaj się na teraz listów od nas, zbyt boleśnie nas dotknąłeś. — Poczekamy z przebaczeniem, aż urzeczywistnisz choć część tych obietnic, któremi wypełniłeś oba Twoje listy. Chcąc zasłużyć na to przebaczenie, musisz dać dowód, że rozumiesz i pełnisz przynajmniej te obowiązki, które wybrałeś sobie samowolnie, kiedy nie umiałeś uszanować tych łatwiejszych i miłszych sercu, które wkładało na Ciebie przeznaczone Ci życie w kółku rodzinnem.

Oby Ci Bóg w tem dopomógł! i obyś, w razie jeśliby Ci było zbyt ciężko, znalazł w sobie dość odwagi moralnej do uznania swej winy i cofnięcia się jeszcze w porę z tej drogi, na którą Cię złe pojęta duma i nieuległość popchnęły. Strzeż się fałszywej ambicji i uporu, które by Ci kazały trwać w błędzie, wbrew nawet własnemu uznaniu! Nie namawiam Cię, abyś do nas powracał, ani tego nakazuję, ale zaznaczam, że powrócić możesz, gdy tylko się przekonasz, iż łatwiej być posłusznym synem, niż niezależnym człowiekiem!

„Tymczasem bądź zdrow i staraj się swój postępek okupić uczciwą pracą.

Twój Ojciec.

W miarę jak Szczęsny czytał te słowa, policzki jego smagłe i bladawe okrywały się coraz to ciemniejszą purpurą rumieńca, ręka trzymająca papier zaczynała drżeć jak w febrze. — Boże, Boże! ten list! taki upragniony, taki wyczekiwany, i nie przynosił mu ani słowa serdecznej pociechy — nic, tylko potępienie — a co najgorsza, że potępienie słuszne i sprawiedliwe. Tak, Szczęsny uczuł doskonale gorzką prawdę, jaką zawierało każde słowo; teraz, ochłoniwszy już z pierwszego uniesienia żalu i dumy, które popchnęły go do tak ryzykownego kroku, zaczynał już sam pojmować, że to, co uważał prawie za czyn bohaterski, było raczej tylko karygodnym wybrykiem samowoli — list ojca otrząsnął go zupełnie i obudził uspięne dotąd wyrzuty sumienia. A jednak, choć sprawiedliwe, jakże go te słowa bolały okrutnie, z jakim uczuciem gorzkiego zawodu, oglądał na wszystkie

strony tę białą ćwiartkę papieru, która prócz surowych upomnień nie przyniosła mu nic, ani nawet jednego uścisku od matczki, za którym tak był stęskniony. — Nie, z pewnością oni go tam nie kochali tak, jak on ich kochał, inaczej byliby przecież zrozumieli go i przebaczyli.

Sięgnął ręką po drugą kopertę — to pewno Felo i Terenia przysłali mu słowa współczucia i pociechy — uczuł się głęboko upokorzony na myśl, że zamiast podziwiać go, jako człowieka umiającego sobie już dawać radę w świecie, młodsze rodzeństwo lituje się nad nim, jak nad winowajcą, ponoszącym słuszną karę za krnąbrność i nieposłuszeństwo. Dla jego tak drażliwej miłości własnej był to cios nadzwyczaj trudny do zniesienia, z pewnem też wahaniem otworzył list, ale przekonał się ze zdziwieniem, że to nie brat, ani siostra, ale wuj Staś pisał do niego. W pierwszej chwili chciał z oburzeniem odrzucić od siebie tę ćwiartkę, niosącą mu może wyrazy kłamliwej przyjaźni, ale przewyciężył się i zaczął czytać z uczuciem dziwnej goryczy a zarazem ciekawości.

„Drogi mój Szczęsny! — pisał wuj — nie potrafiłbym ci wypowiedzieć, jak serdeczną przykrość zrobił mi Twój postępek. Dlaczego nie przyjechałeś do mnie? co zaszło tak nagle, że Ty, na którego serce zdawało mi się, że już liczyć mogę, cofnąłeś je nagle i wyłączyłeś się dobrowolnie z grona rodziny, mającej kilka tygodni przeżyć pod moim dachem. Nadaremnie gubię się w domysłach, co mogło Ci uczynić tak niemiłym pobyt w moim domu, a jednak czuję instyktownie, że i moja osoba

tu coś zawiniła, choć co? trudno mi odgadnąć. Już na dworcu wydałeś mi się całkiem zmieniony, a zresztą gdybyś nie czuł do mnie żadnej urazy, to czyż nie powinienes mi się być zwierzyć ze swego projektu, skoro zawarliśmy między sobą sojusz przyjaźni? Czy pamiętasz ten wieczór? ja i wtedy widziałem, że coś ukrywasz przedemną, że dając mi swoją życzliwość, nie dajesz jednak zupełnego zaufania — a przecież Bóg widzi, jak szczerze chciałem wykorzystać to zaufanie tylko dla Twego dobra. — Rodzice bardzo dotknięci i zagniewani Twoją ucieczką z domu (bo, niestety, inaczej nazwać tego nie można) zapewne przez dłuższy czas nie zechcą pisywać do Ciebie. Jakkolwiek mnie serce za ciebie boli, muszę im przyznać słuszność: może przez brak zastanowienia, ale zawiniłeś przeciw nim bardzo ciężko; na Matkę aż żal patrzeć tak to uczuła! jednak z listu Twego widzę, że jesteś sam zgnębiony i smutny i nie wiem, co bym zrobił, żeby Cię trochę uspokoić. Jeżeli by Ci to najmniejszą ulgę przynieść miało, a raczej, jeżeli Ci to tylko nie robi przykrości, pisuj do mnie często i szczerze; mam więcej doświadczenia od Ciebie, przeszedłem w młodości przez bardzo trudną szkołę życia, może więc moja najżyczliwsza rada przyda Ci się kiedyś. W każdym razie, cokolwiekby zaszło, licz na mnie jako na najszczerzego przyjaciela, którym na zawsze pozostanę...

Długo powstrzymywane łzy spłynęły nareszcie na papier, zacierając podpis wuja Stasia. Szczęsny ukrył twarz w dłoniach i płakał jak dziecko zmar-

twione, które tuli się na kochającej piersi. Poczciwe wyrazy listu stopiły gorycz przepełniającą mu serce tak jak promienie słońca topią lodową zapórę — wuj Staś, ze swoim dobrym uśmiechem, z dłońią gotową zawsze do serdecznego uścisku, stanął mu nagle przed oczyma jak żywy, a wobec tej postaci, grzechem mu się wydały wszystkie żale i oskarżenia, jakie od owej pamiętnej jazdy na kolej podniosły się w jego sercu przeciw niedawno poznemu, ale tak już kochanemu wujowi.

Nie, w tem było chyba jakieś straszne nieporozumienie — coś, czego Szczęsny nie był w stanie sobie wytłumaczyć, ale co niemniej, z pewnością uniewinniło wuja Stasia od zarzutu kłamanej przyjaźni — bo on kłamać nie mógł ani jednym słowem, ani nawet spojrzeniem.

Szczęsny gotów był w tej chwili uwierzyć raczej we wszystko, wmówić w siebie nawet, że nie dosłyszał dokładnie i nie zrozumiał rozmowy wuja z ojcem, byle móc na nowo otworzyć serce swoje tej przyjaźni, która kołatała do niego tak delikatnie i serdecznie. Zrobiło mu się nagle tak źlej jakoś, o tyle weselej na świecie, że z radością prawie przycisnął do ust kartki obu listów... Bóg da, Bóg dopomoże, że wszystko jeszcze się naprawi — t. j. naprawi się to, co pochodzi z jego winy i błędu! ale w tej chwili skruczy Szczęsny nie czuje już tak, tego palącego bólu i buntu przeciw przeznaczeniu, który targał nim od tyłu miesięcy, na każde wspomnienie odkrytej przypadkiem tajemnicy; w tej chwili myśli przede wszystkim o zmartwieniu, jakie sam sprawił swoim

kochanym i wobec tego błdną mu własne cierpienia i troski. Uczuwa prawdziwą zgryzotę na myśl, że „Mateczka“ aż tak wzięła do serca jego postępek — jednak, odkąd to wyczytał w liście tego pocziwego wuja Stacha, jakaś dziwna otucha wstąpiła mu do duszy. Prawda, oni tam gniewają się słusznie na niego za samowolę i skrytość, ale kiedyś — kiedyś przecież się im wypowiada ze wszystkich swoich udręczeń, z uczuć, które popchnęły go na tę, tak dla nich i dla niego bolesną teraz drogę! Dziś jeszcze nie mógłby o tem mówić spokojnie — nie mógłby mówić wcale... ale po latach, co innego: wtedy dowiedziawszy się, ile on cierpiał, będą musieli przebaczyć mu, zapomnieć wszystko — a tymczasem zdobędzie ich pobbłażanie, tak jak sam ojciec pisze, gorliwem pełnieniem tak samowolnie podjętych obowiązków. Nie wróci do domu — nie przez upór, o, nie! ale chce szczerze wytrwać w powziętem postanowieniu, chce sam na siebie pracować, bo praca musi i powinna być jego udziałem na całe życie — ubogi sierota powinien polegać tylko na własnych siłach. — Ale nie przebywając ciągle ze swymi najdroższymi, postara się jednak być dla nich prawdziwą pociechą, a do „wuja Stasia“ udawać się będzie o radę w każdym trudniejszym kroku i postara się, aby ten tytuł „przyjaciela“, który dziś wuj wspaniałomyślnie ofiarowywał małoletniemu siostrzeńcowi, kiedyś, gdy ten „siostrzeniec“ wyjdzie na człowieka, stał się dla obu równie miłym i drogim.

Ożywiony najlepszymi zamiarami, Szczęsny, usiadł natychmiast do pisania, aby odpowiedzieć

na oba listy i przesłać kochanym swoim wyrazy tych uczuć, któremi był przejęty. Do kolacji miał jeszcze parę godzin wolnego czasu — jakże wdzięcznym był p. Złotockiemu za darowaną mu swobodę. Nie potrzebował długo zastanawiać się nad listami, układać zdań — przeciwnie, pióro ledwie mogło nadążyć myślom. Nagle usłyszał głośnie i przyspieszone kroki na korytarzu i w tejże chwili wpadł do pokoju Wicuś, wołając:

— Jeszcze tu siedzisz? jeszcze bazgrzesz? umyślnie pewnie urządziłeś się tak, żebym ja siedział na pokucie, kiedy ci potrzeba wolnego czasu — zobaczysz, czy ci dużo z tego przyjdzie!

Przy tych słowach pochwycił kałamarz, stojący na biurku i czarna struga atramentu połała się na papier, zielone sukno biurka, a nawet na ubranie Szczęsnego.

Ten w pierwszej chwili stanął jak wryty; zuchwała niegrzeczność malca tak go zdumiała, że nie był w stanie przemówić ani słowa nagany. Milczenie i widok olbrzymich czarnych plam na biurku i posadzce podziało jednak silniej na Wicusia, niż mogłyby to uczynić najsurowsze wyrzuty, odrazu opuściła go chęć złośliwej swawoli i buta, z jaką wpadł był do pokoju. Odbiegł w najdalszy kąt i przycisnąwszy głowę do kanapy, zaczął głośnie płakać.

— To ty wszystkiemu jesteś winien! wyrzekł przez łzy — przez ciebie tatko gniewał się na mnie i przez ciebie siedziałem na pokucie i wszystko przez ciebie! Teraz idź, naskarż na mnie znowu — możesz sobie pozwolić, bo ja cię i tak nie cierpię

i tysiąc razy lepiej mi było bez ciebie, pókim się bawił z Jankiem kredensowym, bo nikt mnie nigdy nie łajał, ani nie karał!

Szczęśny, słuchając tych wszystkich niemądrych zarzutów, wycierał najspokojniej bibułą plamy z atramentu na swoim ubraniu; był dziś w takim wyjątkowym usposobieniu, że go nawet najniesprawiedliwsze pretensje rozpuszczonego malca nie mogły zniecierpliwzić.

— Naskarż tatce, naskarż! — powtarzał Wicusz wśród łkania.

— Nie powiedziałem ci jeszcze, co zrobię, skądże wiesz, że się poskarżę — rzekł spokojnie Szczęśny.

— Bo wiem! bo ty zawsze zrobisz to, czem mnie możesz dokuczyć, a dzisiaj już i tak przez ciebie tatko się na mnie gniewa.

— Pomyśl Wicusiu, czy to naprawdę przeze mnie? Czy to moja wina, żeś mi niegrzecznie odpowiadał? ja przecież tak samo jak ty nawet nie wiedziałem, że nas tatko słucha. A teraz, to ty właśnie zrobiłeś mi wielką przykrość, bo mi oblałeś atramentem listy, które pisałem całe popołudniu i mundurek całkiem jeszcze dobry, który mogłem nosić przez wakacje.

— Wielka rzecz, kupisz sobie drugi! w mieście jest dosyć krawców — bąknął Wicusz niby z lekceważeniem, ale, spoglądając ukradkowo i widocznie pomieszany na mundurek Szczęsnego, który na rękawie zwłaszcza nosił dość wyraźne ślady całego zajścia.

— Zapewne, że krawcy są; ale mundur drogo

kosztuje, a ja nie mam pieniędzy na takie wyrzucanie ich przez okno; kto żyje z własnej pracy, temu każdego grosza szkoda.

Szczęśny wypowiedział ostatnie słowa nieco silniej, bo istotnie poczuł w tej chwili, jak wielką cenę miał już dla niego teraz grosz każdy. Wicusz popatrzył na niego ze zdziwieniem; nie przyszło mu dotąd na myśl, aby kupienie nowego mundurka miało przedstawiać jaką trudność.

— Ale zresztą, skoro mnie tak nie cierpisz, to może jesteś zadowolony, że mi zrobiłeś przykrość? — zapytał Szczęśny, patrząc badawczo na malca, który odwrócił głowę, mrużąc coś niewyraźnie.

W tej chwili zapukano do drzwi: — Proszę do stołu — odezwał się na korytarzu głos służącego.

— Chodź na kolację — rzekł Szczęśny, chwając poplamione listy do szuflady.

— Idź sobie sam — odburknął Wicusz.

— Sam nie pójdę; proszę cię, obetrzyj oczy i chodź zaraz — dodał tonem stanowczym i ujął za rękę opierającego się chłopca.

Wicusz ociągał się jeszcze niby i udawał obrażonego, choć w głębi serca był tylko niespokojny, jak Szczęśny zakończy całą tę sprawę; czuł także, że należało przynajmniej przeprosić za wyrządzoną szkodę, ale jakoś nie miał do tego ochoty. I tak pewnie naskarży przed tatką, czegoż go będę jeszcze przepraszał? — powtarzał sobie w duchu, usiłując przybrać minę spokojną i pewną siebie, co mu się jednak nie bardzo udawało.

Przy kolacji starsi rozmawiali o żniwach; chłopcy jedli w milczeniu; przyczem Szczęsny zauważył, że Wicus nie był dziś wcale przy apetycie. Gdy tylko wstano od stołu, Szczęsny natychmiast powiedział państwu Złotockim dobranoc, tłumacząc się tem, że ma bardzo pilne listy do pisanja i głowa go trochę boli. Istotnie wszystkie przebyte dziś wrażenia znużyły go; pragnął już jak najprędzej znaleźć się sam w swoim pokoju. Wicus przeprowadził go ciekawem i niespokojnem spojrzeniem aż do drzwi, a gdy zniknął na korytarzu, pobiegł za nim i nieśmiało pociągnął go za rękaw.

— To ty naprawdę nic nie powiesz tatce ani dziś, ani jutro? — szepnął, patrząc mu podejrzliwie w oczy.

— Naprawdę; skoro nie powiedziałem zaraz przy tobie, to widać, że nie chcę mówić.

— A gniewasz się na mnie? — domówił ciszszej jeszcze.

— Nie gniewałbym się, gdybym wiedział, że żałujesz tego, coś zrobił.

— No, to... no, to..., żałuję — wyszeptał prawie niedosłyszalnie Wicus i jakby zawstydzony tem wyznaniem, uciekł czemprędzej w głąb korytarza.

VIII.

Od tej chwili życie Szczęsnego w Łubience uległo korzystnej zmianie — wprawdzie Wicus nie pozbył się naturalnie wszystkich swoich wad i po-

został niesfornym, nieraz bardzo niegrzecznym chłopcem, ale przynajmniej niechęć, jaką z początku, w każdym niemal słowie, okazywał Szczęsnemu, zmieniła się w usposobienie wcale życzliwe. I teraz jeszcze nieraz nie słuchał go, przy lekcji dokazywał albo też znowu ziewał i przeciągał się, ale robił to wszystko, ot tak! dla dogodzenia własnemu usposobieniu, nie zaś w chęci dokuczenia młodemu korepetytorowi, jak to z początku bywało. Nikt wokoło nie zauważył może tej zmiany w usposobieniu zawsze jeszcze hałaśliwego i dom do góry nogami przewracającego chłopca, ale Szczęsny czuł, że wywarł na jego serce wpływ korzystny i pochodzące stąd głębokie zadowolenie dodawało mu bodźca do dalszej pracy. Pan Złotocki okazywał mu stale najszczerzą życzliwość; żona jego pozostała wprawdzie zawsze chłodną i obojętną, ale Szczęsny oswoił się już z tem; widział, że bywała taką dla wszystkich domowników, których traktowała wyniośle jak królowa swój dwór, więc i on musiał się z tem pogodzić, choć przywykłemu do macierzyńskich pieczyń, brakowało nieraz niezmiernie, miękkiej dłoni kobiecej, któraby łagodnie spoczęła na jego głowie.

Z wujem Stasiem wymieniał częste i długie listy, w których opisywał dokładnie nietylko co robi, ale także co myśli, jakie plany układa na przyszłość; zwierzył mu się, iż w godzinach rannych i wieczornych, gdy Wicus śpi jeszcze lub też bawi się w salonie w towarzystwie starszych, on siedząc w swoim pokoiku na górze pisze wypracowania niemieckie i francuskie, bo wydoskonale-

nie się w obu tych językach może mu ułatwić znalezienie dobrych korepetycji, teraz zwłaszcza gdy na naukę języków nowożytnych tak wielki w szkołach położono nacisk.

Wuj Staś, odpisując, zachęcał go do wytrwania w dobrych zamiarach; chwalił cierpliwość i wyrozumiałość okazywaną Wicusowi — gdyż wujowi jednemu Szczęsny zwierzył się przynajmniej częściowo z przykrości, na jakie go narażał niesforny charakter małego ucznia. Wuj opisywał także dokładnie, prawie dzień po dniu, jak im szedły wakacje, które, o ile mógł, starał się uprzyjemnić i urozmaicić swoim gościom. — „Dobrze nam tu wszystkim razem i wesoło, a byłoby jeszcze stokroć milej, gdyby Ciebie, drogi chłopcze, w naszym rodzinnym kółeczku nie brakowało. Dajże Boże, aby Ci przynajmniej na dobre wyszło to, co dla nas wszystkich, a myślę, że i dla Ciebie połączone jest z ciężką ofiarą.“

Felo i Terenia pisywali także często, ale listy ich, przynosząc pociechę stęsknionemu za nimi sercu najstarszego brata, upokarzały razem jego miłość własną i ambicję tak zawsze drażliwą; nietrudno było bowiem wyczytać między linjami, że rodzeństwo uważa go za surowo ale słusznie ukaranego winowajcę, że współczuje z nim, a równocześnie radeby go zachęcić do poprawy i okazania jaknajwiększej skruchy rodzicom, aby mu mogli rychło przebaczyć.

Szczęsny odczytując te listy, czerwienił się ze wstydu; jednak, odpisując na nie, nigdy ani jednym słowem nie zdradził prawdziwego stanu rzeczy,

szanując wolę ojca, wyrażoną w pierwszym a zarazem ostatnim liście, jaki od niego otrzymał.

Wprawdzie wytrwanie w takiej roli, odzierające go zupełnie z uroku samodzielności i bohaterstwa, jakim miał po trochu nadzieją olśnić rodzeństwo, było dla niego karą niezmiernie ciężką, ale nawet w sercu nie buntował się przeciw niej, bo czuł już teraz, choć po niewczasie, jak bezprawnie postąpił, rozporządzając swoim życiem, bez upoważnienia a nawet uwiadomienia tych, którym dotąd wszystko zawdzięczał.

O właściwym powodzie swej ucieczki z domu starał się teraz jak najmniej myśleć; był to przedmiot zbyt dla niego bolesny, wytrącający go zupełnie z moralnej równowagi, której potrzebował do pełnienia swoich nowych obowiązków, więc choć czasem, wyrzeczone przez Wicusia słowo „Mama“ albo „Tatuś“, wstrząsało nim jak dotknięcie ostrego sztyletu, coprędzej usiłował myśl swoją zwrócić gdzieindziej, aby daremnem rozdrażnianiem tkwiącego na dnie serca bólu, nie pozbawiać się sił do pracy.

Naturalnie, że w rozmyślaniach jego pierwsze miejsce zajmowały plany najbliższej przyszłości, sposobu urządzenia sobie życia, gdy się znajdzie na bruku miejskim sam jeden, posiadając za cały majątek 100 zł., zarobionych w czasie wakacji.

Układał sobie, że jeśli tylko rodzice pozwolą, przybiegnie natychmiast do nich ucałować ich ręce, ale powracać do domu na stałe lub też przyjmować jakiegokolwiek materialnej pomocy nie chciał stanowczo. Dość już kosztowało ich dotąd wycho-

wanie biednego, z łaski przyjętego chłopca, który choć może nieraz zmartwił ich nieuległym i szorstkiem zachowaniem, tem więcej pragnął im teraz okazać, jak mimo tego gorąco i bezinteresownie ich kochał. Czemuż miał jeszcze dłużej korzystać z ich dobrodziejstw, skoro kiedyś przecie musiał stanąć o własnych siłach, bo będąc tylko przybranym dzieckiem nie miał żadnego prawa do udziału w majątku swych opiekunów — o, nawet za nic w świecie nie byłby przyjął ani grosza z tego, co miało stać się własnością Fela i Tereni. Zatem im prędzej, tem lepiej; czuł się dość już dojrzałym moralnie i fizycznie, aby zacząć sam pracować na siebie. Pierwsza próba tej samodzielnej pracy w domu państwa Złotockich, uwieńczona tak pomyślnym skutkiem, dodawała mu odwagi. W każdym razie zarobione tu pieniądze zapewniały mu utrzymanie na jakie dwa miesiące. — Znał przecież kolegów, którzy czy to po bursach, czy na prywatnych skromniutkich stancjach, jeszcze tańsze znajdowali umieszczenie. I dalej jakoś to pójdzie; opinia wzorowego ucznia, jaką miał wyrobioną u wszystkich profesorów, powinna mu ułatwić znalezienie jakichkolwiek, choćby najtańszych lekcji.

IX.

Dzień za dniem upływał. Pewnego rana widząc obu chłopców wybierających się jak zwykle na spacer w pole, p. Złotocki odesłał Wicusia do

sadu, gdzie właśnie obrywano wiśnie na kompoty, Szczęsnemu zaś kazał iść za sobą do swego gabinetu.

— Czy wiesz, że to już dzisiaj miesiąc właśnie jak przyjechałeś do nas, młody pedagogu — rzekł zwykłym swoim, żartobliwym tonem, otwierając szufladę biurka.

Szczęsnemu krew uderzyła na policzki; domyślił się w jednej chwili po co p. Złotocki wezwał go tutaj, bo i on już wczoraj obliczał, że w tych dniach zapewne otrzyma swoją miesięczną pensję i namyślał się, czy nosić ją ze sobą w pularesie, czy też schować do kuferka — ale gdy teraz miał już odebrać pieniądze z rąk p. Złotockiego, ogarnęło go nagle jakieś uczucie nieprzyjemne, jakby wstydu i przykrości. Za młody był jeszcze, za mało obyty z pieniężnymi sprawami, przytem przyzwyczajony zawsze płacić tylko a nigdy być płaconym; to też cofnął się instynktownie, jękając: Zdaje mi się, że... że to jeszcze nie ma całego miesiąca... nie pamiętam dokładnie ale...

Panu Złotockiemu jednak ani w głowie było dorozumieć się tej drażliwości, która nie pozwałała Szczęsnemu wyciągnąć ręki po sumiennie zarobiony pieniądz; uśmiechał się tylko dobrotliwie do swego ulubieńca i rzekł wyciągając wreszcie z szuflady potrzebną kwotę. — O rachmistrzu, rachmistrzu! ktoby uwierzył, że masz celująco z matematyki, kiedy takiej łatwej rzeczy obliczyć nie umiesz! No, porachujże przynajmniej pieniądze, bo ja stary, mogłem się pomylić, a nie chciałbym twojej krzywdy.

Mówiąc to wsunął jakiś zwinięty banknot w rękę Szczęsnemu, który zamiast korzystać z jego rady przerachowania pieniędzy, schował je co-prędzej do bocznej kieszonki, jakgdyby go parzyły, dziękując przytem pełnym zakłopotania ukłonem.

— Bardzo panu dziękuję... bardzo — szeptał pospiesznie, dążąc ku drzwiom, bo mu pilno było zakończyć tę drażliwą dla niego scenę. Pan Złotocki spoglądał za nim, z jakimś dobrym, figlarnym uśmiechem, który niewymownie pociągającą czynił jego twarz i tak już zawsze łagodną i miłą.

W pięć minut potem Szczęsny pojawił się znowu w gabinecie, zaczerwieniony, prawie drżący, z wyrazem oczu zdradzającym wielkie pomieszanie.

— Pan mi dał dwie pięćdziesiątki, zamiast jednej — rzekł głosem niepewnym, kładąc na stole przed p. Złotockim otrzymane pieniądze.

— Wiem, wiem; nie miałem wcale zamiaru dawać ci jednej — odparł p. Złotocki wesoło, widocznie ubawiony zakłopotaniem młodego chłopca.

— Ależ to przecie dopiero jeden miesiąc...

— Mój drogi Szczęsny, siadaj koło mnie i pomówmy ze sobą jak ludzie rozsądni, którym nie o puste słowa ale o treść rzeczy idzie — rzekł p. Złotocki, wskazując Szczęsnemu miejsce obok siebie na sofie. Wszak prawda, że w ogłoszeniu mojem wyrażałem, że życzę sobie przyjąć na wakacje studenta z ukończoną piątą klasą?

— No, tak... właśnie ja...

— Otóż spodziewałem się, że student taki będzie towarzyszem zabaw mojego Wicusia, wprawdzie starszym od niego i rozsądniejszym, ale zaw-

sze jeszcze niedoświadczonym, trochę lekkomyślnym, nad którym o tyle o ile będę musiał sam czuwać i kierować nim aby go od niejednego głupstwa uchronić — tymczasem ty, mój kochany, opiekujesz się Wicusiem tak, jak najpoważniejszy profesor, pomimo, że umiesz się z nim również zabawić jak rówieśnik — zauważyłem już, że wpływ twój na naszego Wicusia jest bardzo dodatni, rzecz zatem słuszną, abym cię wynagrodził po nad naszą umowę, skoro i ty dajesz mi więcej, aniżeli od ciebie żądałem.

Szczęsny słuchał tych słów dumny i uszczęśliwiony — jednak wciąż jeszcze równie zakłopotany i nie wiedzący co na nie odpowiedzieć. Pochwały p. Złotockiego były warte stokroć więcej niż podwójna pensja — jednak finansowe ujęcie tej sprawy niezupełnie trafiało do przekonania bezinteresownemu chłopcu, wszak, gdy się raz podjął, tego obowiązku, musiał go wypełniać jak mógł najlepiej — czyż powinien więc brać podwójne wynagrodzenie za to, że miał trochę więcej taktu i rozwagi w obcowaniu z małym uczniem, niż każdy przeciętny piątklasista.

— Ależ kiedy ja nie mogę... nie powinienem... tłumaczył się wciąż cofając rękę przed podawanymi mu pieniędzmi — podjąłem się za pięćdziesiąt zł. i moja praca pewnie nie warta więcej...

— Już co do tego wiele warta, pozwolisz, że będę sędzią lepszym od ciebie, który dopiero pierwszy raz pełnisz podobne obowiązki, w czasie gdy ja miałem już do czynienia z dziesięciu korepetytorami — roześmiał się p. Złotocki i chcąc

zakończyć wahanie Szczęsnego, własną ręką wsunął mu oba banknoty w boczną kieszeń mundurka.

— Kiedy... kiedy... ja nawet nie wiem, gdzie schować tyle pieniędzy — opierał się jeszcze trochę, zmieszany chłopiec, czując, że się ten słaby argument na mało przyda.

— Nie wiesz gdzie schować? no, to... odeszlij rodzicom — w domu widzisz, zawsze znajdzie się jakieś miejsce na pieniądze — odezwał się p. Złotocki tonem niby lekkim i odwracając głowę ku oknu, aby w tej chwili nie patrzeć w oczy Szczęsnemu.

Ale on i tak zrozumiał, a raczej odczuł instyktownie ukrytą w tych słowach delikatną aluzję i ciemny rumieniec wybiegł mu na czoło.

— Ależ... kiedy, moi rodzice nie potrzebują wcale... naprawdę, to tylko ja... jękał bardzo zmieszany, dotknięty prawie tem przypuszczeniem, aby rodzicom jego mógł dokuczać niedostatek.

— Wiem, wiem, nie wątpię — uspokajał go p. Złotocki z dobrotliwym uśmiechem — powiedziałem to, ot tak, aby usunąć tę przeszkodę, że nie masz gdzie schować tyle pieniędzy. — No, ale ponieważ widzisz, że ze mną nie wygrasz sprawy, zatem daj już temu spokój, mój chłopcze — idź do Wicusia, który czeka na ciebie, a niech ci ta pięćdziesiątka nie dolega na sumieniu; spuść się trochę na starszych, którzy mają sąd wytrawniejszy do rozstrzygnięcia takiej ważnej i drażliwej sprawy! Poklepał go po ramieniu i Szczęsny wy-

sunął się z gabinetu unosząc w duszy wrażenie, że lepszego człowieka nie ma na całym świecie.

P. Złotocki tymczasem patrzył na zamykające się za studentem drzwi, z tym samym zawsze uśmiechem pełnym dobroci i sprytu, jaki w ciągu całej tej rozmowy nie schodził mu z ust.

— Ambitna sztuka! — szepnął wreszcie pokręcając siwego wąsa — ambitna! ale ma charakter i serce — pracować dla rodziców potrafi, choć nie chciałby przyznać, że są w potrzebie. No, ale jeżeli z każdym zarobionym groszem będzie robił takie ceremonie, to nie wiele dla nich wypracuje; ludzie gotowi korzystać z jego bezinteresowności i wyzyskiwać go.

Szczęsny tymczasem poszedł z Wicusem do żniwa, ale dziwnie był dnia tego nieswój i roz-targniony. Najrozmaitsze myśli plątały mu się po głowie; z jednej strony posiadanie tak znacznej sumy pieniędzy uszczęśliwiało go; obliczał już, że z tych pieniędzy jakie mieć będzie w końcu wakacji, zakupi sobie przedewszystkiem książki potrzebne na szóstą klasę, naturalnie u antykwarza, nieco już podniszczone, żeby taniej kosztowały i buty sobie da podzeliwać i wiele innych zaspokoi potrzeb, na które trudnoby łożyć później z tych skromnych dochodów, na jakie zdoła zarobić lekcjami. Zatem troski jego materialne na początek przynajmniej roku szkolnego rozprószyły się w znacznej części nadspodziewaną hojnością p. Złotockiego — ale pod względem moralnym cała ta rozmowa zaniepokoiła go i im dłużej ją rozpa-

miętywał, tem bardziej zaczynały go dręczyć pewne skrupuły, jakby wyrzuty sumienia.

— Odeszlij pieniądze rodzicom — dzwoniło mu wciąż w uszach i czoło jego pokrywało się rumieńcem. Wstydził się — już nie tego przypuszczenia, żeby rodzice jego mieli być w niedostatku, bo to mniemanie nie było przecież ubliżające — ale wstydził się tego fałszywego blasku szlachetności, który przypuszczenie takie rzucało właśnie na jego czoło.

Pan Złotocki najwidoczniej myślał, że on, jako dobry syn, pracuje dla oszczędzenia trosk rodzicom, że poświęcił wakacyjną swobodę, aby im być podporą i pomocą — może dlatego właśnie okazywał mu zawsze tyle niezasłużonej życzliwości, że cenił go za te dowody synowskiego przywiązania — cóżby powiedział, jakby się zachowywał, gdyby wiadomem mu było, że Szczęsny porzucił dom tych, co mieli nad nim prawo opieki, bez ich wiedzy i zezwolenia z żalem i goryczą w sercu, że postanowił iść przez świat o własnej sile, bo nie czuł się dostatecznie kochanym i ocenianym przez swoich?

Może potępiłby go najsurowiej i stracił dla niego odrazu tę sympatję, jaką teraz okazywał mu na każdym kroku? a może nawet usunąłby go ze swego domu, nie chcąc, aby chłopiec, który tak postępuje, był kierownikiem Wicusia?

Rozgorączkowana wyobraźnia Szczęsnego przedstawiała mu coraz to czarniejsze obrazy i przypuszczenia; byłby nie wiem co dał za to w tej chwili, żeby mu powiedziano, że p. Złotocki wie

wszystko oddawna i usprawiedliwia go, że nie myśli mu odejmować swej życzliwości, o którą przylgnąwszy już sam sercem do niego, Szczęsny dbał jak o skarb drogocenny. Niestety było to tylko daremnem pragnieniem — p. Złotocki nie mógł wiedzieć o wszystkim i choć już cały miesiąc miał Szczęsnego w swoim domu, właściwie nie znał go wcale i pewnie wyrobił sobie o nim sąd całkiem mylny.

— Czego ty dzisiaj nic nie mówisz? — zagadnął Wicus, który choć zajęty zrywaniem bławatków, po które co chwila zapuszczał się w sam środek zbożowego ładu, traktując niemiłosiernie dojrzałe już kłosa, zauważył jednak niezwykle milczenie Szczęsnego.

— Ja myślę... t. j. dzisiaj nie mam jakoś humoru do mówienia; przecie nie zawsze można być rozmownym.

— A może ci tatko dał burę, tam w gabinecie?... spytał malec, spoglądając badawczo, trochę złośliwie w twarz młodego korepetytora.

Szczęsny obruszył się.

— Nie mam zwyczaju zasługiwać na bury i nie powinienem ci wcale zadawać takich pytań.

— Oho! jaki mi paradny! myślałby kto, że nigdy w życiu bur nie bierze — mruknął Wicus. Cóż ty jesteś? student tak samo jak ja — i pewnie nieraz twoi rodzice gniewają się na ciebie.

— W każdym razie mogę ci zareczyć, że nie zrobiłem nic, co by mogło obudzić niezadowolenie twojego ojca — odrzucił Szczęsny zaczerwieniony, głosem silącym się na spokój.

— No, to nie masz się czego dąsać — opowiedz mi co o szkole — prosił, zwieszając się na jego ramieniu Wicus, niezmiernie zawsze spragniony wszelkich opowieści ze studenckiego życia, tembardziej że już od wakacji rodzice mieli z nim razem zamieszkać w Krakowie i posyłać go do 1-szej klasy gimnazjalnej.

Szczesny przewyciężył się, odgonił wszystkie niespokojne myśli i zaczął rozpowiadać Wicusowi rozmaite drobne wydarzenia przebyte w szkole. Wszak teraz, usłyszawszy tyle słów pochwały z ust p. Złotockiego, był obowiązany tem gorliwiej pełnić swoje obowiązki — nie mógł odkradać im ani chwilki czasu, choćby nie wiem jak czuł potrzebę zamknięcia się w sobie i oddania własnym myślom...

Po południu dnia tego przyjechali do Łubienki goście: państwo Drogomirscy z trzema synami. Szczesny znał ich już, ale wizyta ta nie zrobiła mu żadnej przyjemności — przeciwnie. Przy gościach trudniej jeszcze było poskramiać Wicusia i powstrzymywać go od zbytcej swawoli, a jego wybryki i niegrzeczny ton, jakim odpowiadał na wszelkie upomnienia, wywoływały wpółukryte uśmiechy na usta bardzo dobrze ułożonych, może trochę tylko zanadto spokojnych i jakby wymuszonych dwóch młodszych Drogomirskich, rówieśników Wicusia.

Szczesny wstydział się za swego ucznia, jakby był winien jego niegrzeczności — przytem, choć sam przed sobą nawet nie chciał się do tego przyznać, jednak bardzo mu niemiłym był ton, jaki względem niego przybierał najstarszy z braci Wła-

dek Drogomirski. Chłopiec ten, będący prawie jego rówieśnikiem, mówił mu „pan“ i zachowywał niby względem niego pozory bardzo wyszukanej grzeczności — ale właśnie w tej grzeczności był jakiś ton trochę protekcyjnalny, trochę lekceważący który niewymownie drażnił Szczesnego. „Pan korepetytor“ — jak go zawsze, mówiąc o nim, nazywał Drogomirski, odczuwał, że Władek patrzy z pewnem politowaniem na chłopca, zmuszonego pracować dla zarobku i zajmującego płatne stanowisko w domu, do którego on przyjeżdżał jako gość, czwórką pięknych koni, lub faetonikiem i parą własnych bułanków, którymi powoził po mistrzowsku. Szczesny przyzwyczajony do tego, że wszyscy chłopcy, których dotąd spotykał, uważali go za równego sobie, a raczej patrzyli nawet na niego z pewnym szacunkiem, jako na celującego ucznia — niecierpliwił się niesłuchanie tonem Władka, jego nieustannemi przechwałkami o majątku rodziców, o wysokiem stanowisku, jakie on sam wybierał się zająć w świecie, pomimo że w szkołach dostawało mu się dotąd zawsze jedno z ostatnich miejsc.

— Nie widzę potrzeby zamećzać się nauką, bo przecież nie będę potrzebował nigdy zarabiać na życie — mówił, odymając wargę, co w jego przekonaniu miało mu nadawać minę niezmiernie dystygowaną i paradną, a w rzeczy samej nadawało mu wyraz bardzo głupi. — To doprawdy musi być coś okropnego pracować za pieniądze — taka zależność! ja bym nie wytrzymał.

— A ja wytrzymuję! — odrzucił ostrym tonem Szczęsny, którego brwi ściągnęły się chmurnie.

No zapewne — kto do czego przyzwyczajony.

— Naturalnie! wszystko zależy od przyzwyczajenia. — Ja n. p. nie wytrzymałbym, gdyby mi przyszło raz po raz brać dwójki! — I Szczęsny zaśmiał się ironicznie, rzucając Władowi wyzywające spojrzenie.

— Brawo! brawo! a to mu powiedziałeś! — zaczął krzyżeć, klaszcząc w ręce Wicus, który choć nie bardzo wiedział o co im chodziło, rozumiał jednak, że się sprzeczą, i gotów już był stanąć w obronie swego korepetytora.

Ale słysząc śmiech malca Szczęsny opamiętał się i zawstydził swego uniesienia. Bądź co bądź Władek był gościem, należało zatem oszczędzać go, a nie odpowiadać na jego niezbyt delikatną uwagę, docinkiem jeszcze bardziej ostrym i dokuczliwym.

— Baw się ze Stasiem i Jankiem, Wicusiu, zamiast się mięszać do rozmowy starszych, która cię nic nie obchodzi — rzekł, pokrywając swoje zmieszanie tonem sztucznej powagi.

— O, nie ma się co dziwić, że Wicus jest niegrzeczny i źle wychowany, bo z kim kto przestaje takim się staje — nie omieszkął odrzucić złośliwie Władek, rad ze sposobności upokorzenia przeciwnika.

Szczęsny nie odpowiedział już ani słowa, tylko zagryzł wargi prawie do krwi i odwrócił głowę, aby ukryć ciemny rumieniec, który mu oblał twarz całą.

Naturalnie, że po takim zejściu spacer po ogrodzie nie był już ani długi ani wesoły — chłopcy powrócili na werandę i tam w towarzystwie rodziców spędzili czas do kolacji; przyczem obaj starsi zajmowali się wyłącznie młodszymi, unikając starannie sposobności zagadania wzajem do siebie.

Po kolacji p. Złotocki poszedł z p. Drogomirskim do swego gabinetu dla wypalenia cygara. — Szczęsny posłany do nich przez panią Drogomirską z zapytaniem, czy kazać już zaprzęgać, wszedł do gabinetu w chwili, gdy p. Złotocki kończył jakieś sprawozdanie słowami: To wzorowy chłopiec, daj Boże takich jaknajwięcej!

Ognie uderzyły mu na twarz, po spojrzeniu bowiem, jakim obaj panowie go przyjęli, domyślił się, że to o nim właśnie była mowa i posłyszana pochwała zabolą go jak najostrzejszy zarzut, bo była to pochwała niesłuszną, opartą na mylnych podstawach. — Szczęsny zawstydził się nią tak, jakby umyślnie, dobrowolnie wprowadził był w błąd p. Złotockiego. A przecież wolałby umrzeć, aniżeli kłamstwem zdobywać sobie jakiekolwiek, moralne czy materialne korzyści. Postanowił też jaknajmocniej wyznać całą prawdę, nie oglądając się wcale na skutki, jakie to wyznanie mogło za sobą pociągnąć.

— Powiem, powiem wszystko! choćby mieli za to z domu wygnać — powtarzał sobie do późna w nocy, obracając się na łóżku i nie mogąc zasnąć z powodu niespokojnych, gorączkowych myśli, tłoczących mu się do głowy.

Zaraz nazajutrz nadarzyła mu się sposobność

wprowadzenia w czyn tego postanowienia. Wicus naturalnie pospieszył opowiedzieć rodzicom zaszłą między starszymi chłopcami sprzeczkę, ale że nie umiał objaśnić dokładnie, czem właściwie Władek rozgniewał Szczęsnego, więc p. Złotocki sam zapytał go o to, spotkawszy go w ogrodzie.

Szczęсны opowiedział całe zajście, nie starając się bynajmniej uniewinnić; i owszem przyznał się odrazu, że dotknięty niedelikatnymi ubolewaniami Władka nad jego losem, sam pierwszy odpowiedział mu w sposób szorstki i wyzywający.

P. Złotocki słuchał spokojnie, tu i ówdzie dorzucając jakieś pytania; gdy przysła kolej na udział Wicusia w tej sprawie, uśmiechnął się pod wąsem i mruknął: A to malec! prawda, że się wdał niepotrzebnie — ale swoją drogą widać, że się przywiązał do ciebie i to mnie bardzo cieszy.

Szczęсны skończył opowiadać — p. Złotocki z wielką dobrocią położył mu rękę na ramieniu i rzekł: Nie warto było, mój drogi, brać do serca słów i tonu Władka; to głupi błazenek, którego dopiero kiedyś życie trochę rozumu nauczy — a zresztą mój chłopcze, dlaczego miało ci być przykrem wypominanie tego, co nietylko ci nie ubliża, ale przeciwnie powinno stanowić twoją chlubę. Wszak, gdyby nawet rodzice twoi posiadali miliony, ty nie miałbyś w tem najmniejszej zasługi, a to że pracujesz dla nich, zdobywa ci szacunek i życzliwość wszystkich rozumnych, dobrze myślących ludzi.

Szczęсны spłonął — nadeszła chwila wyznania całej prawdy: teraz lub nigdy.

— Co do położenia moich rodziców... pragnąłem otwarcie pomówić z panem... bo to nie jest tak, jak pan sobie wyobraża... zaczął głosem drżącym, spuszczając mimowoli oczy przed zdziwionem spojrzeniem p. Złotockiego i podnosząc się z ławki, na której byli usiedli, jakby nie czuł się godnym zajmowania tego miejsca. — Ja nie jestem wcale takim dobrym synem, jak pan myśli... przeciwnie jestem bardzo złym, a przynajmniej postąpiłem sobie... i nie chciałbym, żeby pan lepsze wyobrażenie miał o mnie, niż na to zasługuję...

Zakłopotanie biednego chłopca rosło z każdą chwilą; p. Złotocki nie mówił nic, przypatrywał mu się tylko badawczo, ale jakby z pewnem niedowierzaniem; nie chciało mu się wierzyć, aby Szczęсны, którego poznał dotąd z tak dobrej strony i uważał za wzór wszelkich zalet, miał istotnie ciężką winę do wyznania.

— No, mów — rzekł wreszcie — opowiedz mi wszystko szczerze, jakby własnemu ojcu; cokolwiekbyś miał na sumieniu, twoja chęć wyjawienia prawdy okupuje bardzo wiele w moich oczach; więc możesz mówić bez trwogi, że będziesz osądzony zbyt surowo.

Szczęсны chwilę milczał, opanowując wzruszenie i pomieszanie, potem zaczął opowiadać od samego początku, od owej kłótni, jaką miał z Henrykiem w szkole, wszystkie przejścia, domowe nieporozumienia, przykrości, które zatruły mu ostatnie miesiące. — Opowiadał, jak czuł się zawsze nie dość kochanym, za surowo sądzonym przez swoich najbliższych i jak mu to gorzko nieraz

było ; nie zataił nawet całego zajścia z wujem Stasiem, bo to zdecydowało go przecież ostatecznie do szukania zaraz, na czas wakacji, pomieszczenia gdzieindziej niż w jego domu. Jednego tylko, tego okrutnego podejrzenia, które wśliznęło mu się w serce, nie mógł wspomnieć ani słowem — a zresztą czuł już teraz, że nawet i to podejrzenie nie uniewinniło go — bo jeżeli państwo Borowscy obcego sierotę przyjęli w dom i uznali za syna, to on tem bardziej miał względem nich obowiązki wdzięczności i posłuszeństwa, niemniejsze jak rodzone dziecko.

P. Złotocki słuchał opowiadania w zupełnem milczeniu, z oczyma utkwionemi w twarz Szczęsnego, nie zdradzając nawet najmniejszym poruszeniem swoich myśli. Dopiero, gdy usłyszał, że Szczęсны zupełnie samowolnie i pokryjomu opuścił dom rodziców, brwi jego ściągnęły się i w siwych oczach błysnęła iskra, nadająca im ciemny, stalowy kolor.

Szczęсны naprzemian czerwony i blady, drżący ze zmieszania i z trudnością dobierający słów, gdy pochwycił tę iskrę, rzucającą gniewny błysk na całą dobrotliwą twarz p. Złotockiego, zmieszał się do reszty i urwał wpół słowa; nie był w stanie mówić więcej — serce biło mu gdzieś aż pod gardłem i kroplisty pot osiadł na czole, świadcząc jak ciężko mu było zdobyć się na tę spowiedź.

Upłynęła minuta, niby wiek oczekiwania — nareszcie p. Złotocki odrzucił daleko niedopalonego papierosa i rzekł tonem poważnym, ale który zatrwożonemu chłopcu nie wydał się zbyt surowym:

— Za szczerość, szczerość: powiem ci więc otwarcie, mój Szczęсны, że gdyby nasz Wicus kiedyś tak postąpił, sprowadziłbym go jednej chwili napowrót do domu i własną ręką dałbym mu w skórę — słowo honoru! toby go nie ominęło! No, no, nie przybieraj tak zaraz min obrażonej godności! dodał weselej, prawie uśmiechając się — nie mówię w tej chwili do pana korepetytora, który w moim domu wywiązuje się bardzo chwalenie z przyjętych obowiązków, tylko do dzieciaka, który jak się dowiedziałem wiele nabroił, a którego mimo to wszystko lubię serdecznie — bo już nie mogę inaczej.

Szczęsnemu z każdym słowem p. Złotockiego lżej się na sercu robiło — jakże szczęśliwym się uczuł, że to straszne wyznanie już było poza nim i że mimo słów wyrażających niby surowość, głos p. Złotockiego dźwięczał zawsze szczerą życzliwością i dobrocią.

— Tak, mój drogi — mówił on dalej — choć nie jesteś tak przykładnym chłopcem, jak sobie to wyobrażałem, jednak polubiłem cię już serdecznie i nie myślę cofać ci mej przychylności, tem bardziej, że i twoja miłość prawdy pociąga mnie ku tobie. Pozostaniemy zatem i nadal przyjaciółmi, tak jak byliśmy dotąd, a chociaż mógłbym ci powiedzieć dobre kazanie za twoje wybryki, które w dodatku i mnie poniekąd wpłatały w fałszywą wobec twoich rodziców pozycję — bo wygląda to, jakbym cię porwał z domu w sekrecie przed nimi — jednak nie powiem już ani słowa w tej sprawie, bo widzę, że sam czujesz doskonale swoją

winę. Zresztą twój ojciec dość surową wyznaczył ci pokutę, pozwalając na wykonanie twych szalonych projektów. Cóż zamýślasz nadal, po wakacjach zrobić ze sobą, jeżeli nie wrócisz do domu?

— O nie, nie wrócę! — odpowiedział stanowczo Szczęsny. — Każdy chłopiec przecież zaczyna kiedyś sam myśleć o sobie — ja zacznę parę lat wcześniej, niż inni, to i coś z tego? dam sobie radę, jakoś, bo kto chce pracować, nigdy nie zginie.

— Daj ci Boże, daj ci Boże! mruknął p. Złotocki, a biorąc nagle Szczęsnego za rękę i zwracając go ku sobie tak, aby musiał mu w oczy spojrzeć, zapytał innym już głosem:

— Czy chciałbyś być szczęśliwym?

— Chciałbym — odparł Szczęsny, zdziwiony takim pytaniem.

— No, to przyjmij odemnie życzliwą radę: nie przykładaj nigdy termometru do cudzych serc — nie waż i nie obliczaj, czy każdy oddaje ci sprawiedliwie tyle miłości, wiele ty mu jej dajesz. Kochaj wszystkich i wszystko o ile cię tylko stać, a o resztę nie pytaj; to jedyny sposób, aby mieć serce zadowolone i spokojne.

Szczęsny pochylił się do ramienia p. Złotockiego, który pocałował go w czoło, mrużąc: No, no, głowa trochę przewrócona, popędy do samodzielności trzech groszy nie warte — ale mam nadzieję, że gdy się to wszystko wyrówna i uspokoi, wyjdiesz jeszcze na tegiego człowieka — nieprawdaż?

— Będę się starał! — odparł gorąco Szczęsny.

IX.

Skwarne upały i huczące grzmotami, jasne od błyskawic burze gorącego lata, ustępowały powoli miejsca sierpniowym porankom mglistym i chłodnym, dniom krótszym, bledszym jakimś, w których płowy blask słońca zdawał się łączyć ze złotawym połyskiem pustych ścierni i otulać ziemię jakimś snem cichym, ciepłym jeszcze, ale w którym była już ociążałość zbliżającej się jesieni. W ogrodach kwitły astry, w lasach grzyby, orzechy i ożyny wabiły ku sobie spragnione zdobyczy ręce wiejskich pastuszków, którzy pasąc bydło na zrębie o chłodnym świetle rozniecali ognisko i piekli w niem kartofle i złote, przejrzałe już kolby kukurudzy.

Szczęsny i Wicusz codziennie prawie odbywali teraz wycieczki do lasu; dla obu ta chwila, gdy wchodzili po pod szumiące zcicha ciemno-zielone sosny i buki, których liście zaczynały się już teraz mienić w purpurowo-złote plamy, była najmiłszą w dniu — Wicusia radowały i pociągały w głąb lasu ożyny i grzyby, Szczęsnego ta cisza i spokój usposabiające do dumań, którym tę godzinę przynajmniej mógł poświęcić bez krzywdy swych chlebowców i szkody dla podjętych zobowiązań. Mały uczeń uwijał się wśród pobliskich zarośli, napełniając kieszenie i kapelusz bogatym plonem, a Szczęsny siedząc na ściętym pniu drzewa puszczając wodze myślom i posyłał je daleko, za echem ukochanych głosów i widokiem drogich twarzy, ku którym coraz goręcej rwało się jego stęsknione serce. — Co oni też tam robią? czy myślą o nim

czasem? czy przebaczyli mu już tę boleść, którą im sprawił, skazując siebie samego na stokroć cięższy żal i tęsknotę?

Pierwsze dni jesieni zwykły w każde wrażliwsze serce sączyć jakiś bezwiedny, łagodny smutek. Szczęsny jednak po raz pierwszy doświadczał tego tak silnie w tym roku. Cała energia i dobra otucha, które towarzyszyły mu stale przez wakacje, opuściły go teraz właśnie, gdy się zbliżyła chwila powrotu do miasta i wprowadzenia w czyn wszystkich wielkich, śmiałych postanowień. „Umieszczę się na najskromniejszej stancji, choćby w izdebce stróża, będę utrzymywał się z lekcji jak tyłu innych“, powtarzał sobie teraz jak na początku wakacji, ale w czasie gdy zrazu słowa te przejmowały go rozkosznym prawie poczuciem samodzielności i dumy, dziś zaczynał rozumieć doskonale wiele się po za niemi mogło kryć przykrości, zawodów, upokorzeń, tak trudnych do zniesienia jego drażliwej ambicji.

Niedostatku nie obawiał się; ufał swoim młodym siłom na tyle, że potrafi zarobić na suchy kawałek chleba, a o więcej nie dbał — byle wyżyć i móc uczyć się dalej. Za to czoło jego już naprzód okrywało się rumieńcem wstydu, gdy sobie wyobrażał, jakimi żdziwionemi minami a może szyderczemi uśmiechami koledzy przyjmą wiadomość o nagłej zmianie zaszłej w jego życiu. Zdawało mu się, że słyszy już biegnący z ust do ust po za jego plecami szept: Wiecie, Borowskiego ojciec z domu wygnał. — A wszyscy znajomi... A Felo, Terenia — co oni sobie pomyślą? z pe-

wnością nie zechcą uwierzyć, aby za zwykłe tylko nieposłuszeństwo lub krnąbrność, ojciec istotnie na tak długo wydał go z rodzinnego kółka i skazywał na życie w tak ciężkiej pracy i niedostatku.

— Niech myślą co chcą; prawdy nie dowiedzą się nigdy! Szczęsny o najdrobniejszych nawet swoich przykrościach nie umiał i nie cierpiał mówić — to też byłby wolał zginąć, niż ten ból swój największy odsłonić przed kimkolwiek, wydać go na czyjeś współczucie. Rodzicom — tak, przybranym rodzicom tylko, powie kiedyś, po latach, co go z ich domu wygnało. Dopiero kiedy cień tej tajemnicy ustąpi z pomiędzy nich, będzie mógł swobodnie przytulić się do piersi „Mateczki“ i wypłakać na niej gorycz swego sieroctwa.

Pewnego rana, gdy jak zwykle przyniesiono p. Złotockiemu w czasie śniadania torbę pocztową z listami, Szczęsny zbladł, a następnie poczerwieniał nagle, bo mu się wydało, że na jednej z kopert poznał z daleka pismo swojego ojca. Już wyciągnął do tego listu rękę drżącą ze wzruszenia, gdy zobaczył, że p. Złotocki otwiera go przed innemi i zaczyna czytać. Widocznie więc wzrok omylił go, a jednak ta ciasno zapisana ćwiartka, tak dziwnie ciągnęła ku sobie oczy Szczęsnego, iż musiał się upominać w duchu, że na cudzy list nawet z daleka spoglądać z ciekawością nie wolno. Pan Złotocki przeczytawszy list, złożył go spokojnie, wsunął do kieszeni i wziął się do przeglądania innych korespondencji. Po chwili dopiero zapytał Szczęsnego tonem obojętnym.

— Czy ty znasz Kraków?

— Nie, nie znam — odparł Szczęsny zdziwiony nieco takim niespodzianem pytaniem.

— A chciałbyś go poznać?

— Chciałbym bardzo, ale... wątpię, abym miał tak prędko sposobność.

— Właśnie, gdybyś chciał, miałbyś tę sposobność teraz: pisałem do twego ojca pytając, czy pozwoliliby ci pozostać i nadal w moim domu w charakterze korepetytora i pojechać wraz z nami do Krakowa, gdzie Wicusz będzie uczęszczał do 1-szej klasy, ty zaś mógłbyś zapisać się także do gimnazjum św. Anny. Ojciec odpowiedział mi w dzisiejszym liście, że nie ma nic przeciw temu, ale woli swojej co do tego narzucać ci nie będzie, bo skoro raz już rozporządziłeś swoją osobą bez jego wiedzy i upoważnienia, chce abyś i nadal dźwigał ciężar tej samodzielności — jeżeli wolisz to od dobrowolnego powrotu w progi rodzinnego domu. Wybieraj zatem mój Szczęsny, masz trzy drogi przed sobą: możesz albo — coby swoją drogą było najlepszem i najmądrzejszem — wrócić po prostu do rodziców — albo pojechać z nami, jako korepetytor Wicusia, do Krakowa — albo szukać sobie we Lwowie jakiegoś umieszczenia i lekcji na opłacenie go.

— Już wybrałem, i z duszy, z serca panu dziękuję za ofiarowanie mi miejsca w swoim domu! — wykrzyknął gorąco Szczęsny. — Nie wiem do prawdy, czem i kiedy potrafię się panu odwdziżyć za tyle dobroci!

— Bądź tylko nadal takim dobrym towarzyszem, a zarazem nauczycielem naszego Wicusia,

a nie będzie między nami mowy o wdzięczności — zakończył wesoło, uśmiechając się p. Złotocki.

Szczęsny miał uczucie, jakgdyby nagle usunął mu się z piersi olbrzymi kamień, przygniatający go od paru tygodni — gdy po tej rozmowie wyszedł na ganek, aż mu świat poweselał w oczach.

W oddaleniu od rodzinnego domu, pozba wiwszy się dobrowolnie troskliwej rodzicielskiej opieki, która dotąd czuwała nad każdym jego krokiem, nauczył się dopiero oceniać, czem jest ciepło, choćby obcego, rodzinnego ogniska, przy którym ogrzać się nam pozwalają — jak słodkiem jest otoczenie przyjaznych twarzy i to poczucie, że jutro nie zostanie nas samotnie wyrzuconych na bruk, bez kawałka chleba i dachu nad głową.

Ach, gdyby teraz otrzymał choćby słówko przebaczenia i miłości od swoich, uczułby się prawie... prawie całkiem szczęśliwy.

X.

Zaczęły się spieszne przygotowania do wyjazdu — w całym domu panował ruch i zamieszanie; pakowano kufry, paki z naczyniem, nawet pewną część mebli.

Wicusz uszczęśliwiony z panującego dokoła nieładu, uwijał się wszędzie, w każdym kącie było go pełno i chwilami zaczynał znów w zupełności zasługiwać na miano „Wisusa“ — tak go nadzieja bliskiego wyjazdu i czekających go tam nowych wrażeń podniecała. Szczęsny nie mało miał kłó-

potu, nim go codziennie nakłonił do odrobienia choćby najkrótszej lekcji — a jednak teraz, przed egzaminem, należało właśnie w dwójnasób pracować. Na szczęście chłopiec był z natury bystry i zdolny, i gdy mu się chciało dołożyć trochę uwagi, robił szybkie postępy, więc młody korepetytor miał nadzieję, że ostatecznie może przecież nieźle pójdzie z egzaminem.

Pan Złotocki na kilka dni naprzód pojechał do Krakowa, aby się zająć urządzeniem mieszkania wynajętego już od paru miesięcy; żegnając się rzekł, że w swoim zastępstwie mianuje Szczęsnego opiekunem podróżnych i przewodnikiem całej wyprawy, a choć mówiąc to uśmiechał się żartobliwie, Szczęśny nie na żarty poczuł się dumnym z włożonego nań zadania, i istotnie starał się usilnie, w ciągu całej podróży zajmować się sam wszystkim, aby pani Złotockiej oszczędzać trudu i drobnych, nieuniknionych w drodze kłopotów.

Dojeżdżali do Krakowa wczesnym, pogodnym rankiem, w wagonie przepelnionym podróżnymi, bo mnóstwo studentów, samych lub pod opieką rodziców, spieszyło już właśnie z wakacji na rozpoczęcie roku szkolnego. Ze starych wież kościelnych Krakowa dolatywało echo dzwonów, wzywających na poranne nabożeństwo, a Szczęsnemu serce biło w piersi równie silnie, poważnie i uroczyście na myśl, że wstępuje w mury starego grodu, o którym marzył nieraz, a zarazem w nową dla siebie epokę życia, w której czekają go, cięższe niż dotąd obowiązki. Inna to bowiem rzecz

takie lekcje z dwóch tylko przedmiotów na wakacjach, a inna, całkowite branie na swoją odpowiedzialność nauki szkolnej chłopca, nieprzywykłego dotąd do sumiennej i samoistnej pracy, któremu prawie gwałtem i wbrew jego woli trzeba wszystko kłaść do głowy. Nie łatwo to takie korepetycje pogodzić z własną nauką, a Szczęśny przecież za nic w świecie sam zaniedbać się nie chciał, przeciwnie, postanowił najusilniej, zaraz w pierwszym półroczu zdobyć celujące świadectwo, dla posłania go rodzicom.

Pan Złotocki wyjechał naprzeciw swej rodziny na dworzec — mieszkanie było już odświeżone i po części urządzone, mogli się też w niem odrazu rozgościć.

Pierwsze dni po przybyciu do Krakowa, Szczęśny przebył jakby w gorączce: zwiedzanie miasta, o którego poznaniu tyle się już namarzył od dzieciństwa — egzamin Wicusia, przejmujący go daleko większą tremą, aniżeli wszystkie jakie sam zdawał w życiu — zapisanie się do gimnazjum, poznawanie nowych profesorów i kolegów, wszystko to wzruszało i podniecało wrażliwego chłopca, odbierając mu sen i apetyt.

W tych dniach poczuł się też Szczęśny daleko samodzielniejszym i jakby więcej dorosłym, bo w czasie wakacji, pomimo, że spełniał poważny obowiązek korepetytora, jednak brakło mu okazji do rozwijania swej samodzielności, które tu znowu nastroczały się na każdym kroku. Przedewszystkiem zajął się wpisem do gimnazjum i zakupieniem potrzebnych na szóstą klasę książek.

Z prawdziwą radością i dumą zaspokoił te wydatki pieniędzmi, zarobionemi własną pracą.

Wicusz zdał egzamin nadspodziewanie dobrze; zwłaszcza z języka polskiego i rachunków otrzymał dobre stopnie, dzięki zapewne gorliwości z jaką Szczęsny udzielał mu przez wakacje obu tych przedmiotów. Państwo Złotoccy byli uszczęśliwieni i nawet pani, z wielką — jak na nią — serdecznością, dziękowała młodemu nauczycielowi za jego starania, które tak pomyślny uwieńczył skutek.

Wicusz, naturalnie, sobie przypisał całą zasługę dobrze zdanego egzaminu i niestety nabrał wskutek tego takiej pewności siebie i dobrej fantazji, że Szczęsnemu przypomniały się pierwsze chwile, spędzone w Łubience, gdy mu tak trudno było pohamować w czemkolwiek niesfornego chłopca.

W dodatku sam pobyt w mieście, będący dla Wicusia zupełną nowością upajał go poprostu; każde wyjście na ulicę nastroczało mu sposobność do mnóstwa wybryków, za które odpowiedzialność spadała po części na Szczęsnego, odprowadzającego go zawsze do szkoły i wychodzącego z nim codziennie na spacer, w godzinach popołudniowych.

Te spacery były prawdziwą torturą dla naszego młodego bohatera, który byłby się nieraz chciał schować pod ziemię przed zdziwionym wzrokiem przechodniów, oglądających się za nimi ze zgorzeniem. Wicusz, przeciwnie, był uradowany z tego, że tak zwracał na siebie ogólną uwagę,

i brykał, wykrzywił się, robił głośnie najniegrzeczniejsze uwagi o spotkanych osobach, zanosząc się przytem od śmiechu. Pewnego dnia, młody jakiś akademik, przepychający się spieszenie przez natłoczone w tej chwili wązkie przejście we Florjańskiej bramie, natknął przypadkiem na niego i jak to bywa czasem, nie mógł się z nim odrazu wyminąć — Wicusowi niesłuchanie się to podobało, zaczął więc już umyślnie zagrażać drogę młodemu człowiekowi; ten zniecierpliwiony, usunął go lekko na bok, mówiąc:

— No, mój kawalerze, puszczajże mnie, możesz przecie poczekać aż starszy przejdzie.

Wicusz z wielkim impetem, niby bardzo grzecznie, skoczył na bok, ale że to było po deszczu, więc umyślnie obiema nogami wpakował się w kałużę rzadkiego błota, i obryzgał niem nie tylko ubranie ale i twarz akademika.

Ten odwrócił się z pasją i zgadując widocznie, że Szczęsny był opiekunem niesfornego malca, rzekł dobitnie, mocno podniesionym głosem:

— Radzę tego smarkacza zamknąć na tydzień o chlebie i wodzie, a nie oprowadzać go po spacerach. Takich „dzikich“ nie puszcza się na ulicę, między porządnymi ludźmi.

Apostrofa ta wywołała głośny śmiech paru przechodzących równocześnie studentów — Szczęsnemu krew uderzyła do głowy — pierwszy raz był wmięszany w uliczną awanturę; porwał Wicusia za rękę i spieszenie podążył naprzód, słysząc jeszcze po za sobą szyderczy wykrzyknik jakiegoś ulicznika:

— O! dzicy ludzie! patrzcie na nich — jak

się to wyelegantowało, a nie umie chodzić po ludzku!

Wicusz ani trochę nie wziął do serca tej ubliżającej uwagi: przeciwnie, zdawał się całem zajęciem bardzo uradowany.

— No! dogodziłem mu! popamięta mnie! rzekł oglądając się z tryumfem, za poszkodowanym.

— I ty go także popamiętasz, bo za karę nie będziesz dziś jadł podwieczorku — odrzucił Szczęsny, mocno wzburzonym głosem.

— Aha! jeszcze czego! — właśnie że będę jadł, bo jestem głodny jak wilk.

— Jak się wygłodzisz do wieczora, to może stracisz ochotę do ochlapywania przechodniów błotem.

Przyspieszonym krokiem, bo obaj byli już mocno poirytowani, podążyli do domu.

Gdy wchodzili w bramę kamienicy, zatrzymał ich nagle jakiś obcy wysoki pan, Wicusz ukłoniwszy mu się pomknął, co tchu na górę — Szczęsny zatrzymał się zdziwiony i nierozumiejący, czego obcy pan mógł sobie życzyć, gdyż widział go po raz pierwszy w życiu.

— Spotykam pana często na ulicy z tym malcem, odezwał się nieznajomy, więc przypuszczam, że musi to być młodszy brat pana, lub powierzony jego opiece...

— Tak jestem jego korepetytorem — odparł Szczęsny, bez wielkiej dumy, przyznając się do takiego ucznia.

— Otóż, jako gospodarz jego klasy, muszę

pana przestrzedz, że zachowanie się tego smarkacza jest jak najgorsze; na pierwszej konferencji będzie podany z obyczajów, a jeżeli się bardzo prędko nie poprawi, może zostać całkiem wydalony.

— Powtórzę to rodzicom — szepnął Szczęsny, zaczerwieniony, jakby te zarzuty i jego samego dotyczyły.

— Tak, właśnie chciałem już przesłać ojcu uwiadomienie, ale, ponieważ widzę zawsze, jak pan odprowadza Złotockiego do szkoły, pomyślałem, że może pan ustnie dokładniej to przedstawi.

Profesor uchylił lekko kapelusza, Szczęsny skłonił się grzecznie i podążył na górę, układając sobie w myśli jakimi słowami opowie p. Złotockiemu oba zajęcia. Przykro mu było martwić zacnego opiekuna, od którego doświadczał zawsze tyle dobroci, a wiedział, że wszelkie przeprawy z Wicusiem niestłychanie irytowały go i smuciły — ale był tak podrażniony dzisiejszem zachowaniem niegrzecznego chłopca, że postanowił żądać koniecznie, aby go ukarano.

Rozmyślał jeszcze nad tem w swoim pokoju, gdy wszedł służący oznajmiając mu, że „jaśnie pan prosi pana zaraz do siebie“.

Poszedł z sercem bijącym trochę, bo czuł, że nadeszła chwila niemiłej dla obu stron rozprawy.

Pan Złotocki przyjął go jak zawsze dobrotliwym uśmiechem, i wskazując mu krzesło rzekł:

— Siadaj mój drogi; chciałbym z tobą kilka słów pomówić — podobno, poróżniliście się trochę z Wicusiem?

— Nie poróżniliśmy się wcale, tylko Wicus był taki niegrzeczny na spacerze, że jestem zmuszony prosić, aby za karę nie dostał podwieczorku.

— Wiem już, słyszałem o tem! ale widzisz mój kochany, co do podwieczorku... ja z zasady nie karałbym dziecka, zwłaszcza takiego wątlęgo jak Wicus, powstrzymywaniem go od jedzenia — to niezdrowo... zresztą matka by się nie zgodziła.

— To może państwo zechcą mu wyznaczyć jaką inną karę?

— Inną... zapewne, to już prędzej — ale trzeba się jeszcze zastanowić, czy on rzeczywiście tak bardzo zawinił, czy może ot, strzeliło mu głupstwo do głowy i zrobił je nie pomyślawszy, że to będzie z cudzą szkodą?...

— Ja mam w tej kwestji tylko jedno zdanie, które już wypowiedziałem, panu hrabiemu — oświadczył Szczęsny głosem hamowanego wzburzenia.

— Ho! ho! jużes mnie znowu na hrabiego wyforytował, za to, że mam swawolnego syna i nie chcę go głodem zamorzyć — roześmiał się żartobliwie p. Złotocki, opierając mu rękę na ramieniu. — Widzisz moje dziecko, młody jeszcze jesteś, rozpoczynasz dopiero nauczycielską karierę, to nie wiesz, że czasem przebaczenie wywołuje większą skrucę jak najsurowsza kara. — A ja wam radzę, pogódźcie się z Wicusiem i wypijcie razem tę zakwestjonowaną kawę, a przekonasz się, że on ci już nigdy takiego wstydu nie zrobi.

— Nie chodzi o mój wstyd, tylko o zachowanie

Wicusia — rzekł Szczęsny podnosząc się z krzesła, mocno zaczerwieniony i nie mogący już ukryć swego podrażnienia. — Naturalnie, że kara zależy tylko od decyzji pana hrabiego ale żadnej zgody ja ze swej strony zawierać nie myślę, bo by to było dla mnie tylko kompromitacją wobec tego smarkacza.

Sklonił się i wyszedł tak wzburzony, jak jeszcze nie był ani razu od chwili przybycia do domu państwa Złotockich. Myśl, że w dzisiejszym zatargu z Wicusiem, nie on, ale niesforny malec odniesie zwycięstwo i postawi na swoim, upokarzała go głęboko.

Aby dojść do swego pokoju, musiał przebywać salę jadalną — zastał tam właśnie Wicusia wypróżniającego z największym smakiem olbrzymią filiżankę kawy.

— A co? kto miał słuszość? nie będę, czy będę jadł podwieczorek?! — wykrzyknął z tryumfem, na widok pokonanego korepetytora.

Ten wykrzyknik przepełnił ostatecznie miarę goryczy, którą Szczęsny był zdolny znieść z pozorным przynajmniej spokojem — teraz podrażnienie wzięło nad nim całkiem górę — wpadł do swego pokoju, pochwycił ze stołu czapeczkę i zapominając, że była to właśnie pora lekcji z Wicusiem, wybiegł na miasto.

Słoneczna przed godziną pogoda, zmieniła się, jak to często bywa w jesieni, w chłód ostry i przenikliwy. Szczęsny nie miał na sobie nic prócz codziennej dość lekkiej bluzki, ale krew taką gorącą falą obiegała mu wszystkie żyły, że nie czuł zimna,

a raczej sprawiało mu ono miłe, chłodzące wrażenie. Przyspieszonym gwałtownie krokiem obiegł kilkanaście ulic; nie wiedział gdzie szedł i po co, gnały go myśli wzburzone, podszeptujące mu tyśiące szalonych projektów. — W pierwszej chwili zdecydował stanowczo, że nie wróci już do domu, w którym spotkała go tak ciężka *zniewaga*. — Czy mógł dalej przyjmować chleb z ręki ludzi, którzy za całą jego pracę, za taką gorliwość w uczeniu Wicusia i wpływaniu o ile się dało na jego charakter, nie mieli nawet dla niego tyle względu, aby mu oszczędzić upokorzenia wobec niegrzecznego malca, któremu zagroził słuszną przecież i sprawiedliwą karą? Jakaż byłaby odtąd jego powaga wobec Wicusia? Jaka rękojmia, że rodzice nie będą kasować tak raz po raz wszelkich jego surowszych wymagań i rozporządzeń?

Im więcej dotąd uwielbiał pana Złotockiego, tem cięższą, bardziej gorzką czuł do niego teraz urazę — do pani Złotockiej miał mniejszy żal, że rozstrzygając tę sprawę, nie wzięła w rachubę jego uczuć — ale on, ale p. Złotocki który się wydawał taki mu przychylny, a teraz uniemożliwił mu wprost pobyt w swoim domu.

Tak, to już postanowione, nieodwołalnie — pomimo wszelkich korzyści jakie mu przedstawiało miejsce korepetytora przy Wicusiu — on go zajmować dłużej nie może, bo godność osobista nie pozwala mu na to. Umieści się gdziekolwiek indziej, w domu jakiegoś woźnego, lub choćby stróża i podług swego pierwotnego planu będzie utrzymywał się dawaniem lekcji. Profesorowie znają

go już trochę, już był kilkakrotnie pytany, może widząc, że jest dobrym uczniem, następcą mu jakie korepetycje w niższych klasach.

Powziąwszy takie postanowienie, Szczęsny uspokoił się trochę; w pierwszej chwili miał zamiar nie pokazać się już wcale w domu państwa Złotockich, listownie tylko podziękować im za posadę i prosić o wydanie rzeczy — teraz jednak zreflektował się, że taki postępek nie miałby najmniejszego sensu a byłby bardzo obrażającym dla ludzi, którzy bądź co bądź, dotąd okazywali mu zawsze serdeczną przychylność. Wróci zatem i poprosi, aby go od jutra zwolnili od podjętych obowiązków; pożegna się z nimi grzecznie, Wicusiuowi nawet poda rękę i tak, jak człowiek dobrze wychowany, umiejący panować nad sobą, zakończy tę sprawę z całym spokojem i godnością.

Mimowoli teraz zwolnił trochę kroku, i podniósł nieco wyżej głowę, w poczuciu zadowolenia z samego siebie, ze swej dojrzałości moralnej i taktu, z jakim potrafi w tak drażliwych okolicznościach zadośćuczynić wszystkim względom. Tak będzie najlepiej — nie upokorzy się sam, ale też i nie obrazi nikogo.

Niestety, nie długo trwało jego zadowolenie — po paru minutach już ustąpiło ono miejsca poczuciu goryczy i osamotnienia, żalu nad samym sobą, trwogi przed tą przyszłością niepewną, w której czekało go może tysiące przykrości i upokorzeń. Jemu, co mając sam usposobienie do zbytku zamknięte w sobie i na pozór chłodne, tak jednak potrzebował trochę serdecznego ciepła,

straszno się robiło na myśl, że może już jutro o tym czasie będzie wśród ludzi zupełnie obcych, a może nie dorównujących mu nawet wychowaniem i wykształceniem, z którymi wzajem rozumieć i odczuwać się nie będą mogli.

Im bliżej był domu, tem bardziej opanowywały go te smutne myśli i przejmowała już naprzód tęsknota za serdeczną życzliwością p. Złotockiego, której miało mu odtąd zabraknąć. Na dworze zmrok zapadał, i zimny, jesienny wicher przebiegał ulice, a jemu w duszy robiło się równie czarno i pusto, i chłód przejmował go taki, że aż drżał cały!

Przechodził właśnie na wskos rynkiem, gdy nagle wśród turkotu doróżek postyszał jakby przytłumione echo śpiewów — obejrzał się, nie rozumiejąc w pierwszej chwili, gdzie mógł o tej spóźnionej porze rozbrzmiewać śpiew chóralny, poważny, jakby kościelny — wszakże kościoły o tej godzinie, a zwłaszcza w dzień powszedni, bywają zamknięte. A jednak nie: drzwi kościoła Panny Marji stały otworem i w głębi dużego, mrocznego kościoła, ołtarz błyskał płomieniem świec, których blask jarzący przesłaniały tylko błękitne zwoje dymu wznoszące się z kadzielnicy. Szczęsny przystanął zdziwiony — nagle przypomniał sobie, że był to właśnie dzień ostatni września, że zatem zapewne, uroczyste nieszpory październikowe rozpoczynały nabożeństwo do Matki Boskiej. Przeżegnał się i wszedł do kościoła.

W porównaniu do ciemnych i zimnych ulic, po których wicher pędził tumanami piasku, kościół

wydał mu się dziwnie ciepły i jasny, a przede wszystkim tak cichy taki spokojny, jakby wszystkie troski, niepokoje i gorycze serc zbuntowanych milkły tutaj, rozpływały się w nicość, lub zlewały w jeden harmonijny akord, z płynącą pod sklepienie pieśnią „Pod Twoją obronę!“. — Szczęsny ukląkł w bocznej ławce, z twarzą ukrytą w dłoniach; w tej chwili poczuł, jak bardzo jest samotny, biedny, opuszczony, jak mu potrzeba tej obrony i pociechy, której szukać nie może nigdzie, tylko tam, gdzie płynie ta pieśń, niosąca na skrzydłach swoich dusze ludzkie przed tron Boga-Rodzicy.

Nie śpiewał razem z innymi, nie wiedział nawet sam, czy się modli zaciskał tylko coraz mocniej twarz w dłonie i czuł, jak mu z pod powiek spływały łzy, które takim strumieniem rzuciły mu się do oczu, jakby dawno już w sercu wzbierały.

Cała tęsknota, którą tłumił w sobie gwałtem bojąc się, aby mu smutne myśli nie przeszkadzały w pracy, teraz zbudziła się w nim i opanowała go z podwójną siłą — przypomniał sobie majowe nabożeństwa, na których bywali codziennie razem z matką — z jakim lekkim i swobodnem sercem dążył na nie dawniej, przed paru laty, w pogodne wieczory majowe, domagając się na wyścigi z Felem zaszczytu podania matce ręki, prowadzenia jej, opiekowania się nią niby. W ostatnim roku, jak nieraz szedł już z sercem udręczonem straszną, zbudzoną w niem wątpliwością, jednak tembardziej tulący się do matki, spragniony jej spojrzenia, jej uśmiechu, szczęśliwy, gdy pod wrażeniem tkliw-

szego słowa rozpaczliwe jego obawy pierzchały lub przynajmniej cofały się gdzieś w głąb duszy.

A teraz był sam, sam zupełnie. — Pomiędzy nim a tą matką ukochaną stanął cień nietylko bolesnego odkrycia, ale i winy jego, który oddalił go stokroć więcej i pozbawił jej serca może na zawsze. Wieleż to już tygodni przeżył tak w tęsknocie i oczekiwaniu na jedno choćby słówko przebaczenia i miłości — i zawsze nic, nic!

— Ach mamó! mamó! — wybiegł szept, dziecinny prawie, na usta tego młodego chłopca, który wśród obcych czuł się już niemal człowiekiem dorosłym i jak dorosły rozpoczął życie o własnych siłach.

Organy grały wciąż; do tonów pieśni przyłączył się teraz dźwięk dzwonków i głowy modlących pochylały się ku kamiennej posadzce, gdy dusze ich podnosiły się coraz wyżej ku niebu. Od ołtarza ksiądz błogosławił złotą monstrancją i błogosławieństwo spływało w serca wszystkich, niosąc ukojenie smutków, zapomnienie uraz, wyrzeczenie się własnej pychy na chwałę Tego, któremu usta stały prośbę: Pobłogosław lud Twój Panie.

Wreszcie przycichły dzwonki, pieśń coraz słabszem echem uderzała o gotyckie łuki sklepienia, na ołtarzu gasły światła jedno po drugim. Szczęsny podniósł się z klęczek i rzuciwszy ostatnie spojrzenie na ołtarz, zwrócił się ku wyjściu. Szedł krokiem lekkim, z twarzą wypogodzoną, jakby zeń zdjęto nagle ten ciężar smutku i goryczy, z jakim przestępował progi kościoła. Był spokojny, bo czuł, że postanowienie, jakie wraz z ostatnimi

słowami modlitwy złożył u stóp „Orędowniczki strapionych“, choć ciężkiem mu było do wykonania i upokarzało jego dumę, jednak, dlatego właśnie, mogło okupić niejedną winę, popełnioną w przeszłości. Czuł, że gdyby rodzice wiedzieli, jaką walkę stoczył w duszy i jak z niej wyszedł zwycięsko, przygarnęliby go do serca ze słowem przebaczenia i miłości. Więc śmiało naprzód! choć jemu łatwiej byłoby znosić głód i niedostatek, niż upokorzenie, dla miłości matki, dlatego, żeby jej nie narażać na nową troskę i niepokój o siebie, zdobędzie się właśnie na tę, najtrudniejszą ofiarę.

Wyszedłszy na ulicę, przyspieszył kroku, bo w tej chwili dopiero uczuł chłód wilgotny i przejmujący — wieczór był już późny, jesienny, a on nie miał na sobie nic, prócz lekkiej pokojowej bluzki, gdyż wybiegł na miasto taki wzburzony, że nie pomyślał nawet o wzięciu na siebie okrycia.

Serce biło mu mocno, gdy dzwonił do mieszkania, zdawało mu się, że wszyscy musieli się domyślać, że wybiegając tak nagle, postanawiał już nigdy tu nie wrócić i że teraz żdziwią się, zobaczwszy go, i śmiać się będą w duszy z tych, tak krótkotrwałych postanowień. Jednak służący z najobojętniejszą miną otworzył mu drzwi i oznajmił, że położył na jego stoliku list, który listonosz przyniósł przed godziną.

List! o mój Boże! jakaż radość i niepokój wstrząsnęły nagle duszą Szczęsnego — list... może z domu?... może... od mateczki ?!...

Chciał biedz natychmiast, przekonać się o tem, ale wstrzymał się — wszak najpierw musiał wy-

konać to, co uważał za konieczny, choć bardzo ciężki do spełnienia obowiązek. Zamiast do swego pokoju, podążył po gabinecie p. Złotockiego. Zastał go czytającego jakąś książkę i tak w niej zatopionego, że daremnie chrząknął parę razy, aby zwrócić uwagę na siebie.

Po kilkuminutowem milczeniu, które wydało mu się wiekiem, odważył się nareszcie odezwać:

— Przyszedłem bardzo przeprosić pana za moje uniesienie i za to, że upierałem się przy swoim zdaniu i że nie zrobiłem dziś lekcji z Wicusiem..., wyjąknął głosem cichym i urywanym.

Pan Złotocki podniósł głowę i chwilę patrzył na niego, jakby nie rozumiał, o co chodzi — nareszcie z uśmiechem kiwnął ręką.

— Ej, mój chłopcze, nie tłumacz się; już zapomniałem o całej tej sprawie i ani myślę gniewać się na ciebie, a jeżeli chcesz mi zrobić prawdziwą przyjemność, to ty znowu nie gniewaj się na Wicusia.

— Pogodzę się z nim jak najchętniej — odparł skwapliwie Szczęsny.

— Tak to lubię! widzisz, nasz Wicus nie jest znowu zły chłopiec, tylko strasznie swawolny i może rozpieszczony przez nas trochę, jak to nieraz jedynak. Żebyś wiedział, że teraz sam już bardzo żałuje, że się tak źle zachował, co chwila wybiegał aż na schody patrzeć, czy nie wracasz.

— Tak, on ma bardzo dobre serce — przywodził Szczęsny gorąco, czując, że robi tem p. Złotockiemu przyjemność.

— Ale coś podobno w szkole nie bardzo z niego zadowoleni?

Szczęsny zaczerwienił się; przypomniał sobie rozmowę z profesorem Wicusia, o której powinien był przedewszystkiem opowiedzieć jego ojcu, gdyż była to niestety sprawa daleko większej wagi, niż popołudniowa swawola na ulicy, która jednak oburzyła go stokroć więcej dlatego, że jego samego naraziła na nieprzyjemność.

— Skąd pan już wie? zapytał zmieszany.

— Od samego Wicusia, który przeczuwa, że nie usłyszałeś tam od profesora wielkich o nim pochwał.

Szczęsny opowiedział całą rozmowę — p. Złotocki słuchał smutno, kiwając głową, w końcu jednak zwykły, dobroduszny uśmiech rozjaśnił jego twarz:

— No, ja myślę, że to się już od jutra odmieni — rzekł weselej. — Wicus obiecał mi solennie poprawę, a już to samo, że z własnego natchnienia przyznał się do wszystkiego, jest dla mnie pociechą. Prawość charakteru, szczerłość i odwaga, to są przymioty, które najwyżej cenię i najbardziej pragnąłbym widzieć w moim synu. Rozsądek i zastanowienie przyjdą jeszcze z czasem, zwłaszcza jeśli ty mój chłopcze będziesz i nadal takim dobrym opiekunem i przyjacielem naszego smarkacza, jak byłeś dotąd. Wierz mi, nie zrażaj się do niego — on mimo wszystkich swoich wad przywiązał się do ciebie bardzo i wpływ twój na niego coraz to zwiększać się będzie.

Szczęsny wyszedł po tej konferencji rozwese-

lony i pokrzepiony na duchu. — Życzliwe słowa p. Złotockiego milsze mu były w tej chwili niż kiedykolwiek — jakże dziękował Panu Bogu, że nie popełnił takiego szaleństwa, jakim byłoby porzucenie tego miejsca, dla marnego zadowolenia podrażnionej chwilowo dumy. Teraz najcięższe przejście było już po za nim, z Wicusiem jakoś się pogodzą i wszystko będzie znowu dobrze.

Wicusz widocznie niemniej niż Szczęsny pragnął załagodzić zaszłe nieporozumienie, gdyż wybiegł naprzeciw młodemu korepetytorowi, trzymając wysoko ponad głową list, wołając:

— Patrz! patrz! tak cię długo nie było, a tu tymczasem listonosz przyniósł do ciebie jakiś list ze Lwowa.

— Ze Lwowa?... Szczęsny pochwycił list i zbladł ze wzruszenia — na kopercie poznał pismo matki. Jak strzała pobiegł do swego pokoju, tuląc do piersi skarb, tak dawno upragniony; tego listu nie chciał otwierać i czytać przy świadkach.

Drżącą ręką zapalił światło i utonął oczyma w ćwiartkach zapisanych drobnem, ukochanem pismem. Pochłaniał je wzrokiem, duszą, sercem całym; wydawało mu się, że widzi twarz matki, słyszy jej głos, że tuli się do niej z poczuciem takiego szczęścia i ukojenia, wobec którego nikną, rozpływają się we mgłę wszystkie przebyte troski i trwogi. Ostatnie słowa listu były: „Szczęść ci Boże zatem moje najdroższe dziecko w tej pracy, którą wprowadzie sam, bez naszego pozwolenia i wiadomości podjąłeś, ale w której, jak widzimy, pragniesz wytrwać uczciwie i sumiennie; błogo-

ślawimy ci całym sercem i obyśmy zawsze mieli o tobie tylko tak pocieszające wiadomości, jak te, które nam tu od czasu do czasu przynoszą listy p. Złotockiego, uwiadamiające nas o twojem zdrowiu i chwalebnem postępowaniu. Teraz spodziewamy się, że zaczniesz już sam pisywać do nas często i obszernie — tęsknimy wszyscy bardzo za tobą — pamiętaj o tem i dawaj nam o sobie częste wiadomości.“

Czy był na świecie chłopiec szczęśliwszy jak Szczęsny, gdy te słowa przeczytał? — chyba nie; bo tylko ten, co przeżył prawdziwie smutne chwile, potrafi tak gorąco szczęście odczuwać. Całował po tysiąc razy list swój, przyciskał go do piersi, miał ochotę niemal śpiewać i skakać, to znów byłby rad biegnąć do p. Złotockiego, ucałować jego ręce z wdzięczności za owe listy pisywane w tajemnicy przed nim do jego rodziców, za chlubne świadectwo, które musiał mu w nich wystawić, skoro zdobył niemi swemu młodemu korepetytorowi tak upragnione przebaczenie. Ach, co za szczęście, że dzisiejsza burza przeminęła tak bez śladu! gdyby cała sprawa inny była wzięła obrót, jakżeby mu ciężko było napisać o tem rodzicom, właśnie po takim liście.

Podano kolację. — Szczęsny wprawdzie byłby dał niewiem co za to, żeby pozostać cały wieczór sam w swoim pokoju, ale czuł, że dziś właśnie, po wszystkich zająsciach, nie może tego uczynić. Poszedł więc do stołu, ale nie jadł nic, bo przebyte wzruszenia odebrały mu apetyt; zresztą i głowa mocno

go bolała i dreszcz miał chwilami, widocznie przeziął w tej spóźnionej przechadzce po mieście.

— Czy nie jesteś słaby? — zagadnął go życzliwie p. Złotocki, gdy wstali od kolacji. — Masz oczy zmienione — przecież nie płakałeś, mój chłopcze — dodał z uśmiechem wpół badawczym a wpół żartobliwym.

— O nie! przeciwnie — jestem dziś wieczór tak szczęśliwy, jak nigdy! — miałem list z domu, i całym sercem dziękuję panu! — zdołał ledwie wymówić Szczęsny, ale głos jego i spojrzenie dopowiedziały widać p. Złotockiemu resztę, bo odrzekł serdecznie:

— Cieszę się bardzo, że miałeś list; teraz będzie ci weselej u nas.

Szczęsny nic już nie odpowiedział; choć byłby chciał jak najwymowniej okazać p. Złotockiemu swoją wdzięczność, zwykła nieśmiałość i powściągliwość uczuć, zamykała mu usta. W tej chwili Wicus zbliżył się do rozmawiających z miną dość zafrasowaną.

— Możebyśmy... możebyśmy teraz zrobili lekcję — mruknął, sam widocznie zakłopotany tem, że taka niezwykła propozycja przeszła przez jego usta.

P. Złotocki spojrzał na Szczęsnego rozradowany — wzrok jego mówił wyraźnie: A widzisz, jak się mój Wicus odrazu poprawił!

Szczęsnemu wprawdzie głowa ciążyła jak ołowiem, marzył o tem, żeby się coprędzej położyć, ale nie mógł odmówić Wicusowi — nie mógł zrażać jego dobrych chęci, a przytem poczuwał się

do obowiązku przygotowania go do jutrzejszej lekcji — wszakże podjął się tego i gdyby Wicus jutro dostał dwójkę, byłoby to na jego sumieniu. Zawstydził się tylko, że nie on sam, ale mały uczeń przypomniał o tem pierwszy.

Zasiedli więc do lekcji. Nigdy w życiu jeszcze praca nie ciążyła Szczęsnemu, tak jak tego wieczoru: myśli mu się rwały; słówka niemieckie, których Wicus potrzebował do wyrobienia zadania, uciekały gdzieś z pamięci; nie wiedział sam, co mówi, jakał się, powtarzał jedno i to samo; Wicus ze zdumieniem spoglądał na swego korepetytora, którego dotąd uważał za niewyczerpaną studnię mądrości. Cóż mu się stało dzisiaj? nie jeden uczeń z pierwszej klasy lepiej tłumaczy z polskiego na niemieckie niż ten mądry Szczęsny.

Nareszcie lekcja skończyła się; poskładali razem książki i Szczęsny podążył do swego pokoju. Wydało mu się w nim dziwnie gorąco, otworzył więc górną szybę okna, i zmówiwszy krótki ale bardzo gorący pacierz, z lekkim sercem, choć ciężką głową, położył się.

Oczy jednak nie kleiły mu się do snu — przewracał się z boku na bok, usiłował rachować do stu, powtarzać w myśli wiersze, co tak jedno jak drugie ma być nadzwyczaj skutecznym środkiem przeciw bezsenności — nic nie pomagało. Głowa bolała go coraz mocniej i taki żar czuł w sobie, że nareszcie wyskoczył z łóżka i zaczął boso chodzić po pokoju, aby się ochłodzić. To pomogło znakomicie, i ochłodziło go do tego stopnia, że gdy się po chwili znów położył, drżał jak w febrze

i wszystkie członki miał zlodowaciałe. Ale sen i teraz nie przychodził; pod przymknięte powieki wsuwały mu się jakieś maryl, to zdawało mu się, że ktoś wchodzi do pokoju, to znów, że on sam jest już w domu, że goni za Felem i za Terenią i nie może ich dogonić. W dodatku zaczął mu dokuczać kaszel i z początku lekki, potem coraz mocniejszy ból w prawej łopatce. Godziny mijały, zegar na Marjackiej wieży wydzwaniał dwunastą, pierwszą, drugą, trzecią. — Szczęsny leżał wciąż pogrążony w jakimś półśnie, pół jawie gorączkowej, która ubezwładniała go do tego stopnia, że nie mógł wyciągnąć ręki po szklanę z wodą, stojącą na stoliku obok łóżka, choć mu się pić chciało okropnie. Nareszcie, gdy biały brzask zaczął rozświetlać okno, zasnął twardo i ciężko, czując na głowie jakby stufuntowy ciężar, a wskrósł piersi i pleców ból świdrujący, który mu oddychać przeszkadzał.

I teraz jednak nie ustały gorączkowe majaczenia, przeciwnie spotęgowały się tak, iż przez sen czuł, że się rzuca po łóżku, chce się podnieść, biegnąć, ale nadaremnie usiłuje to wykonać, bo jakaś dziwna bezwładność pęta mu ręce i nogi.

Po paru godzinach zbudził się na szmer głosów rozmawiających, jak mu się zdawało, prawie tuż nad jego głową — z trudnością otworzył oczy i jak przez mgłę zobaczył p. Złotockiego z jakimś zupełnie obcym panem, który go właśnie trzymał za rękę, a równocześnie patrzył na swój złoty zegarek.

— Aha, to pewno doktor — muszę być chory

— pomyślał Szczęsny — ale jakoś go to przypuszczenie ani trochę nie zmartwiło; czuł się tak zmęczony, że zobojętniał na wszystko i jedynym pragnieniem jego było, zamknąć znowu powieki i spać dalej. Ale doktor przeszkadzał mu w tem — posadził go na łóżku i podtrzymując ramieniem przykładając ucho do jego piersi, pleców, badał gardło, oczy, spalone gorączką usta, nie zważając wcale na to, że Szczęsnego te wszystkie ceremonie bardzo widocznie męczyły. Aż wreszcie pozwolił mu się znowu położyć, a sam pisał coś długo przy biurku, wychodząc zaś zapewnił p. Złotockiego, że około ósmej wieczorem znowu tu wstąpi.

Cały ten dzień wydawał się Szczęsnemu niesłychanie męczący i tak długi, jak jeszcze żaden dzień w życiu. Każde odetchnienie sprawiało mu ból nieznośny; przytem pogrążony ciągle w gorączkowem półuśpieniu, czuł jednak, jak mu na piersiach zmieniano ustawicznie zimne kompresy, wlewano w usta jakieś mdłe, niesmaczne lekarstwo, nogi ogrzewano gorącymi bańkami — wszystko to dokuczało mu okropnie, ale nie miał siły nawet ust otworzyć, aby się temu sprzeciwić.

Pod wieczór dopiero uczuł się znacznie rzeświejszy; gdy po raz pierwszy spojrzął przytomnie dokoła siebie, zobaczył w nogach łóżka Wicusia.

— Która to godzina? — zapytał słabym głosem.

— Cicho, cicho, śpij Szczęsny — odparł chłopak z niezwykłą u niego łagodnością w głosie, mama powiedziała, żebyś spał i żebym ja cię nie budził — ale ja przecież starałem się sprawiać tak cicho jak mucha.

— Mnie się już nie chce spać, daj mi wody — wymówił Szczęsny z pewną trudnością, bo ból w piersiach, jakkolwiek już nieco łżejszy, odzywał mu się jednak przy każdym słowie.

— Wody nie można, tylko orszady ci mogę podać — zresztą mama tu zaraz przyjdzie, bo wyszła tylko na minutę. Mama dziś cały dzień siedziała przy tobie.

— Tak? dlaczego?

— Bo ty jesteś chory, nawet bardzo chory; doktor powiedział, że masz zapalenie płuc.

— To pewnie dlatego mnie tak w piersiach kłuje — pomyślał Szczęsny i z pewnem zdziwieniem powtórzył z cicha: Zapalenie płuc! ja mam zapalenie płuc!...

Nigdy dotąd nie przebywał żadnej ciężkiej choroby; w całym swoim życiu może ledwie kilka dni przeleżał na katar lub ból gardła, to też wydawało mu się niezmiernie dziwnem, żeby teraz tak ni stąd ni zowąd, miał dostać zapalenia płuc. Czy to bardzo przykro przebywać taką chorobę? Pewnie — skoro ludzie tak się zwykle tego boją — a państwo Złotoccy wiele z nim będą mieli kłopotu! Pani Złotocka sama siedzi koło niego — mój Boże, gdyby tak był w domu, mateczka pielegnowałaby go tak troskliwie.

Przymknął znowu oczy — czuł się w tej chwili takim słabym i smutnym jak chore, zmartwione dziecko.

Drzwi skrzypnęły ledziutko, wszedł p. Złotocki, dając palcem znak milczenia Wicusiowi, który poskoczył żywo ku niemu.

— On już nie śpi, proszę tatki; już rozmawiał ze mną.

— Rozmawiał? to bardzo źle; rozmawiać nie wolno; gdy się komu podoba chorować, to niech przynajmniej milczy za karę — mówił wesoło p. Złotocki, siadając obok łóżka Szczęsnego. — No, mój chłopcze, nie mów, ale daj mi głową znak: lepiej ci trochę?

— Lepiej — szepnął Szczęsny.

— Chwała Boga; za parę dni będziesz zdrów jak ryba — swoją drogą musiałeś się porządnie przeziębować na tym swoim wieczornym spacerze, który jak mi powiedziano, odbyłeś w jednej bluzce tylko, jakby to był lipiec a nie październik. Oj chłopcze, co się stało z twoim zwykłym rozsądkiem! — zostawiłeś go chyba w domu, wychodząc na ten spacer.

Szczęsny nic nie odpowiedział na żartobliwe wymówki p. Złotockiego — po głowie plątała mu się ciągle myśl: To ja mam zapalenie płuc a rodzice nawet nic o tem nie wiedzą — dobrze, że nie wiedzą, martwiliby się niepotrzebnie — ale przecież... gdyby wiedzieli...

Nadszedł doktor — znowu opukał i obśluchiwał chorego, wydał najrozmaitsze rozporządzenia co do lekarstw i kompresów, które mu też p. Złotocka zaraz przykładać zaczęła, zmieniając je tylko rzadziej.

Szczęsny chciał jej za każdym razem dziękować, ale nie pozwolono mu mówić ani słowa, na co zgodził się tem łatwiej, że doprawdy nie miał sił. Pomimo bezwładności i zubożenia, jakie

jest zwykłym objawem każdej cięższej choroby, męczyła go niezmiennie myśl, że p. Złotocka tak się trudi dla niego — ach, gdyby tu była matczka!...

Późna już musiała być godzina, gdy p. Złotocki wyprawił żonę z pokoju, mówiąc, że teraz już okładów zmieniać nie potrzeba, bo Szczęsny zapewne spać zechce; sam zaś zajął miejsce na fotelu obok łóżka.

— Ale pan przecie nie będzie przy mnie siedział w nocy? — szepnął Szczęsny prawie z przestachem.

— Nie, nie; pocóżby? posiedzę tylko trochę, dopóki ty nie zaśniesz — staraj się więc zasnąć prędko, jeśli chcesz mnie do łóżka wyprawić — odparł p. Złotocki z uśmiechem. — Ale zresztą teraz jeszcze wcześniej, musi być koło dziesiątej.

W tej chwili zegar stojący na kominku w przyległym salonie, uderzył raz. — Pewnie kwadrans na jedenastą — pomyślał Szczęsny. — Nie zauważyłem dotąd nigdy, że ten zegar wybija także kwadrans, zdawało mi się, że tylko godziny.

— Proszę pana, ja mam wielką prośbę — szepnął znów po chwili.

— Mów, mów, mój chłopcze, byłe nie głośno.

— Bo ja... bo ja wiem, że nie jestem bardzo chory, tylko tak, trochę..., ale gdyby mi się gorzej zrobiło, to... czy pan napisze do rodziców?

— Skądże znowu takie fantastyczne myśli, mój drogi! dlaczego miałoby ci być gorzej, skoro już jest znacznie lepiej i z każdą chwilą lepiej bę-

dzie — przecież, Bogu dzięki, nie jesteś ciężko chory.

— Ja wiem... ale zawsze, zapalenie płuc...

— Zapalenie płuc?... a ty skąd wyrwałeś taką nowinę? gdzie tu jest jakie podobieństwo do zapalenia płuc! — protestował p. Złotocki z widocznym pomieszanym — doktor wspominał, że ktoś delikatniejszy mógłby z takiego przeziębienia dostać zapalenia płuc — ale ty masz tylko zwykły katar płucny, nic więcej...

— Ja też tylko na wypadek...

— Ej, nie myślmy o żadnych wypadkach — od wypadków chroni Boska opieka. Zresztą mój chłopcze, bądź spokojny; choć jesteś tu jak w rodzicielskim domu, wiemy jednak, że nie potrafimy ci całkowicie zastąpić rodziców i że, gdybyś miał dłużej chorować, obecność kogoś z twoich najbliższych, byłaby ci niezmiennie upragnioną. Spuść się w tem, jak we wszystkim, na mnie, a teraz przeżegnaj się i zaśnij spokojnie, a zobaczysz, że jutro zbudzisz się z weselszemi myślami.

Szczęsny postanowił usłuchać dobrej rady, a był rzeczywiście tak znużony, że zasnął prawie natychmiast i obudził się nazajutrz około siódmej rano, tak jak mu to p. Złotocki przepowiedział „z daleko weselszemi myślami“.

Kłucie w piersiach złagodniało już znacznie; czuł się tylko więcej jeszcze niż wczoraj osłabiony, tak, że z prawdziwą trudnością otworzył oczy i powiódł wzrokiem naokoło pokoju. Najpierw z przerażeniem zobaczył, że p. Złotocki spędził noc całą przy łóżku, drzemiąc na fotelu.

— Mój Boże, jacy oni tu dla niego dobrzy! jak dla rodzzonego syna — a on już był gotów w chwili uniesienia porzucić ich dom na zawsze. Gdyby tak wypadło mu chorować wśród obcych, obojętnych ludzi, co by się z nim stało?

Postanowił sobie, gdy wyzdrowieje, z podwójną gorliwością wypełniać swoje obowiązki, czuwać nieustannie nad każdym krokiem Wicusia, zwalczać jego wybryki łagodnością i wyrozumieniem, tak, aby już nigdy żadną skargą, żadnem ostrzejszem starciem nie zmartwić jego rodziców, którym tak gorąco pragnął swoją wdzięczność okazać. Był tylko Pan Bóg dał mu już conajprędzej przyjść do zdrowia!

Niestety, na razie nie zanosilo się jeszcze na to; zapalenie płuc jest ciężką chorobą i pomimo wyjątkowo odpornego organizmu, oraz najtroskliwszych starań, jakimi był otoczony, Szczęsny przeleżał długie tygodnie, niezdolny podnieść się, ani mówić, ani zająć się czemkolwiek. Państwo Złotoccy okazali mu nieustannie najczulszą dobroć — co więcej, Wicusz stwierdzał swoim zachowaniem, iż pomimo swawolnych wybryków, które go czasem robiły najnieznośniejszym uczniem pod słońcem, był jednak do swego młodego korepetytora szczerze przywiązany.

Wszystkie wolne godziny spędzał w pokoju Szczęsnego; usługiwał mu, usiłował go rozerwać opowiadaniem drobnych zdarzeń zaszłych w szkole, a co najważniejsza, przystąpił raz do niego, gdy nikogo więcej w pokoju nie było i z miną wielce tajemniczą i pełną powagi, oświadczył:

— Już ci dawno chciałem powiedzieć, że ja się teraz zawsze doskonale przygotowuję do każdej lekcji.

— Cieszy mnie to ogromnie, mój drogi — odparł Szczęsny ze słabym uśmiechem.

— A wiesz dlaczego?

Chory przecząco wstrząsnął głową.

— Dlatego, że słyszałem, jak tatko mówił do mamy, że trzebaby mi może. na czas, kiedy ty jesteś słaby, wziąć jakiego innego korepetytora, żebym się w nauce nie zaniedbał — a ja nie potrzebuję, żeby mnie kto inny uczył, więc dopóki ty jesteś słaby, będę się zawsze sam doskonale przygotowywał do wszystkich lekcji.

Szczęsny uśmiechnął się; miał ochotę powiedzieć Wicusowi, jakby to było ładnie, gdyby się zawsze tak do nauki przykładął, ale że w tym dniu kaszlał więcej i doktor zupełnie mówić mu zabronił, więc odpowiedział mu tylko lekkim uściśnieniem ręki.

Słowa Wicusia sprawiły mu prawdziwą radość; miło mu było pomyśleć, że potrafił sobie przywiązać dobre w gruncie serce niesfornego ucznia i że za pomocą tego przywiązania będzie mógł wywierać coraz to korzystniejszy wpływ na jego charakter.

XI.

Nareszcie nadszedł dzień, w którym Szczęsny mógł się podnieść z łóżka. Nogi chwiały się pod

nim, gdy po raz pierwszy próbował przejść przez pokój, ale po paru godzinach odpoczynku na fotelu, uczuł się silniejszym i z prawdziwym apetytem zjadł pieczone kurczę z kompotem, które mu podano na obiad.

Po obiedzie Wicusz wpadł zaaferowany do jego pokoju, mówiąc: — Jakiś wysoki student chce się z tobą widzieć — pewnie twój kolega, bo ma takie same cyfry na czapce, nie wiem, czy go wpuścić do ciebie?

— I owszem, poproś go niech przyjdzie.

Wicusz zniknął za drzwiami i w chwilę potem wprowadził istotnie jakiegoś dużego, mizernego chłopca, w którym Szczęsny poznał swego kolegę: Antka Krupe.

Zbyt krótko dotąd uczęszczał do krakowskiego gimnazjum, aby się mógł bliżej zapoznać ze swymi kolegami — o Antku wiedział też tylko tyle, że uchodzi on za dobrą głowę i ogromnego siłacza, co, tak jedno jak i drugie, jednało mu sympatię i poważanie między młodzieżą — o jego rodzinnych stosunkach, położeniu majątkowym, a nawet i charakterze nie miał najmniejszego wyobrażenia. Powitał go jednak z radością — miło mu było, że ktoś z kolegów pomyślał o zgłoszeniu się do niego; przytem stęskniony już był za szkołą i pragnął dowiedzieć się, co tam tymczasem wzięto w naukach, aby w domu poduczyć się po trochu wszystkiego przed pierwszym pójściem do szkoły.

— Serwus! zawołał Antek od progu — może cię zdziwi, że tu, nieproszony, niedziękowany, przychodzę — ale ja, widzisz, dowiadywałem się u dy-

rektora, czemu przestałeś chodzić do szkoły, a dowiedziawszy się, że jesteś chory, pomyślałem: ot biedaczysko! nie dość, że jest korepetytorem w cudzym domu i nie ma kąta własnego, a jeszcze mu na chorobę przyszło! Trzeba się do niego zgłosić — może mu brak czego, może co z apteki przynieść, a może choć popilnować go trochę i rozerwać. Ale widzę, że się nie w porę wybrałem ze swoją troskliwością, boś ty już Bogu dzięki zdrow, a przytem, tyś chyba nie korepetytor zarabiający na kawałek chleba, ale pan, który wszystkiego ma po uszy — i taki chudopacholek jak ja, więcej ci zawadzić niż dopomódz może.

— Co też ty mówisz, roześmiał się Szczęsny, ściskając serdecznie rękę kolegi — życzliwe serce nigdy nikomu nie zawadzi, a ja należę do tych, którzy ciepłe, przychylne słowo wyżej cenią i z większą przyjmują radością, niż wszelkie przysługi i pomoce. Co zaś do mojego państwa, mylisz się bardzo, bo nie jestem żadnym panem tylko biednym korepetytorem. Teraz wprowadzie, mając miejsce u państwa Złotockich, którzy są niezmiernie dobrzy dla mnie, a przytem bardzo zamożni, rzeczywiście mam „wszystkiego po uszy“ ale to tylko łaska Boża, że mi się tak trafiło — mógłbym równie dobrze mrzeć głodem, jak tylu innych biednych uczniów, bo nie mam nic własnego, prócz dobrych chęci do pracy.

— Jeżeli tak, to pewnie, że ci się dobrze trafiło! — potwierdził Antek, obejmując spojrzeniem wykwintne sprzęty pokoiku. Tak tu u ciebie ładnie i ciepło!

— A ty gdzie mieszkasz, co robisz? — zapytał z zajęciem Szczęśny?

— Ja także Bogu dzięki bardzo narzekać nie mogę — mieszkam u jednej wdowy, która nas sześciu trzyma na stacji, płacimy jej po trzydzieści zł. i mamy za to mieszkanie, opał, światło, śniadanie i obiad. Z kolacją każdy radzi sobie jak może: jeden, starszy jeszcze odemnie, jada ją u szewca, którego wieczorami uczy za to czytać, mnie i dwom innym rodzice przysyłają ze wsi trochę kaszy, mąki, słoniny, to zawsze coś można zgotować; który z nas ma parę groszy, funduje drzewo, a nasza gospodyni kontenta, że przy tym samym ogniu i sobie coś uskwarzy, już za to dogląda naszej kolacji. Naturalnie naczynie musimy potem własnoręcznie przyprowadzić do porządku, ale to bagatela, mieniamy się, tak, że na każdego ledwie dwa razy na tydzień wypada dyżur przy cebrażyku.

Tak więc czterej z nas mają już stale zapewnioną kolację — dwaj pozostali zaś muszą najczęściej obejść się smakiem, bo z domu przysyłają im tylko po trzydzieści zł. na opłacenie stacji a oni sami nie postarali się o żadne lekcje ani nic podobnego, więc z czegoż będą sobie fundować kolacje?

— Jakto, wy jecie przy nich i wiedząc, że i oni muszą być także głodni, nie poczęstujecie ich nawet?

— A to dobre! alboż mnie stać na takie codzienne poczęstunki? niech sobie sami zapracują, jeśli chcą jeść.

— Może... może nie mogli znaleźć żadnej pracy?

— Akurat — gadanie! pewnie, że nie mogli, kiedy jeden ma zawsze ze wszystkiego dostateczne, a drugi jest podany prawie na każdej konferencji — tacy pewnie, że lekcji nie dostaną, ale ja nie myślę ich żywić za to, że im się uczyć nie chce. Dziś, kto nie pracuje, nie ma po co żyć na świecie.

— Zapewne, zapewne — mruknął Szczęśny, któremu jednak ta zdrowa logika niezupełnie trafiła do przekonania. Wprawdzie sam był najgorętszym zwolennikiem pracy i wyznawcą teorii, że tylko praca daje człowiekowi prawo do życia na świecie, jednak, swoją drogą, delikatniejsze jego instynkta oburzały się na myśl, aby mógł przed oczami głodnych kolegów zajądać sam kolację i nie zaprosić ich do współudziału.

— W każdym razie musi to wam być bardzo przykro — dodał po chwili.

— Ech, przyzwyczajają się człowiek — odparł filozoficznie Antek — zresztą, co ja im poradzę, kiedy Bogiem a prawdą, pomimo tej kolacji, sam głodniusieńki zawsze idę spać. Taka już moja natura, wiecznie jestem głodny. Prawda, że siedzę do późna, bo w dzień biegam za lekcjami, żeby mieć czem stancję opłacić i dopiero po ósmej wieczór mogę o własnej nauce pomyśleć, więc też około dwunastej, a czasem i pierwszej w nocy, całkiem mi tak jest, jakbym kolacji nawet nie widział. Oni śpią, to może mniej czują.

Szczęśny z prawdziwym współczuciem popatrzył na tego dużego chłopca, którego zapadnięta

twarz i wychudła postać dobitniej jeszcze niż słowa zdawały się mówić: jestem wiecznie głodny! — Ach, z jaką radością pospieszyłby mu z pomocą — wszak miał w kuferku kilkadziesiąt zł., które oddałby mu z największą radością, aby sobie i swoim towarzyszom opłacił przynajmniej na miesiąc obfitą, dostateczną kolację — ale nie śmiał tego uczynić — sam nie przyjąłby za nic takiej darowizny, więc i Antka bał się obrazić ofiarowywaniem pieniędzy. Gdyby mógł go przynajmniej u siebie czym ugościć! Gdyby był w domu, z jaką radością poprosiłby mateczki o podwieczorek dla głodnego kolegi. Tutaj, choć wiedział, że pani Złotocka najchętniej uczyniłaby zadość jego życzeniu, nie miał śmiałości odezwać się z tem życzeniem.

A może... możeby poprosić służącego o przyniesienie z pobliskiej kawiarni porcji kawy lub herbaty dla wyголоzonego gościa? ale to znowu gotowo obrazić państwa Złotockich...

Biedny Szczęsny wahał się i namyślał; jego dobre serce i nieśmiałość staczały między sobą ciężką walkę, a tymczasem Antek, przypisując milczenie kolegi jego osłabieniu przebytą chorobą, sam trzepał za dwóch, opowiadając najrozmaitsze zaszły w szkole wydarzenia, aby rekonwalescenta, który w tej chwili wydawał mu się przygnębiony, zająć i ożywić.

Nagle otworzyły się drzwi i wszedł służący, niosąc tacę, na której stał imbryczek z herbatą i gorącą wodą dla Szczęsnego, a obok szklanka kawy i talerzyk słodkich w domu pieczonych bułeczek, które wszyscy jadalі tu przy podwieczorku.

— Jaśnie pani prosiła, żeby panicze wypili podwieczorek póki gorący — rzekł, stawiając tacę na stoliku między chłopcami.

Twarc Szczęsnego rozpromieniła się żywą radością; gościnny z natury i przyzwyczajony w rodzicielskim domu do świadczenia tej gościnności wszystkim przyjaciołom i znajomym, teraz dopiero, kiedy przez chwilę myślał, że będzie musiał puścić od siebie głodnego kolegę, nie ucztowawszy go niczem, ocenił, jaką to serdeczną przyjemność można znaleźć w podaniu komuś szklanki gorącej kawy, i ogarnęła go tkliwa wdzięczność dla państwa Złotockich, którzy nawet to jego skryte życzenie potrafili odgadnąć i pospieszyli spełnić. Pomimo osłabienia pochwycił żywo szklankę z kawą z tacy i drżącymi trochę rękami podał ją Antkowi.

Ten nie dał się długo prosić, wyrazista twarz jego całkiem mimowolnie rozpromieniła się również na widok podwieczorku.

— Ależ ty tu używasz, jak król! — zawołał z naiwnym zachwytem pokosztowawszy kawy — jak żyję jeszcze takiej kawy nie piłem. A te bułeczki! — czy ty codziennie dostajesz taki podwieczorek?

— Gdy jestem zdrow, to codziennie — teraz doktor zabronił mi pić kawę na podwieczorek, bo potem źle sypiam. Proszę cię jedz, skoro ci smakuje — robisz mi tem prawdziwą przyjemność.

Antek skwapliwie wyciągnął znowu rękę do bułeczek, ale zatrzymał ją wpół drogi. A może ta pani, ta twoja gospodyni, będzie niekontenta, gdy zjem tyle bułek? — zapytał z wahaniem.

Szczęśny roześmiał się wesoło. — Nie, nie, broń Boże — uspokoił kolegę — ta moja gospodyni, jest najpierw dobra dla mnie jak matka, i skoro tylko pomyślała o przysłaniu nam podwieczorku, z pewnością będzie nawet rada, że ci on smakował. Zresztą tu się nigdy nikomu jedzenia nie żałuje; wszyscy mają zawsze do syta.

— Dobry dom! — mruknął Antek wypychając odrazu do ust większe pół bułki.

Podwieczorek ożywił humory chłopców — gawędzili wesoło, aż wreszcie Antek posłyszawszy zegar wydzwaniający w salonie szóstą godzinę, zerwał się pospiesznie, mówiąc, że musi biegnąć na drugi koniec miasta na lekcję.

Szczęśny pożegnał go z pewnym żalem; miał wielką ochotę zaprosić go, aby jutro znów wstąpił choć na chwilę, ale bał się, że biedak gotów się trochę powodować nadzieją zjedzenia tu znów podwieczorku, a któż wie, czy ta nadzieja nie okazałaby się złudną? Trudno przecież wymagać, aby go państwo Złotoccy codziennie karmili; nawet niedelikatnie by było narzucać im zawsze takiego nieproszonego gościa w chłopcu, który był im zupełnie nieznanym i obojętnym.

Ledwie Antek zniknął za drzwiami, wpadł Wicusz.

— A co? wypił kawę? smakowała mu? — zapytał spoglądając ciekawie na wypróżnioną szklankę.

— Jeszcze jak! odparł wesoło Szczęśny.

— Widzisz — ja sobie zaraz pomyślałem, że skoro ja głodny o tej porze i ty i wszyscy, to i on

także musi być głodny, i powiedziałem mamie, gdy kazała tobie podać herbatę, że masz gościa.

— To ty pomyślałeś o tem? dziękuję ci całem sercem! nawet nie wiesz, jaką mi zrobiłeś przyjemność!

— Przyjemność? tobie? ja myślałem, że prędzej tamtemu, jeżeli mu kawa smakowała.

— Mnie większą jeszcze — to tak miło móżdż poczęstować kogoś co nas przyszedł odwiedzić, a zwłaszcza gdy się wie, że ten ktoś często bywa głodny.

— To on bywa głodny? dlaczego? przecież to nie żaden biedak, tylko taki sam student jak ty i wszyscy. Nawet całkiem porządnie wygląda.

— Tacy bywają nieraz najbiedniejsi — szepnął Szczęśny.

— Prawda, że bardzo chudy — to trzeba mu było powiedzieć, żeby tu codzień do ciebie na kawę przychodził. Powiedziałeś?

— Nie, Wicusiu — przecież to nie mój dom, trudno, żebym się rozporządzał i gości napraszał twoim rodzicom.

— Et! to także mądry jesteś — burknął Wicusz, który nawet najlepsze chęci nie zawsze umiał odpowiednio wyrażać. — Ciekawym coby to moim rodzicom szkodziło, żeby twój kolega, choćby cały dzień tutaj jadł. Tato macztery wsie, toby jeszcze nie zbankrutował.

— Nie wątpię — uśmiechnął się Szczęśny — ale niemniej ja się tu rozporządzać nie mogę, a zresztą mój kolega, choć bardzo mile przyjął jednorazowy poczęstunek, z pewnością nie byłby

rad się tutaj stale przeżywać. On pracuje sam na siebie; tacy ludzie nie potrzebują jałmużny.

— Wielki mi człowiek, student z szóstej klasy! to także parada! — mruknął Wicus i posłyszawszy głos ojca w salonie, wybiegł, mocno trzasnąwszy drzwiami za sobą. Wszelkie ostrożności i względy, jakimi dotąd otaczał Szczęsnego, uważając go za chorego, wydawały mu się już teraz zbyteczne.

Szczesny spał wybornie tej nocy; wizyta kolegi rozweseliła go i pokrzepiła jakoś, jakby wzmacniające lekarstwo. Nazajutrz na domiar szczęścia otrzymał z domu obszerny list, w którym każdy z rodziny dopisał się choć kilku słowami. Spełniając daną mu obietnicę p. Złotocki uwiadomił był rodziców o jego chorobie — uczynił to jednak jak mógł najoględniej, aby ich jak najmniej zaniepokoić — codziennie też, póki się choroba nie przełamała, telegraficznie uwiadamił ich o stanie zdrowia Szczęsnego, a że wiadomości te z dnia na dzień były coraz to pomyślniejsze, więc istotnie państwo Borowscy nie mieli powodu bardzo się niepokoić, tem więcej, że wiedzieli pod jak troskliwą syn ich pozostaje opieką. W dzisiejszym liście, po raz pierwszy od owych krótkich i surowych słów, otrzymanych jeszcze w Łubience, Szczęsny zobaczył na czele listu pismo ojca, i kilka serdecznych wierszy skreślonych jego ręką, przejęło go najwyższą radością.

Gdy po południu siedział przy stoliku, odcytując po raz dziesiąty już może szczerlnie zapisaną a tak drogą mu ćwiartkę, drzwi otworzyły się nagle i wszedł — Antek.

Szczesny zaczerwienił się na jego widok, zarówno z radości — gdyż nadzieja wesołej pogadanki z kolegą ucieszyła go serdecznie — jak i pewnego, mimowolnego zmieszania, którego przyczyną był właśnie ów delikatny skrupuł, aby gościem swoim nie zaciężyć państwu Złotockim. — Antek odczuł to może, bo zaraz od progu zawołał:

— Mój kochany, nie myśl sobie, że ja tu przyszedłem dzisiaj, żeby się znowu najeść i napić — ani mi to w głowie — tylko poprostu wczoraj, wychodząc stąd, spotkałem na schodach jakiegoś grubego pana, pewnie twojego chlebobawcę — ten mi powiedział, że się nudzisz, że nie wiesz, czymby cię zabawić i kazał mi dać uroczyste słowo, że o ile nie będę miał jakiej ważnej przeszkody, będę tu codziennie przychodził, dopóki zupełnie nie wyzdrowiejesz i nie zaczniesz chodzić do szkoły. No, pojmujesz, że skoro dałem słowo...

— Ależ pojmuję, pojmuję i serdecznie się cieszę, że cię widzę — roześmiał się wesoło Szczęsny, siadaj i opowiadaj jak tam dzisiaj w szkole było.

— Et, nieszczególnie — nastali nam jakiegoś faceta z gimnazjum św. Jacka — pod pretekstem niby, że się jego rodzice w tę stronę miasta przenieśli — ale ja myślę, że jemu bardzo chętnie dali stamtąd krzyżyk na drogę, bo taka nieznośna bieda, że aż człowieka korci z nim się o co zaczepić — i to właśnie na mnie padło takie miłe sąsiedztwo!

— Cóż to za jeden?

— Jakiś tam Tani-mirski czy Drogi-mirski — kto go tam wie?

Szczęśny zaczerwienił się: Drogomirski? pewno Drogomirski. — A nie wiesz, z których stron?

— „Moi rodzice mają majątek pod Zbarażem“ — wycedził przez zęby Antek, naśladując niby pełen fanfaronady ton i minę nowego kolegi.

— Tak... no to ja mam przyjemność go znać — bardzo wielką przyjemność — oświadczył ironicznie Szczęśny — widywałem go w czasie wakacji i wcale się nie cieszę, że teraz zacznę znowu widywać. Będzie mi wiecznie humor psuł.

— I mnie tak samo — ale skoro i tobie się równie jak mnie podobał, to we dwóch damy sobie z nim radę i nauczymy go rozumu. Niech sobie pomiata, kim chce — ale nami wara!

— Jeszcze by też! mruknął Szczęśny, któremu zaraz przyszła ochota pochwalić się przed Antkiem, jak już raz w czasie wakacji rozprawił się był z Drogomirskim — nie powiedział jednak nic, bo pomyślał, że to byłaby plotka, a zatem rzecz niegodna ucznia VI-ej gimnazjalnej. Zresztą niech sobie Władek sam wyrabia jaką może reputację u nowych kolegów. Szczęśny nie będzie mu szkodził, tylko postara się, aby jak najmniej mieli ze sobą do czynienia.

O godzinie czwartej pojawił się znowu tak jak wczoraj służący z podwieczorkiem dla obu chłopców; Antek tym razem zaczerwienił się nie tylko z zadowolenia ale i ze zmieszania — choć jego szorstkie i bezceremonjalne obejście nie zdradzało zbyt wielkiej delikatności i subtelności uczuć,

na niektórych punktach był jednak widocznie drażliwym.

— Słuchaj Szczęśny — ja tu przecież nie przychodzę dla jedzenia podwieczorku — pij ty sobie swoją herbatę, a ja się kawy ani nie tknę, bo to nie wypada tak codzień kogoś objadać — mruczał zakłopotany, skubiąc jakieś dwa włosy, wyrastające mu nad górną wargą, które uważał za pierwszą zapowiedź wąsów.

Szczęśny roześmiał się wesoło: — Nic sobie z tego nie rób — skoro cię p. Złotocki sam zaprosił, to już na jego odpowiedzialności będzie to objadanie; a ty nie trać czasu i pij kawę póki gorąca.

— Kiedy... może to naprawdę nie wypada? powiedz mi szczerze, bo ty lepiej się znasz na tych wszystkich ceremonjach... a ja bym znowu nie chciał uchodzić za całkiem źle wychowanego.

— Powiadam ci całkiem szczerze, że żadne dobre wychowanie nie nakazuje robić ceremonji i odrzucać gościnności, ofiarowanej nam szczerem sercem. — Zresztą, to taka drobnostka, że niema nawet o czym mówić.

Uspokojony temi słowy Antek, dla którego filiżanka wybornej kawy nie była znowu taką drobnostką, z apetytem zabrał się do jedzenia. Rozmawiali przytem wesoło; Szczęśny wypytywał się dokładnie kolegi o to, co w szkole wzięli we wszystkich przedmiotach w czasie jego choroby, czując się bowiem silniejszy, miał zamiar od jutra nie na żarty zabrać się do nauki, aby odzyskać czas stracony.

— Mój Boże, kiedy mnie też pozwolą pójść pierwszy raz do szkoły! — westchnął.

— E, nie turbuj się — będzie dosyć na czas, żeby się nacieszyć miłym towarzystwem nowego kolegi, roześmiał się Antek i spojrzawszy na zegarek, leżący obok Szczęsnego, porwał się z miejsca i zaczął pośpiesznie żegnać.

W tej chwili drzwi się uchyliły i wszedł Wicus, zaczerwieniony jak burak, trzymając w ręku jakiś pakiet, owinięty w biały papier i obwiązany sznurkiem. Kiwnął głową, niby na powitanie i zbliżywszy się do Antka, włożył mu w rękę ów pakiet, mówiąc dość rezolutnie: — Proszę to wziąć.

— Na co?... cóż to jest? — wyjąknął Antek, cofając się zdziwiony, nie widział bowiem dotąd Wicusia i nie rozumiał, czego ten obcy chłopczyk może chcieć od niego.

— To nic nie jest, ale proszę to wziąć — nalegał Wicus, coraz to bardziej zaczerwieniony.

— Wicusiu! cóż to znowu za koncepta! — odezwał się Szczęsny z oddźwiękiem nagany w głosie — powiedz jasno i otwarcie, o co ci chodzi, bo mój kolega nie jest wcale twoim kolegą i ze strony takiego malca jak ty, jakieś facecje z nim nie mają żadnego sensu.

— Przepraszam! mają sens większy daleko niż twoje gadanie! — odrzucił Wicus, któremu łzy oburzenia w oczach stanęły. — Ja nie jestem żaden malec i daję słowo honoru, że w tem niema nic złego! — dodał z uroczystą powagą, zwracając się do Antka — a Szczęsny jest głupi, że się czego nie może domyśleć.

Zakończywszy swoją przemowę w taki nieparlamentarny sposób, Wicus wybiegł z pokoju, mocno trzasnąwszy drzwiami. Antek i Szczęsny milczeli chwilę zdziwieni tem zajściem.

— No, rozwińże ten pakiet, zobaczmy, co się w nim kryje, czy wielkie czy małe głupstwo — rzekł wreszcie Szczęsny.

Antek rozwiązał sznurek i zaczął ostrożnie rozchyłać podwójne arkusze białego papieru owijające paczkę, z pod tej osłony dopiero ukazał się zdziwionym oczom chłopców spory kawał szynki, parę zrazów wołowej polędwicy i kawałek kruchego tortu z obiadu; na tem wszystkiem spoczywała kartka przetłuszczona tak, że mogła już służyć za transparent, ale na której można było jeszcze wyczytać, nakreślone niewprawną ręką Wicusia słowa: Dla tych, co nie jedzą kolacji, a także dla Antoniego Krupy.

Chwilę obaj młodzi patrzyli w milczeniu to na siebie to na zapasy; wreszcie Szczęsny odezwał się trochę wzruszonym głosem: — No, muszę przeprosić Wicusia za to, że go zbyt skoro i niesprawiedliwie osądziłem. Jego koncept nie był wcale taki niemądry! trochę może oryginalny, zwłaszcza wobec tego, że się dotąd nie znaliście. Ale w każdym razie dowodzi bardzo dobrego serca, a to cieszy mnie prawdziwie.

— Ale skądże on mógł wiedzieć, że moi współtowarzysze nie jadają kolacji — bo to do nich najwidoczniej odnosi się ten napis na kartce.

— Ja opowiedziałem mu wczoraj wszystko, bo chodziło mi o to, żeby usłyszał, w jakich to

warunkach inni chłopcy zdobywają tę naukę, do której jego tak trudno nakłonić. Widocznie opowiadanie to zrobiło na nim wielkie wrażenie.

— I cóż ty myślisz: że powinienem rzeczywiście wziąć ze sobą te wiktuały?...

— Ależ ma się rozumieć — jeżeli ci tylko nie zrobi więcej kłopotu niż warto, obnoszenie ich z domu do domu po twoich lekcjach.

— Mój kochany, widać, że jesteś bardzo niepraktyczny człowiek, kiedy robisz takie zastrzeżenie: mnie jeszcze nigdy kawałek szynki lub pieczeni nie zrobił kłopotu — tylko prawdę powiedziawszy wstydzę się trochę zabierać tak zapasy żywności z obcego domu. Ale z drugiej strony może nie mam prawa odmówić, skoro to zostało właściwie ofiarowane moim współtowarzyszom, którzy rzeczywiście nie jadają kolacji.

— Naturalnie, nie masz prawa odmawiać, a zresztą zrobiłbyś tem wielką przykrość Wicusowi; nie trzeba zrażać jego dobrego serca; on jest bardzo roztrzepany i swawolny; często bywa leniwy i uparty, ale wrodzona dobroć serca bierze górę nad wszystkimi złemi skłonnościami i ułatwia mi, bardzo trudne skądinąd zadanie czuwania nad nim i prowadzenia go.

— A więc dobrze, wytrawny pedagogu! nie chcąc w twoim uczniu przytłumiać dobrych popędów, zabieram ze sobą tę całą spiżarnię i obiecuję, że spałaszujemy to wszystko z wielkim smakiem za zdrowie twoje i Wicusia. A teraz bywaj zdrow i podziękuj odemnie temu smarkaczowi,

który choć na mądrego nie wygląda, strzelił wcale mądrym konceptem.

Śmiejąc się Antek, uściśnął dłoń kolegi i wyszedł; Szczęsny odprowadził go do drzwi, a stanawszy w progu salonu zawołał: — „Wicus! Wicus!“ o ile mógł najdonośniej, co jednak nie znaczyło wiele, gdyż nie odzyskał był jeszcze w całej pełni swego dawnego, silnego głosu.

— Czego wrzeszczysz, wiesz dobrze, że ci nawet mówić głośno nie wolno — burknął z pod pieca Wicus, który widocznie zatrzymał się był w pobliżu, ciekawy jak się w końcu rozstrzygnie sprawa ofiarowanych przez niego zapasów.

— Mój Wicusiu, chodź do mnie, chciałem ci powiedzieć, że posądziłem cię niesłusznie o niemądre facecje. Twój pomysł wypłynął z serca, a więc nie mógł być niemądry.

— Bo też ty także jesteś!... żebyś się nie domyślił! Sam mi przecie mówiłeś, że on często nie ma co jeść — mruczał Wicus. — A wziął wszystko?

— Wziął i obiecał zjeść razem z kolegami za twoje zdrowie.

— Obejdzie się — ja i tak zdrow jestem; niech sam za siebie zje. A jutro przyjdzie?

— Nie wiem, nic nie mówił.

— Musi przyjść, jak nie, to poszlemy po niego — ty wiesz gdzie on mieszka?

— Wiem. O cztery kamienice stąd.

— Tem lepiej; Michał się nie sfatyguje — on taki wygodniś! cały dzień siedziałby tylko w krendencie. Ja na jego miejscu wolałbym daleko bie-

gać po mieście za posyłkami, niż czyścić wiecznie te noże i widelce.

— Zapewnie, ale gdyby on ich nie czyścił, czemże byśmy jedli?

— Ojej! możnaby jeść i palcami — na jedno by wyszło — wygłosił Wicusz z filozoficzną obojętnością.

XII.

Z dnia na dzień powracały Szczęsnemu zdrowie, siły a nawet i dobre wyglądanie, do czego z pewnością nie mało się przyczyniły troskliwe starania jakimi był otoczony. Teraz mógł już o własnej sile chodzić po wszystkich pokojach, uczył się sam dosyć, a nawet wspominał kilkakrotnie o rozpoczęciu na nowo lekcji z Wicusiem, ale na to państwo Złotoccy nie pozwalali mu jeszcze, gdyż przy lekcjach mógłby zgadać się bardzo i tem sobie zaszkodzić. Antek odwiedzał go prawie codzień, bo gdy raz nie przyszedł, Wicus natychmiast wysłał służącego na miasto, aby go koniecznie odszukał i sprowadził. Z równą energią także dopilnowywał, aby z uderzeniem godziny czwartej wnoszono do pokoju Szczęsnego podwieczorek dla obu kolegów i sam łądował na talerz tyle bułeczek, wiele się ich tylko zmieścić mogło.

Nareszcie pewnego dnia, doktor, który stale od czasu do czasu odwiedzał Szczęsnego, zapytany, kiedy pozwoli mu raz pierwszy pójść do szkoły, odpowiedział: Jutro, — Szczęsny aż po-

czzerwieniał na tę wiadomość, która była dla niego zupełną niespodzianką, tak się bowiem przyzwyczaił do roli pacjenta, otoczonego przez wszystkich tkliwemi staraniami, państwo Złotoccy tak go jeszcze wciąż pielęgowali, chronili od najłżejszego zmęczenia lub zaziębnienia, że i jemu samemu wydawało się rzeczą trudną, powrócić tak nagle do obowiązków i tego nieco zależnego stanowiska, jakie w tym domu przed chorobą zajmował. Było to jednak wrażenie przelotne i krótkotrwałe — zaraz powiedział sobie, że powinien teraz tem skwapliwiej wziąć się do pracy zarówno nad Wicusiem jak i nad sobą, aby wynagrodzić czas stracony i równocześnie okazać państwu Złotockim wdzięczność za tyle doznanej od nich dobroci. Powrót do szkoły pomiędzy kolegów był mu także miłym, tylko... tylko cieszyłby się na to jeszcze dziesięć razy więcej, gdyby nie myśl, że wśród tych kolegów spotka się oko w oko z Władkiem Drogomirskim. Ale trudno! nie samych sympatycznych ludzi spotyka się na świecie — trzeba się starać umieć znosić i tych co nam są mniej mili — tak też postanowił robić Szczęsny.

Ku wielkiemu jego zdziwieniu, Władek przywitał się z nim bardzo serdecznie, jakby nie pamiętał wcale owego zajścia z czasów wakacji, a nawet w czasie przerwy przystąpił do niego i rozpoczął dość głośno rozmowę o Łubience, Wicusiu, kucykach którymi jeździli na spacer — wszystko w tonie jak najbardziej przyjacielskim i poufałym. Szczęsny pamiętając jak w tej Łubience, serdeczny dziś kolega traktował go z góry i nazywał stale

„panem korepetytorem“ — nie mógł wyjść z podziwu nad tą zmianą; rad był jednak, że Władek swoim zachowaniem postawił odrazu ich stosunek na naturalnej, koleżeńskej stopie i zatarł wszelkie ślady zaszłych między nimi nieporozumień.

— A jakże się mają państwo Złotoccy, czy zadowoleni ze swego przesiedlenia się do miasta? pytał Władek.

— Myślę, że muszą być zadowoleni — czemużby nie? — Wicuś uczy się teraz wcale dobrze, a oni dla niego właśnie, aby mógł uczęszczać do szkoły, przenieśli się do Krakowa.

— O dla nas to wielka przyjemność, że oni tu mieszkają — właśnie mój ojciec wybiera się hrabiego odwiedzić — a tak mało dotąd mieliśmy tu towarzystwa; mój ojciec formalnie tęsknił za hrabią Złotockim.

Szczęśny nic nie odpowiedział na to oświadczenie, które mu się wydało nieco przesadzonem, bo obaj panowie na wsi widywali się dość rzadko.

Władek ciągnął dalej. — Swoją drogą, obawiam się, że państwu Złotockim Kraków wyda się dość nudny — tak nieliczne tu jest kółko z którym żyć można.

— Tylko 100.000 mieszkańców! zaśmiał się szyderczo jeden ze studentów.

— O „mieszkańcach“ nie mówię, tylko o ludziach z którymi by nam było warto zawierać bliższą znajomość i bywać u siebie — odrzucił arogancko Władek, mierzając przytem wzgardliwym

spojrzeniem wytarty mundur kolegi, który się był wtrącił do ich pogadanki.

Odpowiedź ta, rzucona dość podniesionym tonem, zrobiła w klasie wrażenie iskry padającej na proch: oburzenie 40 młodych chłopców wybuchło najpierw chórem szyderczego śmiechu, przerywanego wykrzyknikami: hrabia! elegancik! arcyksiążę! nie ma z kim żyć w Krakowie — trzeba mu do towarzystwa parę dardanelskich osłów sprowadzić!

Z dalszych ławek, z pomiędzy kolegów, którym Szczęśny, nie sąsiadując z nimi, nie mógł się jeszcze dać dobrze poznać przez czas swego tak krótkiego dotąd pobytu w gimnazjum, odezwały się wnet głosy:

— A to się dobrali! arystokraci! hrabiami nam tu przyszli imponować! żaden z nas nie powinien im ręki podawać, bo dla nich nie dosyć być uczciwym człowiekiem — trzeba być hrabią i kwita.

— Kto to powiedział?! — zagrzmiął nagle basowy głos Antka Krupy — o Drogomirskim gadajcie sobie co chcecie, — niech się sam broni, jeżeli potrafi, — ale Borowskiego mi nie tykać, kto nie chce mieć ze mną do czynienia, bo to jest najporządniejszy człowiek z nas wszystkich, jak tu jesteśmy, — i daj Boże, aby wszyscy byli do niego podobni!

W klasie zaległa głęboka cisza — oświadczenie Antka zrobiło wielkie wrażenie na kolegach, szanowali go bowiem wszyscy i wiedzieli, że nie

lubił sądów swoich obwijać w bawełnę; był raczej za surowym niż za pobłażliwym.

— No, jeżeli Krupa za niego ręczy, to wracam honor Borowskiemu — odezwał się ten, co pierwszy rzucił oskarżenie na Szczęsnego — ale niech ma stąd nauczkę, żeby się nie trzymać z takim kwadratowym blagierem, boć przecie nie darmo istnieje przysłowie: powiedz mi z kim przebywasz, powiem ci jakim jesteś.

— Tak! precz z Drogomirskim! niech się z nami nie zadaje! niech sobie szuka arcyksiążąt! wykluczmy go! mówmy do niego pan! — odezwały się znów dokoła, to gniewne, to szydercze okrzyki.

Szczesny stał blady i czerwony naprzemian, z brwią chmurnie ściągniętą i oczyma pełnymi iskier. Od pierwszych słów Drogomirskiego dorozumiał się on był, że niespodziana uprzejmość okazywana mu przez Władka wypłynęła tylko z chęci pochwalenia się przed innymi kolegami znajomością i poufałą przyjaźnią z domem hrabstwa Złotockich — miał też już sam dać ostrą odprawę nieznosnemu fanfaronowi, gdy wyręczyli go w tem inni koledzy, w sposób przechodzący może nawet granice sprawiedliwości. Gdy zobaczył całą klasę zbuntowaną przeciw Drogomirskiemu i obrzucającą go wzgardliwymi okrzykami, uczuł nagle gorącą chęć ujęcia się za tym, co sam jeden stał w tej chwili pod pręgierzem niechęci i pogardy 40 kolegów. Wprawdzie on również w duchu potępiał i lekcewał Władka, ale taką miał już naturę, że musiał zawsze stawać po stro-

nie zwyciężonych, i teraz też odezwał się spokojnym donośnym głosem.

— Biorę w obronę Drogomirskiego. — Że nie podzielam jego niemądrych, kastowych uprzedzeń, że je wprost nazywam głupotą, przyznaję otwarcie, i ci co mnie znają, nie wątpią chyba o prawdzie słów moich — ale koledzy! dlatego, że ktoś ma przekonania które nas gniewają lub śmieszą, że je wyraził w sposób niedelikatny a może nawet obrażający dla innych, to jeszcze nie jest dostatecznym powodem, aby go z grona koleżeńskiego wykluczać, aby do niego nie mówić ty, nie podawać mu ręki. — Na taki wyraz potępienia z naszej strony zasługiwałby chyba tylko czyn podły — a o ile wiem, Drogomirski jeszcze nigdy nic podłego nie zrobił i jestem przekonany, że nie zrobi nigdy w życiu!

— Brawo Borowski! Dobrze gada! zagalopowaliśmy się! — odezwały się tu i ówdzie pojedyncze głosy. — Może i Drogomirski zagalopował się tylko — z czasem dopiero zobaczymy jaki istotnie będzie z niego kolega.

W tej chwili dzwonek na korytarzu ogłosił rozpoczęcie następnej godziny — drzwi się otwały i wszedł profesor — wszyscy w milczeniu i pospiesznie zajęli miejsce w ławkach, ale żywsze spojrzenia wymieniane od czasu do czasu przez studentów zdradzały, że myśl ich mimowoli wracała wciąż do poprzedniego zajęcia.

Gdy po skończonych już lekcjach wszyscy wysypali się z gmachu szkolnego na ulicę, Dro-

gomirski przystąpił do Szczęsnego i rzekł bardzo zmienionym głosem.

— Jesteś prawdziwie szlachetny i rozumny, to też wyobrażam sobie co musisz w duszy myśleć o mnie, pomimo że mnie wzięłeś w obronę wobec innych kolegów. — W Łubieńce podle się wobec ciebie zachowałem — wiemy to obaj doskonale — nie przepraszam cię, bo co ci po tem? obiecuję tylko, że będę się starał odtąd udowodnić mojem postępowaniem to, co w mej obronie innym kolegom powiedziałaś: nie zrobię nigdy ani wielkiej ani małej podłości.

Szczesny tak był zaskoczony tym niespodzianym ze strony Władka wybuchem, że w pierwszej chwili zdobył się tylko na milczący uścisk ręki, sam nie wiedząc co mu odpowiedzieć — dopiero gdy uszli razem kilkanaście kroków i na rogu ulicy mieli się już rozejść w dwie różne strony, odezwał się.

— Ani chcę ani potrafiłbym pamiętać o tem, co między nami zaszło w Łubience — wiem, że i ja również uniosłem się wtedy niepotrzebnie, ale między młodymi, i w dodatku kolegami, nie powinno się chować urazy o takie rzeczy — od dziś bądźmy przyjaciółmi i postarajmy się obaj o przychylność innych kolegów, dla których dotąd jesteśmy przecie obcymi.

Raz jeszcze wymienili gorący uścisk ręki i rozeszli się.

Nazajutrz Szczęsny przyszedł wcześniej do klasy i uprosił kolegów, aby Drogomirskiego traktowali z naturalną życzliwością, jakby zapominając

zupełnie o wczorajszem zajściu. Chętnie zastosowali się do jego życzenia, bo dowiedziawszy się od Krupy, że Szczęsny utrzymuje się wyłącznie z własnej nauczycielskiej pracy, nabrali dla niego szczególnego poważania. Władek też starał się usilnie o zatarcie w umyśle kolegów niekorzystnego wrażenia, jakie wywołał początkowo, swodem paniczkiowatym i lekceważącym obejściem. Bratał się jak najchętniej z najuboższymi kolegami, nie pominął żadnej sposobności oddawania im drobnych usług, a nawet wziął się szczerze do nauki i zaczął dość prędko poprawiać sobie stopnie we wszystkich przedmiotach.

Ogólna harmonja zapanowała zatem w VI-tej klasie, a Krupa i Borowski, ściśle ze sobą zaprzyjaźnieni wodzili rej między kolegami, dość słusznie uważani przez wszystkich za chlubę i ozdobę klasy.

XIII.

Nastąpiła epoka dziwnie miła i spokojna w życiu Szczęsnego — burzliwy jego charakter uciszył się nieco, pod wpływem prób które przeszedł; zresztą praca obowiązkowa, wypełniająca mu każdą minutę w dniu, chroniła go od nawału smutnych myśli i niepokojów, zwracała wszystkie chęci i dążenia jego do jasno określonych i szlachealnych celów. — Nie chcę, nie będę o tem myśleć — powtarzał sobie z mocą, ile razy fala dawnej goryczy powracała mu do serca — teraz powi-

nieniem tylko o tem jednym pamiętać, aby choć zdala od rodziców, być jednak takim, jakgdyby ich oczy nieustannie na mnie patrzyły, i choć nie jestem ich synem, zarobić jednak u nich na prawdziwie rodzicielską miłość.

Częste listy z domu umacniały go jeszcze w tych postanowieniach, przynosząc mu zarazem słodką, najmielszą sercu pociechę: tyle w tych listach bywało zawsze dowodów gorącego przywiązania, tak nieledwie między liniami, wyczytać było można, że jednak nie zapomniano tam o nim w domu, że puste miejsce, które pozostawił przy rodzinnym stole, przejmowało zawsze jego ukończonych żywą tęsknotą.

Rozpoczął się grudzień, wyjątkowo pogodny choć mroźny; strojący świat w to cudne, brylantami szyte okrycie, który tworzy śnieg w połączeniu ze słońcem.

Wicuś codziennie chodził na ślizgawkę w towarzystwie ojca lub matki, gdyż Szczęsnego z obawy zaziębienia, państwo Złotoccy nie puszczali jeszcze na lód. Było to dla niego wielkiem umartwieniem, gdyż pasjami lubił się ślizgać, choć z drugiej strony musiał czuć wdzięczność dla zacnych opiekunów, którzy nad nim tak troskliwie czuwali.

Pewnego razu postanowił skorzystać z wolnego popołudnia, aby odwiedzić Krupe, u którego nigdy jeszcze dotąd nie był. Bez trudności dopytał się o niego w kamienicy, gdyż wszyscy znali panią Bańczyklewską trzymającą studentów na stacji. Wąskimi, brudnymi schodami dostał się na trzecie piętro, a tam już nie potrzebując niczyich

wskazówek, zapukał śmiało do drzwi, z poza których dochodził go dość wyraźnie, podniesiony i jakby gniewny głos Antka.

— Nie będzie szorował! jaki mi paradny! a zjeść to potrafiłeś — szorujże sobie teraz, kiedy na ciebie kolej wypada, a innym ludziom nie przeszkadzaj pracować, bo ty się za mnie nie nauczysz.

Szczęśny widząc, że nikt nie zauważył jego pukania, uchylił lekko drzwi.

— Borowski! jak się masz! — wykrzyknął Antek, zmienionym od razu, pełnym radości głosem. — No, widzisz jaki ty nam wstyd robisz — szepnął do malca kryjącego się po za firankę, która oddzielała kuchnię i stół z naczyaniem, tworząc z przejścia między drzwiami jakby mały przedpokój — gość przychodzi a tu naczynie jeszcze nie pomyte:

— Przeszkadzam ci może — zapytał Szczęśny, wchodząc za Antkiem do sąsiedniego pokoju.

— Gdzie tam! jak mógłbyś mi przeszkadzać. Bogiem a prawdą mam nawet dzisiaj mało do nauki, ale umyślnie nałajałem malca, żeby mi nie przeszkadzał, bo fochy z naczyaniem stroi. To taki nowy, co tu z nami dopiero od tygodnia mieszka i dopiero pierwszy raz wypadł na niego dyżur przy cebrażku.

Przyznaję, że nie należy to do większych w życiu przyjemności — ale cóż robić? gdy kogoś nie stać na służbę, musi sobie sam usłużyć, i daj Boże, żeby tyle tylko było kłopotu, co z pomyciem naczynia od obiadu.

Antek machnął ręką w jakiś pół filozoficzny,

wpół desperacki sposób. — Szczęsny uważnie popatrzył mu w oczy: Masz jakieś zmartwienie? zapytał krótko.

— Eh, zmartwienie nie — ktoby się tam jeszcze martwił takimi rzeczami — albo to co pomoże?

— Ale jednak nie masz humoru — zmizerniałeś, więc widać, że się czemś gryziesz.

— Nie, tylko... prawdę powiedziawszy, straciłem wcale dobrą lekcję i teraz dosyć mi trudno końce związać; ale co tam! jakoś to będzie, bo być musi — to jedno, że człowiek taki głupi: jak tylko mniej je, zaraz mu i robota gorzej idzie. Jużem się przynajmniej na jakie dwa miesiące pożegnał z kolacją, i w pierwszej chwili trochę mi nieprzyjemnie, ale oswoję się! mam tu zresztą paru towarzyszków, którzy są w tem samym położeniu.

Szczęsny zaczerwienił się i szybko sięgnął ręką do kieszeni: — Antek, jeżeli mi choć trochę dobrze życzysz, przyjm to odemnie — szepnął prawie błagalnie, usiłując wcisnąć w rękę kolegi parę banknotów — tych kilkanaście złotych, mnie są całkiem niepotrzebne, ja mam wszystko, a ty się głodzisz i możesz sobie nawet w zdrowiu zaszkodzić.

Ale Krupa gwałtownie cofnął rękę i purpurowa łuna oblała jego wymizerowaną twarz.

— Nie krzywdź mnie nawet taką propozycją — odrzucił gorąco — bo będę myślał, że to co ci powiedziałem w koleżeńskim zaufaniu, wzięłeś za przymówkę do twego pularesu. Ja już od pięciu lat sam pracuję na siebie i sprawia mi to wielką przyjemność; twoją darowizną zniweczył-

byś całe to poczucie niezależności, które nawet w najcięższych chwilach jest moją pociechą i dumą.

— Kiedyż to nie darowizna.. tłumaczył Szczęsny zmieszany, szukając w myśli argumentu na poparcie swej sprawy — gdy będziesz miał kiedyś, może za rok, może za kilka lat, oddasz mi — to będzie tylko przyjacielska pożyczka.

— O nie, mój drogi — zaprzeczył żywo Antek — pożyczki tak samo przyjąć nie mogę, bo dałem słowo ojcu, że nigdy pod żadnym pretekstem, nie zrobię grosza długu. Będę się uczył w szkołach póty, póki moja praca starczy na wyżywienie i utrzymanie mnie w mieście; gdy nie potrafię już wytrwać dłużej, powrócę do rodziców i będę z ojcem razem pracował w rzemiośle. Nie pożyczę od nikogo ani grosza — ojciec nie darowałby mi nigdy złamania zrobionej mu obietnicy.

— Czyż twój ojciec jest taki surowy?

— Surowy? nie wiem — może wydawał mi się takim niegdyś — dziś widzę, że jego surowość była tylko miłością. Ona to ustrzegła mnie od niejednego złego w czasach, kiedy sam siebie nie byłbym jeszcze potrafił ustrzedz. Dziś już mi tego hamulca nie potrzeba; już znam troszkę życie i własne obowiązki, i wiem naprzykład, że pożyczając, gdy się nie ma skąd oddać, nie jest wcale rzeczą honorową!

Szczęsny spojrzął z wyrazem poszanowania i podziwu na twarz Antka, spoważniałą nagle, a zarazem ożywioną wzruszeniem — dotąd mimo-woli zachowywał względem starszego o lat kilka kolegi, jakiś lekki, prawie niepochwytany ton po-

blażania czy protekcji — wywołany jednak nie tem, że Antek był biedniejszy, jak raczej tem właśnie, że był zapóźniony w szkołach i że miał mniej towarzyskiej ogłady, mniej pozaszkolnego wykształcenia. W tej chwili dopiero Szczęsny odczuł, że ta wyższość umysłowa i towarzyska była niczem w porównaniu do gruntownych i poważnych zalet biednego chłopca, który jednak od najmłodszego dzieciństwa był prawie wyłącznie zostawiony sam sobie i nieraz szkodliwym wpływom ludzi obojętnych. Z rumieńcem wstydu na czole przypomniał sobie, jak przed kilku miesiącami, bez żadnej nawet twardej konieczności, tylko dla dogodzenia fałszywej ambicji, odważył się wziąć na kredyt kosztowną książkę. — Czy Krupa taki postępek nazwałby zupełnie honorowym...?

Chwilkę obaj koledzy rozmawiali jeszcze, choć bez zwykłego ożywienia i wesołości — obu im widać inne, poważniejsze myśli, poruszone tą pogadanką, błąkały się po głowie. Nareszcie pożegnawszy się bardzo serdecznie, Szczęsny odszedł, tłumacząc się, że z powodu lekcji z Wicusiem nie może dłużej bawić. — Na schodach jednak spojrział na zegarek — godzina była jeszcze wczesna, nie poszedł zatem do domu, tylko przeszedł się jeszcze po mieście, a na ostatku zaszedł na pocztę, kupił przekaz pieniężny i pod adresem pani Bańczykiewskiej wysłał całą gotówkę jaką miał w portfelu. Nie podpisał się nawet jako wysyłający, tylko na bocznym kuponie zanotował przeznaczenie pieniędzy: na kolację dla studentów.

Dopełniwszy tej czynności, odetchnął z zado-

woleniem i powracał do domu rad ze swego pomysłu i wykonania go. Teraz przynajmniej ze sześć tygodni Antek będzie już miał zabezpieczoną kolację, a dotknąć go to nie powinno, gdyż to przecież nie dla niego samego tylko ale dla wszystkich współtowarzyszy, w imieniu których nie miałby prawa odmówić, nawet gdyby się domyślił skąd pochodzą te kolacyjne fundusze.

Wyprawienie pieniędzy zajęło jednak Szczęsnemu dość dużo czasu, bo tłok był na pocztę, to też powracał spiesznym krokiem, aby się na lekcję nie spóźnić — ledwie zadzwonił, Wicus otworzył mu drzwi z miną wielce tajemniczą, a zarazem zaciekawioną: — Jakiś pan jest u ciebie szepnął z przejęciem.

— U mnie? jaki pan? — zapytał Szczęsny zdumiony.

— Nie wiem — jakiś całkiem obcy — rozmawiał z rodzicami, a teraz czeka na ciebie w twoim pokoju.

Szczęsnemu serce zabiło; żywo zwrócił się w głąb mieszkania — na progu jadalni spotkał się z p. Złotockim.

— Ktoś jest u mnie? coś się stało? zapytał zdławionym głosem, bo obawa walczyła w jego sercu o lepsze z radością: ten pan, czyżby to był jego ojciec?

Ale p. Złotocki miał twarz dziwnie poważną i zmieszaną. — Odwagi, chłopcze drogi — szepnął ściskając go lekko za rękę — Pan Bóg nie opuszcza nikogo i Jego łaska wszystko może przemienić.

Odwagi?! — Szczęśny blady jak płótno wpadł do swego pokoju — na tle okna, odwrócona plecami do wejścia rysowała się wysoka i silna postać mężczyzny.

— Wuj Staś! wykrzyknął Szczęśny, rzucając się ku niemu.

Wuj otworzył ramiona i pochwycił go w objęcia — w uścisku tym gorącym, Szczęśny odczuł, że jednak najpocziwsza życzliwość ludzi obcych nie zastąpi tkliwego, rodzinnego przywiązania.

Równocześnie milczące przywitanie wuja Stasia, zdwoiło jego trwożne przeczucia.

— Czy wuj był w domu, u nas? co robią rodzice? szepnął ledwie dosłyszalnie.

— Tak, jadę wprost od was; przyjechałem po ciebie bo., matka twoja chora i pragnie cię widzieć.

— Mama!! — wykrzyknął Szczęśny z rozdzierającym bólem, ukrywając twarz w dłoniach — chora, chora taka, że aż tu po niego wuja przysłali — o Boże, zmiłuj się! — Od kiedy chora? co się jej stało?

Wuj Staś powoli, głosem przyciszonym i urywanym, jakby ważył każde słowo, lękając się zbyt przerazić Szczęśnego, zaczął opowiadać: Choroba była wynikiem nieszczęsnego wypadku — przed tygodniem p. Borowska poszła na strych, powymować futra, które tam na lato w dużym żelazem okutym kufrze chowano — nagle auto, ciężarowe wyładowane beczkami przejechało ulicą — cała kamienica zatrzęsała się a wieko kufra

spadło niespodzianie, uderzając w głowę p. Borowską tak mocno, że w tej chwili zemdląca. Ouciono ją — ale po paru godzinach utraciła przytomność i lekarze stwierdzili silny wstrząs mózgu.

W ten moment zatelegrafowano po wuja Stasia; chciano tak samo zatelegrafować po Szczęśnego, ale ze względu na tak niedawno przez niego przebytą chorobę, z obawy, aby jadąc sam, gnany niepokojem, nie przeziębził się znowu, wstrzymano się z tem aż do przyjazdu wuja, — tembardziej iż lekarze ręczyli, że na razie nie ma niebezpieczeństwa. Tymczasem wywiązało się zapalenie mózgu — wprawdzie nie jedno z tych najstraszniejszych, które w kilkudziesięciu godzinach doprowadzają nieraz do okropnej katastrofy — w każdym razie jednak mogące budzić poważne obawy. Chora prawie ciągle majaczyła w malignie, od dwóch dni dopiero zaczęła się chwilami uspokajać i powracać do przytomności a zaraz w pierwszej takiej chwili, spojrzawszy przytomnym wzrokiem dokoła, zapytała o Szczęśnego, jakby nie zdając sobie wcale sprawy, że go w ostatnich miesiącach nie było w domu. Od tej pory imię jego powracało ciągle na jej usta, — oczekiwano jak zbawienia przybycia wuja Stasia, który miał natychmiast, wyruszyć po siostrzeńca do Krakowa — musiał jednak niestety z powodu wielkich w tamtych stronach zasp śnieżnych i wstrzymania pociągów, końmi dobijać się do Romaniec. — To go opóźniło.

Przybywszy nareszcie do Lwowa, wypił tylko szklankę herbaty w domu siostry, i nie po-

kazując się jej nawet, aby jej widokiem swoim nie podrażnić, natychmiast, kurjerskim pociągiem popędził do Krakowa, po Szczęsnego — Stan chorej był dotąd wciąż jednakowy — wszyscy najznakomitsi lekarze czuwali u jej łoża, walcząc z chorobą dniem i nocą — dotąd nie tracili nadziei, że ją zwyciężą — i nie tracił jej też nikt w domu: Pan Bóg taki miłosierny!

Szczęśny drząc jak w febrze, z minuty na minutę blednąc coraz bardziej, tak że chwilami zdawał się aż prawie zielony, wysłuchiwał tego opowiadania. Nie przerwał go ani jednym słowem, ani nawet głośniejszym tchnieniem, tylko ręką jego ścisnęła kurczowo ramię wuja Stanisława i oczy utkwione w jego twarzy, zasuwwały się jakąś mgłą rozpaczliwego osłupienia.

Wuj skończył mówić — chwilę patrzył na biednego chłopca, jakby czekając na jego odezwanie się, wreszcie, ujmując go za drugą rękę, rzekł głosem tchnącym serdecznością ale zarazem bardzo spokojnym i stanowczym.

— Szczęśny, zapanuj nad sobą — wszak jesteś mężczyzną! zresztą za godzinę mamy jechać; w takim stanie nie będę cię mógł wziąć w drogę, a tam czekają na nas.

— Ja... jestem całkiem spokojny wuju — wyszeptał Szczęśny z trudnością bo zęby mu dzwoniły w febrycznym dreszczu i język odmawiał posłuszeństwa.

— Całkiem spokojny nie jesteś i nie możesz być — nie wymagam też tego od ciebie, mój biedny chłopcze — ale poddawać się przedwcześnie

rozpaczy, jest grzechem przeciw miłosierdziu Bożemu, które może już w tej chwili właśnie oddala od nas widmo nieszczęścia. Nim zajedziemy na miejsce, choroba może się szczęśliwie przesilić.

— Oh, wuju, wuju! gdyby się tak stało! wybuchnął Szczęśny łkaniem.

Wuj Stanisław przez chwilę pozwolił mu się wypłakać, wiedząc, że mu łyzy ulgę przyniosą, nareszcie rzekł:

— Mamy już tylko trzy kwadranse czasu: ułóż więc jak najprędzej swoje rzeczy w tłumoczek i pójdźmy pożegnać się z państwem Złotockimi.

Szczęśny gorączkowo wziął się do pakowania; drżącymi rękami wyjmował z szafy bieliznę, suknie, książki i pchał to wszystko bezładnie do tłumoka; wuj Staś nie robiąc mu żadnych uwag, usiłował tylko ułożyć rzeczy w jakim takim porządku — w kwadrans tłumok i podręczne paski były już spakowane.

— Chodźmy do państwa Złotockich, i powiedz służącemu, aby nam auto sprowadził rzekł wuj.

Pożegnania nie zajęły dużo czasu, — Szczęśny bał się słowo przemówić, aby znowu nie wybuchnąć płaczem, w milczeniu więc ucałował rękę p. Złotockiej, która wzajem serdecznie w czoło go ucałowała; p. Złotocki ze łzami w oczach przytulił go do piersi, szepcząc mu: Bądź dobrej myśli chłopcze; da Bóg, powrócisz do nas za kilka tygodni weselszy, niż jedziesz.

Wicusz był formalnie zrozpaczony wiadomością.

cią, że Szczęsny opuszcza ich dom; z głośnym płaczem uwiesił mu się na szyi. — Wróć, Szczęsny! wróć do nas — powtarzał błagalnie — już ci nigdy w życiu nie zrobię najmniejszej przykrości; będę się tak uczył, że zostanę pierwszym celującym — tylko ty wróć! prawda że wrócisz?

Ale Szczęsny odpowiedział mu tylko gorącym uściśnieniem — alboż on mógł wiedzieć teraz, co z nim jeszcze będzie?

— Dziękuję państwu, — dziękuję! całym sercem za wszystko — szepnął już w progu, ujmując za kłamek i prędko wybiegł do sieni.

Wuj Staś podążył za nim; państwo Złotoccy stanęli nad schodami i przechylając się przez balustradę wołali za odchodzącymi: Do widzenia Szczęsny! niech was Bóg prowadził!

Dojechali do dworca w chwili, gdy wszyscy podróżni na odgłos pierwszego dzwonka sypnęli się już na peron; gwar i zamęt panujące dokoła, zmusiły Szczęsnego do oderwania myśli od dręczącej go troski. Z trudnością zdołali zdobyć bilety i dopchać się do wagonów; tam jednak, uproszony przez wuja Stasia konduktor wyszukał im całkiem osobny przedział. Odetchnęli gdy pociąg ruszył nareszcie, zbliżając ich każdym obrotem kół do celu podróży, do którego serca ich rwały się upragnieniem i trwogą.

Pragnąc odsunąć od Szczęsnego smutne myśli; wuj Staś zaczął opowiadać mu o Felu i Tereni, jak wyrosli, jak się oboje teraz dobrze uczą, a jak w czasie wakacji, Terenia gospodarowała roztropnie niby dorosła gospoia.

— Powiedz mi Szczęsny — zagadnął nagle, ujmując siostrzeńca za rękę — co się stało wtenczas, że zamiast przyjechać do mnie wraz z całą rodziną, nie powiedziawszy nikomu ni słowa, zniknąłeś nagle z domu? — Czy wiesz, że był to krok szalony, który mogłeś opłacić strasznymi przykrościami, gdyby Opatrzność Boska nie zawiodła cię do takich ludzi, jak państwo Złotoccy. Kto ci mógł podszeptać podobną myśl?

— Nikt mi jej nie podszeptał, wuju — chciałem stanąć o własnych siłach, aby... nie być dłużej ciężarem. Wtenczas wydawało mi się to prawie moim obowiązkiem, teraz dopiero widzę, że było to tylko porywem fałszywej pychy, za którą Bóg mnie tak ciężko karze!..

Głos Szczęsnego urwał się; wuj Stanisław popatrzył na niego ze współczuciem i rzekł łagodnie...

— Nie mów tak Szczęsny; grzechem jest przesądzać zamiary i wyroki Boże — nieszczęścia które na nas spadają, nie zawsze są karą, czasem próbą tylko. Ale jak mogła w twojej głowie powstać taka dziwna myśl, że jesteś ciężarem? — czyż dzieci kiedykolwiek są ciężarem swoim rodzicom?

Po twarzy Szczęsnego przesunął się płomień; ciemne źrenice pociemniały mu bardziej jeszcze i brwi zbiegły się nad czołem z wyrazem bólu, jakby ktoś dotknął rany krwawiącej mu się w piersi.

— Rodzicom nie — wyszeptał z trudnością — ale ja przekonałem się, że jestem tylko dzieckiem

przybranem, przytulonem z łaski, a nie prawdziwym synem moich rodziców.

Teraz z kolei wuj Stanisław drgnął i oblał się aż po czoło ognistym rumieńcem.

— Kto ci to powiedział? kiedy? jak? — wykrzyknął prawie gwałtownie.

— Nikt mi tego nie powiedział wprost, szczerze i otwarcie, ale wyczytywałem to doskonale w każdym ze spojrzeń waszych, zwracających się na mnie i na Fela; dosłuchiwałem się mimowolnie tej, strasznej dla mnie wieści, w każdym słowie wypowiedzianem zniżonym głosem, wśród szmeru ogólnej rozmowy, tak, aby to mogło ująć uwagi „dzieci“. Ja już nie jestem dzieckiem, umiem myśleć i rozumieć i wiem, że dwóch Feliksów Borowskich nie ma na świecie! Zresztą, gdyby nie słowa wasze, oświeciło by mnie serce własne — nikt w domu nie kochał mnie, tak jak Fela. Dawano mi życzliwą opiekę, utrzymanie i wygodę na równi z innemi dziećmi — ale ja pragnąłem tylko miłości tych, których sam nad życie kochałem, a gdy mi jej nie dano, poszedłem szukać gdzieindziej dachu nad głową i kawałka chleba.

Twarz Szczęsnego mieniła się od wzruszenia; straszna tajemnica, którą tyle miesięcy ukrywał na samem dnie serca, wybiegała mu teraz na usta falą gwałtownych słów, cisnęła się do oczu błyskawicą, kroplami potu występowała na blade, głęboką zmarszczką przecięte czoło.

Wuj patrzył na niego jakimś dziwnym wzrokiem — i jemu na ustach zdawało się drżeć słowo stanowcze, mogące rozstrzygać o czyjemś życiu,

czyjemś szczęściu lub niedoli — ale wahał się je wymówić i powtarzał tylko wpół machinalnie, z odcieniem zdumienia i litości w głosie: Szalone, szalone dziecko!...

Szczesny odrzucił głowę właściwym mu, dumnym ruchem: Nie jestem już dzieckiem, wuju; zanadto się nacierpiałem, aby zachować dziecinną swobodę serca i myśli. Zresztą po co mamy dłużej wmawiać w siebie wzajem coś, w co obaj nie wierzymy? wuj wie równie dobrze jak ja, że nie jestem rodzonym bratem Fela.

— Tak, wiem o tem równie dobrze jak ty, a raczej lepiej od ciebie, wyrzekł powoli i spokojnie wuj Stanisław, i nagle, kładąc rękę na ramieniu Szczęsnego, odezwał się zmienionym głosem: — Masz słuszość — nie jesteś już dzieckiem; dojrzałeś w cierpieniu, które jednak nie los, nie wola Boża, ale ty sam sobie stworzyłeś. Zdaje ci się, żeś pochwycił słowo zagadki, z której chcieliśmy dla ciebie, dla świata całego uczynić tajemnicę, ale mylisz się, tyś podsłuchiwał tylko podszeptów swej własnej dumy, drażliwości, egoizmu nawet, który się chował poza tarczę twego przywiązania do rodziców, wiecznie wmawiając ci, że za mało dostajesz w zamian za to co dajesz, serca. Posłuchaj historii, którą ci opowiem, a przekonasz się, że moje słowa, choć gorzkie ci może, są jednak słuszne i prawdziwe.

Szczesny blady ze wzruszenia, źrenice pełne ognia utkwiał w twarzy wuja, duszę całą zawiesił na jego ustach — wuj powoli, głosem przyciszo-

nym, jakby lękał się ścianom wagonu zwierzać tajemnicę rodzinną, zaczął mówić:

— Dwóch było braci Borowskich w starszem pokoleniu; obaj byli zdolni, pracowici, wcześniej dorobili się stanowiska i kawałka chleba, poženili się i życie dla obu zdawało się otwierać jak najjaśniejsze horyzonty. Nagle, straszna katastrofa w kopalni węgla zabrała ze świata młodszego z braci, który był górnikiem. Pozostawił on żonę i maleńkiego paromiesięcznego synka; nie pożegnał ich nawet przed śmiercią, bo schodząc po raz ostatni w podziemia nie przeczuwał, że w nich tak nagłą i straszną śmierć znajdzie. Młoda wdowa pozostała bez żadnego zaopatrzenia, bez oparcia w życiu, starszy brat wziął ją natychmiast do swego domu, otoczył najtkliwszem staraniem, pragnąc dowodami przywiązania ukoić jej boleść. On sam także już miał żonę i starszego o dwa lata synka i obaj malcy chowali się wspólnie, jak rodzeni bracia; obaj też nosili jedno i to samo ulubione w rodzinie imię, dla odróżnienia zatem nazywano jednego z nich Szczęsnym, drugiego Felem. Rok ledwie upłynął od strasznej katastrofy w kopalni, kiedy w domu państwa Borowskich wybuchł pewnej nocy pożar. Dom był stary, drewniany, jak to u nas po wsiach bywa. Nim się mieszkańcy zbudzili, cały dach nad głową był już w ogniu.

Rzucono się na ratunek, ale siły ratujących były słabe i nieliczne, większość służby folwarcznej i młodych chłopów ze wsi mobilizacja powołała była na front. Powstał popłoch i zamieszanie;

plomienie i dym wciskały się już przez popękane okna do pokoju, kobiety mdlały, musiano je cucić i wynosić na rękach na dziedziniec. Gdy nareszcie wszyscy, jak się zdawało, znaleźli się już uratowani w bezpiecznem miejscu, spostrzeżono nagle, że wśród tych wszystkich był jeden tylko z obu chłopczyków. Gdzie się podział drugi, czy go wyniesiono z palącego się domu, czy też w ciemności i zamieszaniu pozostał w jednym z licznych pokoiów i korytarzy, któremi trzeba było wydostawać się na dziedziniec z dziecinnej sypialni, położonej na piąterku — tego nikt w tej chwili nie wiedział. Pamiętano, że przez balustradę schodów niania podawała go komuś ze służby, aby go poniosł dalej, bo jej wpół uduszonej dymem siły już ustawały, potem już go nikt nie widział. Ledwie ktoś z obecnych podszeptał myśl, że może dziecko jest jeszcze tam, pod palącym się dachem, pani Borowska, wdowa, pierwsza, bez chwili namysłu, rzuciła się ku płonącym murom, wszyscy pogonili w jej ślady, ale ona przodowała wszystkim, jej głos rozlegał się wśród trzasku pękających belek i syku płomieni najrozpaczliwszem nawoływaniem, jej biała suknia najodważniej zbliżała się do purpurowych węzów ognia, obiegających już wszystkie ściany wyższego piętra.

Nareszcie ujrzano ją z dzieckiem na ręku na drewnianym balkonie, który lada chwila mógł runąć pod jej stopami, ale innej drogi do wydostania się z ognistej czeluści już nie było, bo schody całe płonęły jak smolny stos.

Na przystawienie drabiny nie było już czasu —

dziecko pochwyciły jak piłkę wyciągnięte ku niemu ramiona — wybawicielka jego skoczyła za daleko i upadła na twardy żwir dziedzińca.

— Nic mi nie jest, nic mi nie jest, dziecko uratowane! mówiła wszystkim skupiającym się z trwogą dokoła niej; jednak podnieść się o własnej sile nie mogła i nie podniosła się już nigdy; oddała swoje życie za uratowanie życia dziecka — nie swego.

Chorowała parę tygodni; zapalenie płuc, które się wywiązało wskutek zaziębienia, przyczyniło się do skrócenia jej męczarni. — W ciągu całej choroby jedyną jej troską była przyszłość malutkiego synka, którego osierocąca. — Wiem, że go wychowacie jak własnego, że mu niczego u was brakować nie będzie, — mówiła — ale jednak nie możecie mu dać ojca i matki. Biedactwo ledwie się obejrzy po świecie, już zrozumie, że mu brak największego szczęścia w życiu i będzie się czuł wydziedziczony, biedniejszy od najbiedniejszych

Z tych słów i łez umierającej matki zrodziła się myśl, aby państwo Borowscy wychowali malutkiego sierotkę jako swego rodzzonego syna, wpajając to przekonanie w niego i w całe otoczenie, aby nigdy gorzkie poczucie sieroctwa nie zatruli mu ani jednej swobodnej myśli, nie zmroziło zaufania z którym serce dziecięce garnie się tak bezwzględnie, tylko do rodzicielskiego serca. — nie zaciężyło mu buntem szlachetnej dumy kiedyś, gdy on, wychowanek tylko i siostrzeniec, miał być przypuszczony do równego działu majątkowego z rodzonemi dziećmi swych opiekunów.

Z radością i wdzięcznością przyjęła biedna matka ten układ — nie chodziło jej o majątek, chodziło tylko o to, aby jej synek nie czuł się na świecie sierotą.

— Kiedyś, w niebie, odzyskam moje dziecko, szeptała spalonymi gorączką ustami; tu na ziemi darowuję je wam na własność; uczynicie je o ile to w waszej mocy będzie: dobrem i szczęśliwym.

Z temi słowami na ustach skonała.

Małego sierotkę stryjostwo uznali w domu i w sercu swoim, przed Bogiem i ludźmi za własnego syna; usiłowali tym sposobem spłacić pozagrobowy dług wdzięczności tej biednej matce, która aby ich dziecko ocalić od strasznej śmierci, bez wahania własne życie oddała. Przenieśli się nawet w zupełnie inne strony, gdzie ich nikt nie znał, nikt nie mógł zakrwawić małego serduszka sieroty, wyjaśnieniem mu bolesnej tajemnicy.

A teraz wiesz już wszystko: biednym sierotą bez ojca i matki, któremu przywiązanie opiekunów usiłuje zastąpić miłość rodzicielską, jest Felo; rodzonym synem, uratowanym z płomieni, którego życie opłacono w zaraniu kosztem drugiego życia jesteś ty, Szczęsny.

Wuj Stanisław umilkł — Szczęsny łkał cicho z twarzą ukrytą w dłoniach — gorące, ciężkie łzy spływały mu potokiem po twarzy; w sercu wrzały razem wszystkie uczucia, które pierś ludzką podnoszą uniesieniem szczęścia; rozdzierają ją bolem, wypalają srogim wyrzutem sumienia. — A więc on miał, miał rodziców! był synem rodzonym, tej, swojej matki ukochanej, tego ojca, który go przeje-

mował taką czcią i uwielbieniem — czemuż tak strasznie zatrął im i sobie ten rok ostatni? czemuż zamiast używać najślıdszego na świecie szczęścia, goryczą, wysnutą z własnych urojeń, wypełniał każdą chwilę pobytu w rodzicielskim domu, aż nareszcie dobrowolnie ten dom opuścił i zakrwawił serce tej swojej mateczki, która może teraz... Boże, Boże, zmiłuj się!

Głośniejsze łkanie podniosło pierś Szczęsnego, wuj Staś oparł mu obie ręce na ramionach i rzekł głosem łagodnym, cichym, którego miękkość przypominała dziwnie w tej chwili głos p. Borowskiej:

— Czemu tak płaczesz, Szczęsny? myślałem, że rozjaśnienie tej tajemnicy, która cię tak dręczyła, ulgę i szczęście ci przyniesie.

— Ach wuju — wybuchnął biedny chłopiec z rozpaczą — to ja jestem winien, że mama chora! ja grzeszyłem fałszywą pychą, zazdrością, brakiem zaufania do rodziców i teraz Pan Bóg, ażeby mnie ukarać, zsyła na nas to nieszczęście. O tak! ja nie byłem wart mieć rodziców i dlatego...

— Dziecko, grzeszysz i w tej chwili jeszcze, odezwał się wuj poważnie, — nie mamy prawa przesądzać wyroków Bożych, nie mamy prawa rozstrzygać dlaczego Pan Bóg zsyła na nas nieszczęście, — wolno nam tylko błagać go o miłosierdzie — ono większem jest od wszystkich grzechów naszych.

Szczęsny z twarzą ciągle ukrytą w dłoniach osunął się na kolana i jechali dalej w milczeniu; wuj wpatrzony poważnem, smutnem spojrzeniem w śniegiem zasłane równiny, które pociąg prze-

bywał z błyskawiczną szybkością — siostrzeniec klęczący wciąż z twarzą mokrą od łez, do ust przyciskając srebrny medalik przywieziony mu przed paru laty przez matkę, z Częstochowy.

Mijali stację za stacją — oczy klęczącego chłopca rozpromieniały się coraz to jaśniej blaskiem nadziei, na czole wuja przeciwnie, im bardziej zbliżali się do celu podróży coraz to ciemniejsza osiadała troska. — Może stawały przed nim coraz to wyraźniej widma trwogi i bólu, którym dotąd usiłował bronić się zwyczajko, aby widokiem własnego zgnębienia nie budzić strasniejszego jeszcze niepokoju w duszy młodego siostrzeńca. — Teraz dojeżdżali, już za chwil kilka dowiedzą się o wszystkim.

Noc była już dawno; noc bez księżyca, przepełniona tylko mlecznym odbłaskiem śniegów, na stacjach światła gorzały, jasno, wesoło, ale pociąg błyskawiczny mało gdzie się zatrzymywał, zwalniał tylko nieco biegu w przestrzeni, objętej kręgiem światła, a potem znowu z gwizdem przeciągłym, z ciężkim, przyspieszonym oddechem wpadał w ciemną otchłań, ciągnąc za sobą snop iskier gasnących w przestrzeni, jak spadające gwiazdy.

Nagle po obu stronach drogi zaczęły się pojawiać latarnie, których mdłe światło wpadało w okna wagonów. Wuj Stanisław podniósł się i dotknął zlekka ramienia Szczęsnego: — Zbieraj się, już dojeżdżamy, za trzy minuty będziemy we Lwowie.

Szczęsny zerwał się i przecierając dłonią wilgotne jeszcze oczy, zwrócił do wuja twarz rozjaśnioną jakimś cichem, kojącem wzruszeniem.

— Wuju — zaczął urywanym głosem — jeżeli... jeżeli Pan Bóg zmiłuje się nad nami, to póki życia, nie zrobię rodzicom mem postępowaniem żadnego zmartwienia! poprzysiągłem to sobie! okupię wszystkie winy, które względem nich popełniłem — stanę się ich chlubą i szczęściem.

— Niech Bóg błogosławi twoim postanowieniom — odparł wuj, ściskając go za rękę, jakby w uścisku tym przyjmował od młodego chłopca uroczystą obietnicę, równającą się przysiędze.

Pociąg zwolnionem tempem dobiegał do celu — oto już światło lamp płonących na peronie zalało wagony, już do uszu podróżnych dochodzą nawoływania posługaczy, gwar, panujący na każdej większej stacji, powitalne wykrzykniki tych, co wyszli na dworzec, na spotkanie przyjeżdżających.

Szczesny rzucił się ku zamkniętym jeszcze drzwiczkom, szarpiąc je z niecierpliwością, choć pociąg nie zatrzymał się jeszcze całkowicie, jeszcze wolnym, niedostrzeżonym prawie ruchem, posuwa się po szynach.

— Zaraz, zaraz otwieram, młody panie! dworzec nie ucieknie — woła z żartobliwym uśmiechem siwy konduktor, przystępując z kluczem do drzwiczek.

Nagle Szczesny zbladł i zachwiał się prawie na nogach — o kilkanaście kroków dalej na peronie, zobaczył wysmukłego chłopca w szkolnym mundurku, w którym od pierwszego rzutu oka poznał Fela — i serce rzuciło mu się młotem w piersi na myśl, że oto już w tej chwili, w tej

sekundzie, usta Fela zwiastują mu wiadomość życia lub śmierci. Boże, zmiłuj się!

Z twarzy Fela nie może nic wyczytać; biegnie on szybko wzdłuż wagonów, rzucając w każde okno przenikliwe, niespokojne spojrzenie.

— Felu! — zawołał Szczesny słabym głosem, zaledwie z trudnością zmuszając pobladłe usta do posłuszeństwa — ale Felo już usłyszał, zwrócił się nagle ku stopniom, na których dostrzegł wuja i brata i nim się ich ręce zdołały zetknąć w powitalnym uścisku, nim nawet oczy społyły się spojrzeniem, już z ust jego słowo „lepiej“! wybiegło, jak złoty promień, rozświetlający ciemny mrok trwogi, zalegający duszę Szczesnego.

Obaj bracia rzucili się sobie w objęcia; wydało im się, że już chyba lata całe byli rozłączeni — tak wiele się w czasie tej rozłąki przeżyło! Wuj Staś patrzył na ich uściśnienia z dobrotliwym uśmiechem.

— No, dosyć chłopcy, dosyć, ruszajcie ku wyjściu, bo fiakra nie dostaniemy — odezwał się wreszcie, popychając ich z lekka naprzód. W drodze Felo opowie nam wszystko; Bogu Najwyższemu dzięki, za to „lepiej“, któreśmy od Niego wymodlili — ja zaraz zobaczywszy cię na dworcu domyśliłem się, że z radosną wieścią naprzeciw nam pospieszylesz.

Wsiedli do auta; po uspokojeniu pierwszego wzruszenia, Felo zaczął opowiadać, że mateczka spała dwie godziny całkiem spokojnie, że parę razy odzywała się głosem dość wyraźnym i przytomnym i nawet doktor zaniechał na dziś wieczór

kładzenie świeżej wizykatorji na karku i nogach, bo i tak już rany utworzone poprzedniem używaniem synopizmów, bardzo są bolesne.

— Biedna mateczka, szepnął Szczęsny ze łzami.

-- O tak, biedna! tyle się naćierpiała, a my z nią także — wiesz, tatko całkiem posiwiiał — ty już — Bogu dzięki, nie zaznasz tego strasznego widoku, ale my przez kilka dni patrzyliśmy na twarz mamy taką zmienioną, z takim jakimś innym, bolesnym wyrazem, że ją ledwie poznać można było — o, to było okropne!

— Nie rozraniaj serca Szczęsnemu i sobie tem strasznem wspomnieniem, moje dziecko — odezwał się wuj. — Bogu dzięki, że to już minęło, a teraz musimy być wszyscy spokojni i silni, aby móżdż jak najtroskliwszemi staraniami otaczać mamę; chorzy lubią widzieć wkoło siebie jasne, pogodne twarze; to ich uspokaja i rozwesela.

— O tak, my też koło mamusi nie płakaliśmy ani razu, nawet gdy była całkiem nieprzytomna — odparł Felo trochę drżącym głosem i błękitne jego oczy znowu zabłyśły srebrnym, wilgotnym połyskiem. — Ja najwięcej podziwiałem Terenię; bo przecież my, mężczyźni, to co innego — ale ona dziewczynka i taka mała jeszcze, a żeby wuj wiedział, jak się dzielnie trzymała, jak spokojnie usługiwała mamusi nawet w najgorszych chwilach. Chociaż była i jest dotąd u nas, polecona przez doktora zakonnica, ale nam się zdawało, że mamusia spokojniejsza, gdy z nas ktoś jest koło niej,

więc takeśmy się urządzili, że zawsze, dniem i nocą Tatko, ja lub Terenia czuwaliśmy przy łóżku.

Szczęsnemu serce ścisnęło się bolem: jego jednego brakowało w rodzinnem gronie, otaczającym chorą najtroskliwszemi staraniami — on jeden przez wybuch grzesznej dumy wyrwał się z koła radości, smutków, obowiązków rodzinnych — i gdyby nie miłosierdzie Boże... och, życiem całem nie byłby potrafił dość tego opłakać.

Taksówka zatrzymała się przed domem. Felo pierwszy wyskoczył i wyprzedzając wuja i brata, podążył na schody.

— Pobiegnę przez kuchnię i otworzę wam cichutko — mówił — a przytem chcę uprzedzić tatkę, że już jesteście; tatko miał się położyć trochę przespać, bo w tej porze Terenia zwykle jest przy mamie, ale kazał się obudzić, gdy tylko przyjedziecie.

Szczęsny, drżąc od wzruszenia, przestępował próg rodzinnego domu, który porzucił przed kilku miesiącami z poczuciem takiego żalu i goryczy, przysięgając sobie, że powróci tu dopiero skończonym człowiekiem — a cała ta gorycz, wszystkie bunt i żale, wyrosły jedynie na podstawie mylnych, zgubnych mar jego własnej wyobraźni. Gdyby zamiast uciekać, był się zwrócił z jednym słowem szczerego zaufania i miłości do rodziców, byłby uniknął tylu smutków dla siebie i dla nich. Czy mu to oni kiedykolwiek przebaczą, zapomną całkowicie?

Przebaczyli już i zapomnieli — poczuł to odrazu w uścisku, jakim p. Borowski wybiegłszy na-

przeciw nich na schody, przytulił go do piersi. Cała surowość ojcowska stopniała w tych dniach ciężkiej próby i w tej radości, jaką przejmowała go nadzieja wyzdrowienia żony i powrót syna do domu. Szczęsny nie spotkał się ani z jednym słowem wyrzutu, ani ze spojrzeniem nawet, mogącym mu zdradzić, że pamiętano tu o jego winie.

Rodzeństwo garnęło się do niego ze szczera, gorącą radością, unikając najstaranniej wszelkiej wzmianki o powodach jego kilkumiesięcznej nieobecności w domu — usiłowano mu tylko okazać, że myślano tu o nim wciąż i wyglądano z tęsknotą jego powrotu.

Zresztą w tej chwili przeszłość i wszystko, co z nią miało związek, usunięte było na daleki plan — wszystkie uczucia, myśli, trwogi i nadzieje całej rodziny zwracały się ku drzwiom, poza którymi leżała pani Borowska — tam były ich serca, ich dusze.

Szczęsnemu nie pozwolono już tego wieczoru iść do chorej, która drzemała dość spokojnie, nie pytając o nic i o nikogo. Wyprosił sobie tylko, aby mu wolno było przesiedzieć noc całą u tych zamkniętych drzwi, nad słuchując, czy nie doleci do niego szmer głosu matki — i pan Borowski zgodził się na to, odgadując, że w oddaleniu noc ta byłaby dla Szczęsnego zbyt ciężka.

Z jakimże utęsknieniem wyglądał pierwszych promieni późnego, zimowego świtu, pierwszych brząsków tego dnia, który miał go znowu połączyć z ukochaną mateczką — obiecywał sobie, że gdy się raz tam dostanie, nie będzie już wcale

opuszczał pokoju matki, będzie ją pielęgnował zarówno w dzień jak w nocy — ojciec, Terenia, Felo, już są pomęczeni — tyle nocy czuwali w strasznej trwodze — ale on zdrow i najsilniejszy ze wszystkich, tygodnie całe może prawie bez snu wytrzymać, a taki będzie troskliwy i uważny!...

Niestety, czekało pod tym względem biednego chłopca ciężkie rozczarowanie — lekarz, który jak zwykle pojawił się już o ósmej rano, choć stwierdził zupełnie pomyślny stan chorej, zabronił jednak stanowczo wprowadzania Szczęsnego do jej pokoju. Od chwili pełnego powrotu do przytomności, pani Borowska przestała wspominać imię swego starszego syna, można więc było przypuszczać, iż zdawała sobie sprawę, że przez ostatnie miesiące nie było go w domu i nagłe zjawienie się jego mogło ją zaledwie poruszyć.

Szczęsny musiał się poddać temu wyrokowi, ale cały ten tydzień, który spędził dzień po dniu, godzina po godzinie u zamkniętych drzwi pokoju matki, wyrrywający się do niej całą siłą tęsknoty i niepokoju, a jednak nie mogący ani krokiem przestąpić jej progu, należał do najcięższych chwil jego życia. Jakże zazdrościł wszystkim, którzy mogli patrzeć na nią, pielęgnować ją, własnymi oczyma stwierdzać to polepszenie, które niestety postępowało tak wolno, chwiejnie, że nieraz jeszcze twarz doktora, odchodzącego od łóżka, na trwożne spojrzenie otaczających nie dawała uspokajającej odpowiedzi, i Szczęsnemu czyhającemu u drzwi na wiadomość z pokoju matki, Felo lub Terenia jedynie milczącym gestem wskazywali, że nic nie

mają do powiedzenia. O, w takich chwilach rozpacz ogarniała Szczęsnego.

Nareszcie skończyły się dni próby — w samą wilgę Bożego Narodzenia, p. Borowski za rękę przyprowadził Szczęsnego do łóżka żony, mówiąc: Oto masz zbiega — przyjechał na święta i nie puścimy go tak prędko z domu, prawda?

O, z jakim wybuchem miłości i skrucy Szczęsny byłby się rzucił do kolan tej kochanej mateczki, której tyle zmartwień przysporzył, pomimo, że zawsze tak gorąco, tak nad życie ją kochał, ale rozporządzenie doktora brzmiało stanowczo: jak najmniej rozczulenia i wzruszeń — to też powitanie odbyło się spokojnie, prawie wesoło. Ale od tej chwili Szczęsny rzeczywiście nie opuszczał już prawie pokoju matki, i jej, obecność ukochanego syna, zdała się przysparzać sił i zdrowia, gdyż odtąd rekonwalescencja postępowała z podwójną szybkością.

XIV.

Gdy minęły wakacje świąteczne, Szczęsny został napowrót zapisany do tego samego gimnazjum, do którego przez poprzednie lata uczęszczał; do państwa Złotockich napisano, dziękując im całkiem sercem za dobroć i życzliwość, okazywaną młodemu nauczycielowi, ale donosząc równocześnie że nadal nie będzie mógł już powrócić do pełnienia swoich obowiązków.

Wicusz oblał ten list gorącymi łzami i uspo-

koił się dopiero, gdy mu ojciec obiecał, że zaprosi koniecznie obu młodych Borowskich do Łubienki na wakacje; naturalnie w razie, jeżeli Wicusz zasłuży na taką przyjemność dobrem świadectwem. Co do tego, Wicusz nie okazuje żadnej wątpliwości, bo jak powiada „to już przecie od niego tylko zależy“ — prawdopodobnie więc dla miłości Szczęsnego wytrwa na drodze pilności i poprawy, na którą już wstąpił z jego pomocą.

W długiej, parę godzin trwającej rozmowie sam na sam z ojcem, Szczęsny wypowiadał mu się ze wszystkich pobudek swego szalonego kroku, ze wszystkich swoich urojonych a jednak tak dotkliwych cierpień, niepokojów i wynikających z tego win.

Otrzymał rozgrzeszenie, ale w zamian obiecał solennie, że już odtąd będzie się w życiu kierował głosem sumienia, obowiązku, serca, ale nigdy głosem dumy.

Z mateczką nie dotknęło jeszcze ani jednym słowem tej, zaledwie dla niej teraz poruszającej sprawy — widzi ona tylko z wzajemnego stosunku Szczęsnego z ojcem, że wszystko jest już znowu dobrze i cieszy się odzyskaniem swego syna. Felo i Terenia także nie wiedzą nic, nie dowiedzą się nigdy — przez delikatność nie zadają żadnych drażliwych pytań Szczęsnemu, podziwiają tylko, że on taki się zrobił łagodny, ustępujący a przytem teraz zawsze okazuje się wesoły i zadowolony ze wszystkiego. Fela otacza jakąś opiekuńczą, serdeczną tkliwością — odrabia z nim lekcje, nigdy nie sprzeciwia mu się nawet w najmniejszej drob-

nostce usiłuje zawsze wysunąć go na pierwszy plan w domu. Gdyby Felo nie miał tyle serca, to te pieśczęty które teraz obsypują go już wszyscy, mogłyby go naprawdę popsuć. Ale niema obawy: kto sam tak gorąco umie kochać, nie zepsuje się tem, że go drudzy kochają.

KONIEC.



113750